

JEŻ, TEODOR, TOMASZ

W GALICJI

I

NA WSCHODZIE.

PRZYSZYNEK DO DZIEJÓW POWSTANIA 1863

SKREŚLIŁ

Ż. MIŁKOWSKI,

pułkownik.



Żukowski

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

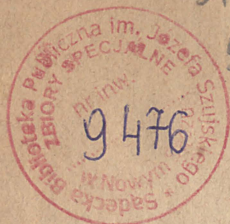
1880.

93/99/582 - 1838

2-03

2. SWD514-

94(438)



ZBIORY SPECJALNE

~~ZBIORY SPECJALNE~~
XXX

8001 - 15000/100
Akce 7 2004

Przedmowa autora.



Praca, która obecnie do rąk publiczności się dostaje, spoczywała w rękopisie przez lat piętnaście. Napisałem ją lat piętnaście temu i do druku dałem; nie wyszła w czasie swoim z powodów od autora niezależnych. I dobrze się stało. Postradała ona wprawdzie interes, jaki się przywiązuje zazwyczaj do opowiadania zdarzeń społecznych, ale uzyskała znaczenie historyczne. Opowiadanie odnosi się do wypadków ubiegłych; nie tak wszelako oddalonych, ażeby zaginąć miał całkowicie ten interes, który Francuzi mianują *intérêt d'actualité*. Świadkowie onego żyją jeszcze; pokolenie, którego dziełem był rok 1863, znajduje się obecnie w sile wieku męskiego.

Dobrze się stało, że praca niniejsza nie wyszła lat temu piętnaście i dla tego jeszcze, że w chwili obecnej wystąpić ona może w charakterze świadka, w procesie, wytoczonym powstaniom polskim w ogóle, powstaniu zaś naszemu r. 1863 w szczególności. Rok 1863, jako winowajca, oskarżonym i przed kratki powołanym został. Zbrodniarz!

Fakt historyczny zbrodniczym być może i może sądowi podlegać, sądowi krytyki, rzecz naturalna, chłodnej, spokojnej, beznamiętnej. Nie takim, niestety, jest sąd, który sprawę powstania roku 1863 rozpatruje. Występuje on rekriminally, stronnictwo, z potępieniem aprioristycznym i bezwarunkowym, manifestującym się raz szydersko, znów wzgardliwie, albo też apodyktycznie. Nie masz dla winowajcy nieszczęsnego względów najmniejszych, ani przebaczenia możliwego. Na dobitkę, sąd ów przybiera na się charakter podwójny, polityczny i naukowy, albo raczej, zlewając podwójność w jedno, polityczno-naukowy, poszukujący dowodów winy wszędzie i we wszystkiém, gdzie jeno takowa odnaleziona być może, zapatrując się na nią z punktów, najsprzeczniejszych często, takich, na przykład, jakimi są, idealistyczny i pozytywistyczny, sentymentalny i utylitarny. Wszystko mu jedno, byle obwinił, jak ów prokurator krakowski, który, oskarżając przed trybunałem patryotów, potępiał całą wymowę prokuratorskiej potęgą patryotyzm polski, oskarżając zaś socjalistów, do patryotyzmu się odwoływał z przekonaniem głębokim. Jest to sąd stronnictwo, w najściślejszém wyrazu tego znaczeniu i dla tego też sam on sądowi podlega. Jest nad nim jeszcze opinia publiczna, w obec której rozbiore punkt główny oskarżenia, wystósowanego przeciwko powstaniu r. 1863.

Jakim jest punkt główny oskarżenia? — Niepowodzenie.

Możeż się ono utrzymać w obec historii, albo w obec polityki?

Niepowodzenie, jako oskarżenie, w obec historii utrzy-

mać się nie może. Metoda obserwacyjna, z jaką nauka do badania fenomenów historycznych przystępuje, wykazuje, że każdy indywidualizm zbiorowy, narodowo-państwowy, tę posiada własność, że gdy w stan niewoli popadnie, to ze stanu tego wyzwolić się usiłuje. Usiłowanie to, naturalne i konieczne, odnosi się do tego prawa ogólnego, które uczeni nazywają walką o byt. Manifestuje się ono powszechnie, we wszystkim, w królestwie roślinném, w królestwie zwierzęcém — obejmuje wszystko — ludzie z pod onego wyjętymi nie są. Prawo to wyraz swój znajduje w zapasach brutalnych, które niegdyś odbywały się za pomocą pięści, z czasem zaś odbywać się zaczęły za pomocą sposobów i narzędzi, wynajdowanych i doskonalonych stopniowo. I zrobiła się wojna. Wszystko to wskazuje nam obserwacja historyczna. Nie na tém jednak koniec. Na drodze téjże obserwacji dowiadujemy się, że nie wszystkie organizmy zbiorowe narodowo-państwowe, w stan niewoli wprowadzone, na stan ów wskazywanymi były na wieków wieki. Przeciwnie. Nie pozostał w onym ani jeden z tych, co się z niego wydostać usiłowali. Po szeregu niepowodzeń, bolesnych, krwawych, strasznych, następuje w końcu tryumf, który byłby nie nastąpił, gdyby nie usiłowania. Jest to, w zakresie prawa walki o byt, wynik naturalny, tłumaczący się tém, że usiłowania, mające na celu odzyskanie swobody życiowej, oznaczają żywotność organizmu. Bez żywotności nie masz ruchu, bez ruchu nie masz walki, bez walki nie masz tryumfu. Jedno wypływa z drugiego w porządku logicznym i wypływać musi, jak skoro istnieje żywotność. Tego zażegnać nie sposób: — przychodzi to samo przez się na drodze porządku natu-

ralnego. — Na drodze téj atoli zdarzają się ruchy istotne, naturalne i sztuczne.

Powstanie nasze r. 1863 było li ruchem sztucznym — zgalwanizowaniem trupa? Detraktorowie onego utrzymują to, posuwając się na drodze dowodów, aż do absurdów — do absurdów takich, jak ten, że — jakoby — Moskale sami wywołali i podtrzymywali powstanie. Konikiem, którego zazwyczaj oskarżyciele dosiadają, jest „niedowarzona młodzież:“ powstanie wydmuchali półgłówki i szaleńce, do spółki ze spekulantami, łowcami rybek w wodzie mętnej. Moskale obwiniają o nie szlachtę i duchowieństwo — feudalno-klerikalny element, pozostałość tego wytworu monstrualnego, jakim była rzeczpospolita polska. Sama ta różnica podań byłaby dostateczną do obalenia wzajemnie się obalających twierdzeń, gdyby nie istniał ten zaprzeczyc się nie dający fakt, że w powstaniu udział wzięły wszystkie narodu polskiego części składowe i że wśród warunków najtrudniejszych utrzymać się ono zdołało przez półtora roku. Znamiona to niewątpliwe ruchu narodowego naturalnego, odbywającego się za pomocą żywiołów, które się do onego nadawały. Młodzież wszystkich klass, stanów i wyznań, co się uzbroić była w stanie, walczyła; warstwy inteligentne pomoc jój niosły; włościanie ochraniaли ruch, czuwali nad nim, pełnili w obec niego funkcję tego rodzaju, że, gdyby nie oni, powstanie roku 1863 utrzymałoby się nie mogło, nie osiemnaście miesięcy, lecz osiemnaście godzin. Wyprawa Zaliwskiego, pokuszenie w r. 1846: oto były ruchy sztuczne — nie utrzymały się téż — przyszły nie w porę — znalazły naród nie usposobionym moralnie do wstrząśnięcia że-

lazami klatki więziennój. W roku 1863 usposobienie to zmanifestowało się samo przez się. Organizacya zasnęła się pod wpływem władzy niewidomój, reprezentującej nie co innego, jeno ideę samoistności narodowej. Jedyny to przykład w dziejach, taka mechanizmu rządowego improwizacya. Coś podobnego nie zdarza się na zawołanie każde. Niechby, na przykład, dziś, w r. 1880, kto spróbował: czy potrafiłby wytworzyć władzę taką, jaka stała wówczas, otoczyć ją organami, które w imieniu jęj posłuch znajdowały i wywołać walkę? Ruch ów przeto był naturalnym, wypływającym z konieczności rzeczy, mającej swój punkt wyjścia w żywotności narodowej. Pojęli to dobrze Moskale, którzy wnet po upadku powstania poruszyli niebo i ziemię, w celu wmówienia w Europę i w nas, że był to ruch sztuczny, że nie miał on zgół racyi, albowiem Polska w przeszłości jest to omyłka historyczna, szlachecki zlepek, nie posiadający żywotności najmniejszej. Była w tém przesada, jeżeli nie co gorszego; przesada ta jednak oznacza, że Moskale pojmują historię lepiej, aniżeli historycy polscy szkoły, tak nazwanęj, nowęj, wiedzą bowiem, że ażeby powstanie 1863 roku w stanie oskarżenia w obec historii utrzymać, na to sposobu innego nie ma, jak zaprzeczyć historycznemu Polskij istnieniu. Nie było jęj — była to omyłka, fantazmagorya, wyskok chorobliwy, a zatém ruch ów, powstaniem nazwany, nie powstaniem właściwie był, ale zamachem zbrodniczym przeciwko regularnemu porządkowi rzeczy, przeciwko naturze samęj. Założenie to, acz fałszywe, nadaje się atoli jedynie do podtrzymania oskarżenia i pokazuje, powtarzam, w Moskalach pojmowanie lepsze, aniżeli we wtórujących im współ-

ziomkach naszych, pomiędzy którymi stanowisko najwybitniejsze, sztandarowe, zajmuje mąż stanu, stawiany w ostatnich czasach na świeczniku, margrabia Wielopolski. Margrabia znał prawo, posiadał zdolności wielkie, ale o historii wyobrażenia nie miał najmniejszego, przypuszczając, że prąd dziejowy pokierować się da według woli człowieka pojedynczego, że można potok dłonią zatrzymać. Gdyby rozumiał to, nie byłby wziął na siebie roli niezaszczytnęj dyb u nóg narodu, lecz spostrzegłszy się, że pobłądził, byłby, jeżeli nie z jedną z najpierwszych, to z którąś z późniejszych band powstańczych do lasu się udał. Nie uczynił tego przez upór i pychę, czując się upokorzonym, wyobrażając sobie, że złamanym został przez motłoch. W tym względzie mylił się: złamał go nie motłoch, ale objaw naturalny prawa historycznego — tego prawa, z którym oskarżyciele powstania roku 1863 obchodzą się w sposób, świadczący o ich dowcipie, zdolnościach dyalektycznych i zażyłości, ale nie o tém, że historiją pojmują.

Nie pojmują jój oni zgoła! Zaslepia ich polityka chwili bieżącej.

Zobaczmyż, o ile polityka do oskarżenia się nadaje.

We względzie tym dwa są punkta, w które oskarżenie szczególnie uderza: obawa, ażeby się broń Boże powstanie nie powtórzyło i obawy onęj motyw najważniejszy, polegający na tém, że powstanie r. 1863 nie miało szans najmniejszych, do którychby odnosić mogło nadzieję na powodzenie bodaj częściowe.

Błąd tu i błąd tam.

Co się pierwszego tyczy, odwołujemy się przedewszy-

stkiem do polityków najzręczniejszych, do powag politycznych największych. Co w działaniu polityczném rzecz główną stanowi? — *La main libre* — swoboda ruchów, to jest nie zobowiązywanie się do niczego, coby w danym momencie, przy okoliczności nadarzonej, krępować mogło wybór sposobu tego lub innego, prowadzącego do rozwiązania zadania pewnego. Popytajcie, panowie, księcia Bismarka, księcia Gorczakowa, pana Klaczki, co ich studyował, kogokolwiek; przepatrzcie wszystkie traktaty, konwencye i układy, a przekonacie się, że *la main libre* jest to warunek najważniejszy wśród tych, o które spółubiegają się działacze polityczni. Popytajcie zresztą o to zdrowego rozumu i przy mierzcie do onego wasze raz szyderskie, znów żałosne, niekiedy poważne, a zawsze bezwzględne: „precz z powstaniem!“ Nie jestże nierozumném, smutném, nie jestże obłudą dzikim usiłowanie to skrępowania z góry narodowi rąk?

Powiadacie, że powstanie polskie szans nie ma, bo nie miało takowych powstanie roku 1863. Co do tego, ażeby wytłumaczyć błąd w tym punkcie, odwołać byśmy się mogli do obserwacyi historycznej i zapytać: jakie szanse miało powstanie holenderskie przeciwko potędze Filipa II.? jakie szanse miało powstanie hiszpańskie przeciwko Napoleonowi I.? z jakimi to szansami zrywali się Grecy, Serbowie, zwłaszcza zaś biedni, ciemni, małowielbiczni, od świata nie znani Hercegowińcy, którzy sprowadzili wyzwolenie Bułgarii i Rumelii — no i swoje w stopniu pewnym? Pozostawimy atoli Holendrów, Hiszpanów, Greków, Serbów, Hercegowińców i innych na boku, a wykażemy szanse niejaki, które przyświecały Polsce w r. 1863. Były one rodzaju dwoja-

kiego: polityczno-rewolucyjne i polityczno-dyplomatyczne. Pierwsze nie trafiają do przekonania oskarżycieli naszych, więc pomijamy je, poprzestając jedynie na drugich, o których wyobrażenie ogólne daje owoczesna Europy sytuacja polityczna: Austria, uginająca się pod ciężarem dobrodziejstwa moskiewskiego, udzielonego jój wspaniałomyślnie w r. 1849, pobita we Włoszech (1859) i oglądająca się za okazyą jakąś, zdolną powagę jój podnieść; Anglia, wprawiona w stan naturalnej Moskwy współzawodniczki, antagonistki jój na polu interesów najdrażliwszych; Turcja, głęboko przekonana o niechybności wojny z Rosyą, a zatem wielce interesowana w osłabieniu jój; Prusy za słabe jeszcze, ażeby odegrywać mogły rolę inną, jeno taką, jaką odegrały w r. 1853—56; Francya zresztą, pozostająca w rozporządzeniu człowieka, potrzebującego uzurpacyę tronu podeprzeć sprawą jakąś popularną. Taką była sytuacja ogólna, poparta sympatyą powszechną, jaką, na pierwszą o powstaniu polskiem wieść, objawił cały ucywilizowany świat przez wszystkie organy swoje, ustami Garibaldiego i Papieża, Mazziniego i Montalamberta, wyrobników i burżoazyi, chłopów i arystokracji, Wiktora Hugo i Napoleona III. Wyraz onój wystąpił w notach, za pośrednictwem których gabinety europejskie, nie wyłączając takich nawet jak lizboński, u Moskwy się o sprawiedliwość dla Polski upominały. W sytuacji téj przeto szanse tkwiły; rozpatrując się zaś w niej pilniej nieco i analizując wzajemny w momencie owym pomiędzy mocarstwami stósunek, w oczy niemal rzuca się ta osobliwość, że węzeł onój znajdował się na Wschodzie, na półwyspie Bałkańskim, gdzie, nie za pomocą wzdychania, wyczekiwa-

nia i kołatania do drzwi gabinetów, lecz za pomocą czynnego własnego postarania się, znajdowaliśmy się w możności szanse, w ogólnej sytuacji tkwiącej, na korzyść sprawy polskiej sprowadzić, ześrodkować i przychylić. — Opowiadanie, które pod sąd publiczności, pod tytułem: „W Galicyi i na Wschodzie“ oddajemy, wykaże dowodnie ten właśnie węzeł — ten punkt prawdopodobieństwa powodzenia, jakie w r. 1863 odnosiło się do ruchu polskiego. Punkt to ważny w sensie historycznym i politycznym. Wykaże on, że działo się źle może, nie tak jak dziać się było powinno, ale nie bez szans i nie całkowicie naoslep; że zatem niepowodzenie, jakiegośmy doznali z powodu przyczyn racjonalnych, dzięki zbiegowi okoliczności szczególnie nieprzychylnych, dzięki wreszcie błędom naszym, stoi, w obec jak historyi, tak polityki, nie inaczej, jeno jako chybienie jednej z prób na drodze tych usiłowań, które wypływają z natury położenia Polski. Niepowodzenie tego rodzaju nie służy zgoła za materiał do wyrokowania o tém, co stać się może jutro albo pojutrze. Wyzyskiwanie onego, w celu krępowania narodowi z góry rąk, jest fałszem historycznym i obłudą politycznym.

Genewa, 15 maja 1880.



I.

Przed wybuchem powstania.

W miesiącu wrześniu r. 1859, wyjechałem z Paryża w zamiarze przygotowywania powstania. Wyjechałem w charakterze członka komitetu, który, oprócz mnie, składał się z generała Józefa Wysockiego i z pp. Seweryna Elzanowskiego, Józefa Ordegi i Wincentego Mazurkiewicza. Do komitetu tego, związanego pod naciskiem przebywającej podówczas tłumnie w Paryżu a domagającej się działania powstańczego młodzieży krajowej, odnieść należy początek myśli, która wywołała samoistną w Polsce organizacją. Nie stawiał on siebie na czele sprawy; nie domagał się kierownictwa; był wynikiem potrzeby, jaką wytworzyła chwila dziejowa, która na porządku dziennym postawiła upomnienie się z orężem w rękę o nieprzedawnione i przedawnionemi być nie mogące prawa polityczne narodu. Młodzież garnęła się do komitetu tego po wskazówki i rady. Kierunek, w którym on działał, dopatrzyć się da w „Przeglądzie Rzeczy Polskich“ z r. 1859, piśmie w duchu demokratycznym redagowanym przez S. Elzanowskiego, które w ogromnej ilości szło do Polski i w którym znajduje się artykułów kilka mego pióra, a mianowicie: „O potrzebie i możliwości polskiego powstania.“ Wypowiadałem tę myśl, że emigracja pełnić może w obec kraju funkcję tylko po-

mocniczą; lecz i dziś jestem i wówczas byłem tego przekonania, że bez pomocy emigracji kraj obejść się nie może.

Z Paryża przez Kraków i Lwów udałem się na Multany, dla upatrzenia tam miejscowości stosownej w celu gromadzenia w takowej ludzi, broni i koni. Zadanie moje polegało na uorganizowaniu zawczasu oddziału zbrojnego, mogącego w razie danym, stosownie do okoliczności, wykonać wkroczenie, bądź do Galicji, bądź do Krajów Zabrzanych.

Miejscowością najlepiej odpowiadającą warunkom wkroczenia tu lub tam wydała mi się Mołdawia północna. W niej więc zatrzymałem się, zamieszkując zrazu w Foltyczanach, następnie w Botuszanach; w końcu osiadłem w Michalenach.

Że zaś organizacya oddziału zbrojnego obejść się nie mogła bez środków pieniężnych, staranie się przeto o takowe było dla mnie rzeczą najpierwszą. Liczyłem na Galicyę i na Kraje Zabrane, opierając rachunki moje, co do Galicji, na chętności obywatelskiej, co do Krajów Zabrzanych, na organizacji niezwłocznej, poręczonęj mi przez wyjeżdżających z Paryża równocześnie ze mną obywateli ruskich, pp. S. i K.

Rachunki te zawiodły mnie na wstępie samym. Do Galicji zakolałem za pośrednictwem pp. Aleksandra i Włodzimierza Dz., Mieczysława P. i Florjana Z., z którymi we Lwowie konferencję miałem. Nie odmówili mi oni spółdziałania swego, lecz zobowiązywali się warunkowo, zgadzając się w zasadzie na działanie zamierzone i zastrzegając sobie wybór chwili stosownej. Z Krajów Zabrzanych wysłańce nie dawali znaku życia. Pomimo kilku podróży moich do Galicji i po Galicji, pomimo wycieczki za Zbrucz, ani tu, ani tam nie wskórałem nic. Przyczyny tego tkwiły, przede wszystkim, w braku organizacji, do której brano się leniwie, następnie, w nieufności w powodzenie powstania, w końcu, w niedostateczności rękojmi, jaką dawało imie moje. Musiałem przeto czekać cierpliwie przede wszystkim na organizację, ona bowiem zaopatrzyć mnie mogła w środki pieniężne. Niestety!

nie doczekałem się takowej, a to, dzięki niedyskrecji generała Mierosławskiego, któremu, przed wyjazdem moim z Paryża, planu mego w głównych udzieliłem zarysach Mierosławski w tropy za mną wyprawił emissaryuszów, polecając im kontrolowanie czynności moich. Ci popsuli mi ponawiazywane w Galicji stosunki i zdradzili cel mego na Multanach pobytu. Następstwem tego była obudzona czujność policji mołdawskiej, nagabywaney przez powtarzające się raz po raz reklamacje moskiewskie i austriackie. Reklamacje te spotęgowały się, kiedy, na wieść fałszywą, jakoby w Jassach organizował legjony, pogarnęła się na Mołdawją młodzież polska z uniwersytetów kijowskiego, moskiewskiego i petersburskiego. Ledwie nieledwie zażegnałem burzę, odrywającą młodych ludzi od nauki i wypychającą ich na tułaczkę po świecie. Udało mi się to przy pomocy kurjerów, wysyłanych do mnie z Kijowa i z Kamieńca przez istniejące w miastach tych zawiązki organizacyjne. Przez nich następującą do Krajów Zabrzanych przesłałem proklamacją: „Legjonów nie ma, ale być mogą. Potrzebuję pieniędzy.“ Skutek jój był żaden. Komitet kijowski nic mi udzielić nie mógł, posiadając w kasie 4000 złp. Działo się to na wiosnę r. 1861.

Do jesieni roku pomienionego czas zeszedł mi częścią na wycieczki na wykończenie kłęczącej się powolnie organizacji, częścią na przeprowadzaniu i ukrywaniu tych, co, skompromitowawszy się w Austrii lub w Rosji, szukali przed prześladowaniem schronienia. Liczba zbiegów z pod panowania moskiewskiego była nierównie większą, aniżeli z pod austriackiego. Przez nich, jako też przez ciągle z krajem stosunki wiedziałem o objawiającej się ogólnie pod obydwoma zaborami dążności do organizacji rewolucyjnej. Pomagałem dążności téj ile mogłem.

W jesieni b. r. przybyła na Mołdawią z Genui, ze szkoły wojskowej, młodzież, wyprawiona przez generała Mierosławskiego, jako awangarda zastępu, mającego z nad wybrzeży morza Śród-

ziemnego maszerować do Polski. Młodzież ta, liczba której wynosiła głów dwadzieścia pięć, postawiła mi żądanie, ażebym niezwłocznie prowadził ją na 'teatr walki. Postawiło ją to od razu w nieprzyjaznym względem mnie stósunku. Rzec była absolutnie niemożliwą, ze względu tak na liczebną awangardy siłę, jako téż na stan rzeczy w kraju, gdzie sprawa włościańska trzymała w zawieszeniu postęp akcji do powstania prowadzącój. Zamierzałem przeto z przybyszów sformować kadry i, obsadziwszy takowemi Mołdawią północną, czekać na chwilę stosowną. Daremniemi atoli okazały się przedstawienia moje, perswazje i prośby. Młodzież, pomimo że się pod rozkazy moje oddała, nakazywała mi wymarsz bez względu na nic, a głośno o swoich i moich rozprawiając zamiarach, trudném niezmiernie czyniła położenie swoje i moje. Wskórałem jeno tyle, że umiarkowański posądzali mnie o kontrarewolucjonizm, zapalczywsi o zdradę. Zapobiegłem jednakże awanturze niewczesnej. Zapobiedz wszakże nie zdołałem temu, ażeby upatrzona przezemnie i pod względem każdym do organizacji tajemnej dogodna miejscowość skompromitowaną nie została ostatecznie. Była to przysługa, jaką mi wyświadczył Mierosławski. Na Mołdawią północną zwróciła się gadaninami nieroztropnemi obudzona baczność Austriaków i Moskali. Policja mołdawska śledzić poczęła za Polakiem każdym, a najbardziej za mną. Agentami tajnej austriackiej i moskiewskiej policji napełniły się miasta i miasteczka. Zamiast przeto o sztyftowaniu oddziału myśleć, trzeba się im oganiać było. Wspominam o tém dla tego, ażeby wytłómaczyć z góry powody, dla których w późniejszym czasie niemożliwą się stała na Mołdawii północnej organizacja oddziałów wkraczających. Nie miałem snadź dość powagi w obec młodzieży, któraby mi pomagać była powinna. Z ogółu onój wszelako wyłączyć i wymienić muszę kilku, którzy rozumieli powody postępowania mego; byli to: Zygm. Chmieliński, Kryłowski, Dr. Kwaśnicki, Stępkowski, Dr. Nowacki, Dr. Łabuźński, Fran. Narbutt, Kurniewicz, Minejko i kilku jeszcze

z nazwiska mi nieznanych. Dodać potrzeba, że liczba młodzieży zwiększała się ustawicznie przybyszami nowymi.

W styczniu roku 1862 przyjechał do mnie, do Michalen, Stefan Bobrowski, przy końcu wiosny Leon Frankowski. Bobrowski czynił przegląd zasobów, jakie powstanie polskie posiadało po zagranicami kraju, udał się więc dalej, do Konstantynopola, ztamtąd do Paryża. Frankowski wprowadził mnie w stosunek bezpośredni z zawiązanym w Warszawie Komitetem Centralnym, który ujął w ręce swoje ster sprawy polskiej i w miesiącu sierpniu powierzył mi kierownictwo główne czynnościom przygotowawczemi na Rusi i na Wschodzie. Przyjąłem to pod warunkiem, ażeby pozostawionym mi był wybór sposobów. Komitet Centralny warunek ten uznał i, wezwawszy mnie w listopadzie do Warszawy, zamianował naczelnikiem sił zbrojnych na Rusi i Wschodzie. Nominacja ta miała charakter tymczasowy, nadany jej na własne moje żądanie. Nie ufając sobie, zastrzegłem, że po wybuchu powstania, naczelnictwo na Rusi dostanie się Wysockiemu, albo Rużyckiemu. Komitet Centralny oznajmił mi, iż byłby zamianował Rużyckiego (Edmunda), lecz pobyt w kraju nominacją jego niemożliwą czyni; potrzeba zaś wyznaczenia naczelnika wypływa z potrzeby wywieszenia sztandaru, określającego z góry a wyraźnie charakter i rodzaj gotującej się walki i przyczyniającego się do przyspieszenia organizacji, nieraźnie klejącej się na Rusi. Racje te słuszne i ważne, usunęły wahanie się moje. Wziąłem na siebie obowiązek, najeżony trudnościami wielkimi.

Głównym powodem wezwania mnie przez K. C. do Warszawy była narada nad oznaczeniem terminu na wybuch powstania. Zastąłem kwestję tę przedyskutowaną. Termin nastęrczał się sam niejako. Zbliżała się epoka zamierzonej przez rząd moskiewski rekrutacji, przedstawiającej się, jako wyborny do poruszenia mass pretekst. Nie było jednak przygotowań żadnych: ani jednej sztuki broni, ani garści prochu, ani kawałka ołowiu. Za-

chodziło więc pytanie: czy korzystać z pretekstu, który się prze-
ważnie Kongresówki tyczył? czyli téż, rozwijając rozpoczętą
dopiero na Litwie i na Rusi organizację, w miarę postępu takowej
środki do walki gromadzić? Oświadczyłem się bez wahania za tem
ostatniem. Radziłem usiłowanie całe zwrócić na organizację,
termin zaś wybuchu odłożyć do Maja przynajmniej. Co do re-
krutów, byłem za tém, ażeby ich dać; zarazem jednak, celem
uratowania bodaj połowy z nich, urządzać wykradanie mło-
dych ludzi z komend rekrutskich i przechowywanie ich częścią
w Królestwie, częścią w Galicji, częścią na Multanach. Rekruci
zbiegli nadawaliby się chwili każdej do powołania pod broń, gdyby
broń była; poszukiwania zaś za nimi, któregooby rząd moskiewski
czynić nie omieszkął, utrzymywałoby ludność w stanie rozdra-
żnienia ustawicznego, któreby ją moralnie usposabiało do poparcia
wybuchu. Radziłem przedewszystkiem myśleć o broni, sprowadzić
na początek kilka przynajmniej tysięcy sztuk karabinów i za-
opatrzyć w takowe Królestwo i Ruś, a to w tym celu, ażeby
wybuch powstania wykonać równocześnie w Królestwie i na Rusi.
Chodziło mi o uprzednie zorganizowanie Rusi, o nadanie powstaniu
jój charakteru tego samego, w jakim się zawiązywało powstanie
w Królestwie. Nastawałem na to, w przewidywaniu, że powstanie
upadnie. W razie takim pozostałby fakt, świadczący w obec świata
i w obec naszego własnego sumienia, o prawach Polski do téj całości
jój politycznej, jaką dla niej dzieje urobiły. Zachodziła tu przytém
i racja strategiczna, wyrażająca się za pomocą rozerwania uwagi
nieprzyjaciela na obszar ogromny. Dla tego upierałem się przy
swojem w dyskusjach z członkami Komitetu, którego głównym
argumentem był ten, że odłożenie wybuchu do wiosny dotknie
w Królestwie organizację, składającą się po większej części z ludzi,
kwalifikujących się na rekrutów, branymi być mających w styczniu
(1863). Racje wszelako przezemnie podawane przeważały w końcu.
Na zapytanie moje, czy Komitet Centralny czuje się na siłach
wybuch powstrzymać, odpowiedziano mi, że, zdaje się, iż orga-

nizacja będzie posłuszną — posłuszną być musi, ponieważ zdanie ludzi kompetentnych za odłożeniem się oświadcza. Nie pytałem o nazwiska kompetentnych owych. Później dopiero dowiedziałem się, że byli to: Wysocki, Rużycki, Z. Padlewski i Z. Sierakowski. Żadnego z nich przy mnie w Warszawie nie było. Do ruchu w Styczniu parł komitet Mierosławskiego, który starał się działać na przekór Komitetowi Centralnemu.

Komitet Centralny zażądał odemnie planu powstania. Nie dałem go, nie posiadając danych, na którychby takowy oprzeć było można. Liczba sprzysiężonych, wynosząca 18,000, rozrzuconych na całej przestrzeni Kongresówki, nie wydała się mi podstawą dostateczną. Nadto brakło mi wiadomości o rozstawieniu wojsk rosyjskich, jakoteż o usposobieniu ogółu mieszkańców Polski. Zamiast planu przeto, napisałem dla Komitetu Centr. projekt osnowy następującej: Ludzie kompetentni powinni wybrać trzy lub cztery punkta na ogniska ruchu; w nich zgromadzić w ilości jak największej broń i amunicję. Jako jeden z punktów tego rodzaju wymieniałem Warszawę, przeznaczając takową na zapoczątkowanie powstania uliczną za barykadami walką, prowadzoną uporczywie i jak najdłużej, a to w tym celu, ażeby, podczas gdy na Warszawę zwróciłaby się główna uwaga i jak największe siły moskiewskie, powstańcy na prowincji mieli czas do ściągnięcia się na punkta zborne, do uzbrojenia się, uporządkowania i przystąpienia do działania zaczepnego przeciwko garnizonom nieprzyjacielskim, pozostającym na leżach. Warszawę radziłem po kilkudniowej walce opuścić i wyprowadzony z niej oddział złączyć z najbliższym oddziałem, sformowanym w jednym z punktów ogniskowych. Przypuszczałem, że oddziały w ten ściągnięte sposób wynosić będą po mniej więcej 10,000 walczących. Z niemi można było kusić się o oczyszczenie z nieprzyjaciela pewnej znaczniejszej części kraju, co dałoby możność formowania w części tej armii narodowej. Krwawe i bolesne powstania ostatniego doświadczenia utwierdza mnie w przekonaniu, iż w sposób ten

można było na podstawie działania wojennego zdobyć prowincje na lewym brzegu Wisły położone, pomiędzy granicami pruską a austriacką. Sposób ten zastosowanym być mógł na Litwie i na Rusi. Na podstawie onego z dziś na jutro walkę wznowić można; najprzód atoli przeprowadzić należy organizacją jak najobszerniejszą i ogarnąć nią Polskę całą, jeżeli nie w granicach 1772, to taką jaką była w granicach 1634, to taką jaką być może w rozwoju łączenia się wolnych z wolnymi, równych z równymi.

Warszawę opuściłem w grudniu w tém przekonaniu, że wybuch powstania nastąpi nie rychléj, jak na wiosnę. Wywiozłem ze sobą dwa skrypta: 1) nominację na naczelnika sił zbrojnych na Rusi i na Wschodzie i 2) kredytywę do porozumiewania się z rządami rumuńskim i tureckim. Zadanie, jakie mi w udziale przypadało, polegało na:

- 1) organizacji Krajów Zabrzanych (Podole, Wołyń i Ukraina);
- 2) organizacji Galicji wschodniej;
- 3) organizacji oddziałów wkraczających na Wschodzie (Rumunja i Turcja);

- 4) sprowadzeniu broni na Ruś drogą wodną przez Bosfor.

Co do organizacji Krajów Zabrzanych, tę, dla ułatwienia mi zadania, przeprowadzać miał Komitet Centralny drogą administracyjną, za pośrednictwem agentów swoich, z których jeden (nazwisko zapomniałem) przy mnie z Warszawy do Kijowa wyjechał, wzięwszy polecenia i instrukcje wspólne od Komitetu Centralnego i odemnie. W odniesieniu do organizacji téj rola moja była rolą punktu dośrodkowego: miałem ją koncentrować w sobie i kierunek militarny jój nadawać. Byłem naczelnikiem sił zbrojnych.

Co do organizacji Galicji wschodniej, ta w zawiązku była. Ława lwowska funkcjonowała już. Należało jeno ponaglać ją o pospiech w czynnościach i o rozwój na prowincji, w obwodach.

Organizacja oddziałów wkraczających należała do rzeczy późniejszych.

Sprowadzanie broni nagliło najbardziej. Przy mnie Komitet Centralny wyprawił do Paryża agentów w celu zakupu karabinów, z których 8,000 pójść miało na Wschód. Należało przeto co najspieszniej otworzyć dla nich drogę i zapewnić sposoby wprowadzenia ich przez Mołdawię na Ruś. W tym celu potrzeba było powynajdywać i pozawiazywać stosunki odpowiednie w Galacu i w Konstantynopolu.

W powrocie z Warszawy zatrzymałem się we Lwowie dla Ławy lwowskiej. Porozumiewałem się z nią, co do pospiechu w działaniu i co do raportów, jakie mi ona przysyłać się zobowiązała, tak w pewnych czasu odstępach, jakoteż w razach nadzwyczajnych. Ława funkcjonowała regularnie, w charakterze instytucji zależnej od Komitetu Centralnego. Członków jej nie znałem z imienia i nazwiska, z wyjątkiem jednego Mieczysława Romanowskiego, który zginął następnie.

W Krakowie albo we Lwowie zjechać się miałem ze Stefanem Bobrowskim, powracającym z Ukrainy. Rozminęliśmy się jednak. Dostałem jeno z Krakowa telegram, którym Bobrowski wezwał mnie, ażebym czekał na niego w Michalenach do Nowego Roku. Czekałem do Trzech Króli i doczekałem się telegramu, donoszącego mi, że Bobrowski nie przyjedzie już.

Komunikowanie się owo telegraficzne z Bobrowskim odnosiło się do spraw ruskich, dla których Bobrowski na Ukrainę jeździł. W Kijowie młodzież uniwersytecka czyniła zabiegi; w Żytomierzu funkcjonował komitet, skład którego był mi znany. Ani zabiegi młodzieży kijowskiej, ani starania komitetu żytomirskiego nie zdołały były jeszcze przykryć kraju siecią organizacyjną, bez której ani myśleć było można o samoistnym w Krajach Zabrzanych powstaniu. Organizacja rozwijała się, bardzo jednak powolnie i dla przyspieszenia to onęj jeździł Bobrowski na Ruś z polecenia Komitetu Centralnego, który go odsyłał do mnie ze zdaniem sprawy ze stanu rzeczy. Bardzo mi przeto zależało na rozmówieniu się z Bobrowskim przed udaniem się mojem

w podróż do Konstantynopola. Rozminawszy się z nim wszelako w drodze i nie doczekawszy się go w Michalenach, podróży dłużej zwlekać nie mogłem; ruszyłem na Jassy do Bukaresztu, zkąd miałem zamiar jechać dalej. Do pomocy wziąłem ze sobą Edmunda Dąbrowskiego.

W Jassach natknąłem się na obławę, jaką policja mołdawska zarządziła na Polaków. Dano im rozkaz opuszczenia kraju. Zapytywany przez nich, co począć i dokąd udać się mają, radziłem policji uledez (nieuledez sposobu nie było), na Dobrudżę się udać i tam na dalsze moje oczekiwać rozporządzenia. Z powodu, że Mołdawia północna skompromitowaną była, wówczas już powziąłem był zamiar formowania oddziału w Turcji. W Konstantynopolu, załatwiając sprawę transportu broni, upatrzyć chciałem zdolnego i energicznego naczelnika, któremuby oddział ów powierzyć było można.

Z Jass zrobiłem wycieczkę w okolice Huszu, do jednego z przyjaciół moich, który udzielić mi mógł dokładnych co do stósunków w Galacu informacji. Zastałem u niego żandarma z rozkazem, ażeby się we dwadzieścia cztery godziny z Mołdawii wynosił.

W obec tego krzątania się policji i tego uwijania się za Polakami żandarmerji, do Bukaresztu puszczać się nie mogłem, z obawy ażeby i mnie nie przytrzymano gdzie w drodze, tém bardziej, że nie spodziewając się niczego podobnego, zaopatrzyłem się w paszport na imię własne. Do Konstantynopola przeto wyprowadziłem Dąbrowskiego z listami, sam zaś powróciłem do Jass, zkąd Polaków wywieziono już.

W Jassach doszła mnie drogą dziennikarską wiadomość o przyaresztowaniu w Paryżu agentów Komitetu Centralnego, wysłanych po broń i o zabraniu im pieniędzy i papierów.

Pojechałem dalej do Botuszan.

W Botuszanach dowiedziałem się o wybuchu powstania.

Zmartwiałem z żalu i bólu.

Wiadomość ta wywracała wszystkie plany moje, niwecząc w zaczątku samą robotę, która do wykończenia zupełnego wymagała czasu miesięcy trzech przynajmniej i spokoju, bodaj względnego. Była ona dla mnie tém, czém jest piorun wśród dnia jasnego, spadający na łeb niespodzianie. Głęboko zaboląłem, przewidując obrót i koniec walki z gołemi rozpoczętą pięściami. Sił zabrakło Komitetowi Centralnemu do powstrzymania wybuchu, wywołanego przedwcześnie przez dwie wręcz jedna drugiej przeciwne przyczyny: przez kontrarewolucjonizm Wielopolskiego i przez ultrarewolucjonizm Mierosławskiego. Pierwszemu chodziło o „przecięcie wrzodu“ insurrekcyjnego i dla tego zarządził pobór nocny rekruta, mimo że zniszczonemi zostały spisy poborcze; drugiemu chodziło o wygranie procesu o władzę, na przekór władzy, która stanęła w kraju i cieszyła się powagą, usuwającą w cień powagę wichrzycielską pseudo-dyktatora.

II.

Roboty w Galicji w lutym i w marcu 1863.

Po wybuchu powstania zamiar mój jechania do Konstantynopola pozostawał zwichniętym : przyprowadzenie onego do skutku oddaliłoby mnie jeno od teatru działania, na którym osobistość moja miała funkcję wyznaczoną. Nie pozostawało mi przeto, jak powrócić do mojej kwatery głównej, do Michalen i starać się przedewszystkiem o rozjaśnienie sobie sytuacji, zmienionéj z gruntu. Tak téż uczyniłem. Powróciłem do głównej kwatery mojej, wystawionéj na sztych. Jak skorom się pojawił, natychmiast miałem do czynienia z policją, która mi nakazała niezwłoczne territorium mołdawskiego opuszczenie, składając się reklamacją moskiewską, domagającą się wydania osoby mojej. Pod pretekstem urządzenia interesów osobistych i zapewnienia spokoju dla żony i dziecka, wyjednałem sobie zwłokę kilkudniową, z której korzystając pchnąłem dwóch wysłańców, jednego do Lwowa, drugiego do Konstantynopola.

Do Lwowa pojechał Stępkowski. Zaleciłem mu powrót jak najspieszniejszy z informacjami, których zasięgnąć miał u Ławy. O wysłańcu do Konstantynopola wspomnę później.

W ciągu kilkudniowego w Michalenach pobytu objaśnienia napływały obficie, jedne oficjalne, inne nieoficjalne.

Pierwsze objaśnienie oficjalne otrzymałem pod postacią rozkazu Komitetu Centralnego, nakazującego mi niezwłoczne na Ruś wkroczenie. Rozkaz ów, podpisany przez pułk. Kurowskiego, naczelnika sił zbrojnych województwa krakowskiego, w zdumienie mnie wprowadził. Komitet Centralny znał przecie dokładnie położenie, w jakim się znajdowałem. Domyśliłem się, że dokument ów szanowny pułkownik z własnego wystawił natchnienia. W domyśle tym utwierdził mnie wręczyciel onego, młody człowiek, officer od huzarów rossyjskich, który, wysłany z Warszawy przez Komitet Centralny do mnie, po drodze widzieć się miał z Kurowskim, zetknąć z wydatnieszemi w Galicji osobistościami, mnie o wszystkim powiadomić i na Ruś się udać. Sprawozdanie wysłańca tego pełnem było otuchy. Opowiadał o ogólnym do sprawy powstania zapale. We Lwowie między innymi widział się z młodym ks. Adamem Sapiehą i ten wręcz mu oświadczył, że nadszedł moment, w którym Polak każdy buty ostatnie złożyć winien na ołtarzu ojczyzny; uważał się jeno, że Komitet Centralny do Galicji nie przeznaczył nikogo. — „Komitet przeznaczył Miłkowskiego... — wysłaniec na to — zgadzasz się książę na niego?...“ — „Otwartemi przyjmujemy go ramiony“ — była odpowiedź. Była to dla mnie skazówka jedna z ważniejszych, wiedziałem bowiem o więtości, jakiej książę A. S. w Galicji używał. Wysłańca tego wyprawiłem z poleceniem, nakazującym wszelkie na Rusi rozporządzałne fundusze odsyłać do Konstantynopola, na ręce Franciszka Sokulskiego; na podstawie zaś raportu jego o stanie rzeczy w Galicji, skreśliłem instrukcją, tyczącą się organizacji w obwodach wschodnich oddziałów zbrojnych i instrukcją tę przesłałem Ławie lwowskiej za pośrednictwem Rafała O.

Objaśnienia nieoficjalne napływały co chwila; wszystkie mniej więcej pocieszającej były natury. Jedno mianowicie, charakterem półoficjalnym nacechowane, wydało mi się wielce obiecującym znakiem życia, danym przez Ławę lwowską, która, mimo zobowiązanie się, raportów mi nie zdawała. Przywiózł je

Anaklet Bohdanowicz, szczerzy polski stary żołnierz, obywatel z Brzeżańskiego, który ze Lwowa wprost jechał z wezwaniem, ażebym przybywał tam jak najrychlej, dowództwo obejmował i prowadził. Dziwa opowiadał mi o zapale, jaki Galicją ogarnął.

Niebawem powrócił Stępkowski i od niego dostałem wiadomość nie nader wesołą. Zapał, wedle sprawozdania jego, w rzeczy samej Galicję ogarnął; porwał jednak i Ławę lwowską, która, zapominając o obowiązku, jaki wzięła na siebie, porzuciła porozpoczynane roboty organizacyjne i do powstania poszła.

Wiadomość ta bardzo była smutną. Ława zaczęła już była organizację na prowincji — ponawiały stósunki, pobrała tu i owdzie zobowiązania — ześrodkowywała w sobie czynność. Z upadkiem jej upadała nadzieja jakiego takiego w Galicji ładu. Wszystko trzeba było rozpoczynać na nowo i to w momencie do rozwijania organizacji porządną najniesposobniejszą. Dodać do tego należy, że pod względem tym nie lepiej stały i Kraje Zabrane, w których także wszystko jeszcze prawie do zrobienia było.

Z wróżb, jakie z objaśnień powyższych wynikały, jako też ztąd, że powstanie, nie w porę wywołane, trzyma się jednak, wymiarkowałem, iż nie upadła bynajmniej racja działalności na Wschodzie. Owszém, Wschód, jako grunt, na którym sprawa polska wchodziła w styczność z interesami europejskimi, wydał mi się ważnym i zajęcie onego uważałem za potrzebne. W skutek tego wyprawilem do Konstantynopola Józefa Czajkowskiego, zaopatrzywszy go w list do Sokulskiego i w informacje szczegółowe, dotyczące się głównie broni, tak téj, któraby mogła z Zachodu przyjść, jako też téj, któraby się na miejscu do kupienia znalazła. Z tém łączyła się organizacja oddziału orężnego, mogącego na teatr walki wnieść akcent militarny żołnierza regularnego i w ogniu wypróbowanego. Życzyłem sobie, ażeby oddziałowi temu przewodniczył albo Zygmunt Jordan, albo Fjałkowski, albo generał Breański. W sensie tym pisałem do Sokulskiego, któremu z rozkoszą prawdziwą składałem podziękowanie publiczne za

gorliwość, z jaką, pomimo że nie posiadał tytułu urzędowego, zajmował się sprawą polską. Wręczyłem tudzież Czajkowskiemu odezwę do emigracji polskiej, na Wschodzie przebywającej, zalecając jęj zbliżenie się przyjazne tak do Sadyka paszy, jak do utrzymującej tam agenturę stałą czartoryszczyzny, ze względu na to, że w obec rozpoczynającej się w Polsce walki ustać winny wszelkie spory i zatargi partyjne.

Dnia 15 lutego 1863 r., przekradłszy granicę bukowińską, udałem się do Galicji, podążając do Lwowa. Jechać inaczej nie mogłem, jak pocztą obywatelską, odsyłany od szlachcica do szlachcica. Cierpiał na tém pospiech; zyskiwałem jednak to, żem naocznie sprawdzić mógł ów zapal, o którym w Michalenach relacje miałem. Uderzała wszakże obok tego anarchja, tak w myślach i pojęciach, jak w czynnościach, wynikająca z braku organizacji uprzedniej, która sama jeno zelektryzowaniu temu nadać mogła kierunek pewny i ład. Na jednej ze stacyj poczty obywatelskiej zabiegł mi drogę wysłaniec z Podola, od komitetu kamienieckiego, z wiadomościami o stanie rzeczy w tęp części Polski i z żądaniem rozkazów. Rozkazy moje nie mogły mieć celu innego, jeno powstańczy. Polecilem gotować się do wybuchu na miesiąc marzec, dając przytęp wysłańcowi instrukcje, tyczące się organizacji wojskowej.

Polecenie moje i instrukcje odnosiły się do planu działania, jaki w chwili owęj powziąłem. Wytłumaczyć się muszę z onego.

Plan mój, w braku podstaw innego rodzaju, opierać się musiał przedewszystkiem na podstawach czysto moralnych. Tłumaczyły się one zapalem, którego źródłem był patriotyzm. Patriotyzm cuda sprawia — prowadzi do zaparcia się siebie. Miałem przeto prawo przypuszczać, iż bezpośrednim w chwili owęj zaparcia się siebie wynikiem będzie posłuszeństwo wodzowi, który, jeżeli nie ma za sobą wzbudzających ku niemu powszechnie a nieograniczone zaufanie antecedensów, to nie ma i takich, któreby nieufność budziły. Pod względem militarnym i pod względem

osobistego charakteru mego, byłem zupełnie ogółowi, w Galicji zwłaszcza, nieznanym. W Krajach Zabrzanych posiadałem miru nieco wśród rówienników moich, co mi szkolne pamiętali czasy i w téj, liczniejszej aniżeli w Galicji sferze, którą piśmiennictwo polskie obchodzi. W Galicji takich nawet brakowało mi rekomendacyj. Przemawiało za mną to jeno, że, na rozkaz władzy na czele sprawy stojącej, stawałem na czele siły zbrojnej, którą w sprawie téj obowiązana była wystawić Ruś Czerwona. Innego nie posiadałem tytułu. Ze względu więc na zapal i na patrijotyzm, jaki ogarniał ogół, miałem prawo przypuszczać, że tytuł ów jest aż nadto dostatecznym do wyrobienia mi posłuszeństwa, o potrzebie którego w czynnościach wojennych wie każdy z elementarza niemal. Mimo to, chętnie byłbym stanowiska mego ustąpił, gdyby było komu, to jest, gdybym był pewny, że ten, na rzecz czyją zrzekłbym się takowego, słuchanym będzie ślepo dla innych aniżeli rozkaz Komitetu Centralnego powodów.

Taką była podstawa jedna, najważniejsza, planu, jaki zasnulem. Podstawa to chwiejna — prawda; — wszakże nie było innej do zastąpienia onéj. Obok niéj stała świadomość o liczbie i rozkładzie wojsk moskiewskich w Krajach Zabrzanych. W Kamieńcu stał batalion I. pułku Siewskiego, w Izakowcach rota I. tegoż pułku, w Lanckoronie i okolicy batalion I. tegoż pułku, w Husiatynie rot 3 t. p., w Iwachnowcach i Olchowcu batalion I. t. p., w Kupinie i okolicy bat. I. t. p., w Satanowie rota I. p. Brańskiego, w Tarnorudzie rota I. t. p., w Hreczanie rota I. t. p., w Sołomnie rota I. t. p., w Czarnym Ostrowiu rota I. t. p., w Płoskirowie batalion I. t. p., w powiecie Mohylowskim 7 rot t. p., od Wołoczysk do Wiśniowca rot 8 pułku Orłowskiego. Dubno, Łuck, Włodzimierz i Kowel zajęte były przez 17,000 pod dowództwem gen. Salikowa. Generał Rodanowski wyprawionym był w Kowelskie. Wnętrze Krajów Zabrzanych ogłoconém było prawie z wojska, ściągniętego do Kijowa; miasta powiatowe posiadały komendy inwalidów do boju nieprzydatne; w marcu przeto

Moskale posiadać nie mogli sił dostatecznych do przeszkodzenia powstaniu, gdyby organizacja rozwinęła się była w porze właściwej. Nie mieli oni więc, jak tysiące trzydziści, na ogromnej trzech gubernii przestrzeni rozrzuconych, siebie niepewnych i przerażonych. Władze administracyjne i policyjne pozostawały bez instrukcyj i nie miały czasu wpłynąć na lud wiejski, który, niezbałamucony insynuacjami, obietnicami i rozkazami, jakiemi obsypano go później dopiero, a pełen wspomnień z roku 1855, gotów był oświadczyć się za tym, ktoby pierwszy z inicjatywą wyzwolenia do niego się zgłosił.

Organizacja atoli w Krajach Zabrzanych tak jeszcze słabą i tak niesfornie prowadzoną była, iż sama z siebie powstania wykrzesać nie mogła. W chwilach, w których już na koń wsiadać należało, błąkała się ona w sferach umawiań się, porozumiewań i obliczań, wymagających do wykończenia organizacji jakiego takiego miesiący kilku, tyle właśnie, ile nieprzyjacielowi potrzeba było do opamiętania się, wzmocnienia sił, pobrania środków ostrożności i obałamucenia ludu. Zachodziła konieczność uprzedzenia tego wszystkiego; do uprzedzenia zaś sposobu innego nie było, jak z zewnątrz — z Rusi Czerwonej — przyjść organizacji Krajów Zabrzanych w pomoc, postawić ją w konieczności działania szybko i stanowczo, przejąć ją ogniem czynu.

Na danych powyższych, pomiędzy którymi patryotyzm, posłuszeństwo wodzowi nakazujący, główną odegrywał rolę, oparłem plan działania mego. Główna, streszczona osnowa onego wyraża się krótko. Plan ów polegał na tém, ażeby z Galicji Wschodniej wyciągnąć siłę orężną, jaka wyciągnąć się da i z nią wykonać rdzenne do Krajów Zabrzanych wkroczenie.

Siłę w przybliżeniu obrachowywałem po ludzi trzystu na obwód, co, biorąc obwodów dwanaście, czyniło głów 3,600 — najmniej, liczba okrągła 3,000.

Z tym, obmyślonym co do sposobu formacji, uzbrojenia i punktów zbórnych planem, przybyłem do Lwowa w dniu 22.

czy 23. lutego. Pozostawało wykonanie onego; do wykonania atoli potrzebowałem koniecznie na miejsce ulotnionej Ławy wy- naleść lub postawić władzę jakąś, któraby ze mną w porozumieniu działać chciała, powagą zaś swoją i środkami rozporządzania moje wspierać mogła.

Niestety! zastałem we Lwowie chaos, wśród którego orjentowanie się, jeżeli nie niemożliwem, to trudnóm było niezmiernie. Komitetów stańło pięć: Białych, Bratniej pomocy, Miejski, Młodzieży i Mierosławskiego. Żaden z nich nie posiadał tyle znaczenia, ażeby neutralizował inne; w obec powstania zaś każdy odmienne zajął stanowisko. Komitet Białych, czyli Biały, nie uznawał ani powstania, ani władzy onego. Komitet Bratniej pomocy uznawał jedno i drugie, lecz był bez środków i bez wyraźnych na prowincji stósunków. Komitet Miejski powstanie uznawał, ale nie miał ustalonego o legalności władzy Komitetu Centralnego pojęcia, dla urobienia sobie którego wysłał do Warszawy pełnomocnika swego i przed powrotem takowego nie przedsiębrać nie chciał. Komitet Młodzieży zawiązał się dla dogodzenia ambicjom młodociannym, nie pewnym co uznawać, czego nie uznawać i co poczynać. Komitet Mierosławskiego nakoniec uznawał powstanie, ale jako emanację dyktatury in partibus.

Śród chaosu tego osłabnąć we mnie znacznie musiało zaufanie w możliwość przeprowadzenia planu mego. Komitety toczyły ze sobą żartką domową wojnę. Zgodzić się na jedno, złać się w jedno, działać wspólnie, nie przeszkadzać zresztą jeden drugiemu, na to zdobyć się nie mogły; działając zaś odrębnie, rozszarpywały patriotyzm na pięć części, krzyżujących się wzajemnie. Z pośród krzyżowania tego trudno, bardzo było trudno wysnuć wyprawę na Ruś.

W obec trudności téj jednak, nie zrozpaczyłem. Rozpatrzywszy się w komitetowej pentarchji, poznałem, iż w istocie rzeczy redukuje się ona do dwóch ognisk, porozumienie z którymi

do jakichś doprowadziłoby mogło rezultatów. Ogniskami temi były: Komitet Biały i Komitet Pomocy bratniej.

Komitet Biały miał za sobą przewagę powagi, złożonym był bowiem z ludzi głośnych i możnych, takich jak Smolka, Ziemiałkowski, Aleks. Dzieduszycki, ks. Adam Sapieha. Komitet Pomocy bratniej nie posiadał w łonie swoim znakomitości takich, składał się jednak z ludzi zacnych i znanych, co zaś najbardziej, dawał przykład karność rewolucyjnej, ulegając bezwarunkowo rozkazom Komitetu Centralnego. W wyborze przeto pomiędzy dwoma temi ogniskami wahanie się miejsca mieć nie mogło, zwłaszcza zaś, że komitet Biały przez usta Smolki, jednego z najpopularniejszych członków swoich, wyrzekł się wszelkiego w powstaniu spółudziału, przez usta zaś drugiego, również szerokiej używającego popularności, Aleks. Dzieduszyckiego, objawił, że Galicja myśleć tylko powinna o jałmużnie dla tych, co bosi, goli i głodni z Królestwa uciekną. Ziemiałkowski martwił się postanowieniami komitetu, do którego należał. Jeden tylko księżę Sapieha, nazywając nie po cichu d.... Sm. i Dz., okazywał ochotę wspierać powstanie. Zetknąłem się z panami tymi. Księżę S. nie przyjął mnie „ramionami otwartemi“, jak to był wysłańcowi Komitetu Centralnego zapowiedział. Ziemiałkowski bez wahania uznał wszystko, com mu przedstawiał, na stawiane jednak przezemnie żądania odpowiadał niememi gestami, które poparł wykazem składek, wynoszących w chwili owój około 6,000 złr. Aleks. Dzieduszycki wywołał we mnie uczucie podziwu wstrętem podszytego, wytoczywszy do mnie pretensją osobistą o to, że przed czteru laty sprezentował się mu nie pod własnym, ale pod przybranym, paszportowym (Melko) nazwiskiem. Z tymi przeto panami, którzy, dzierżąc w ręku swoim organizacją Towarzystwa Rolniczego, nie miałyby powstaniu korzyść przynieść mogli, o wyprawie na Ruś ani gadać było można. Z wyjątkiem ks. Sapiehy i wahającego się Ziemiałkowskiego, oświadczyli się oni przeciwko powstaniu stanowczo i wyraźnie,

bez względu na to, że oświadczeniem tém własną podkopywali więźność. Gdyby nie zmiana osób, która nastąpiła później nieco, komitet ten doszedłby był do absolutnej w szkodzeniu sprawie niemożliwości; istniałby sobie zapewne pod przykryciem szklanego legalności dzwonu, organizacja zaś byłaby stanęła pomimo niego i — przypuszczać należy — byłaby stanęła dobrze.

Pozostawał tedy, jako jedyny dla mnie do działania w Galicji punkt oparcia, komitet Pomocy Bratniej. Był on spadkobiercą Ławy dawniejszej. Na wstępie samym wyrządził mi psotę straszliwą. Pomimo instrukcyj, jakie za pośrednictwem jego obwodom przesłałem, napisał, nadrukował i rozesłał odezwę, wzywając Polaków, ażeby każdy, jak kto może, nie oglądając się na nic, na plac boju do Kongresówki spieszył. Odezwa ta wydana została na złość i na przekór komitetowi Białemu, wzywającemu Polaków, ażeby w domu siedzieli, nie mieszając się do niczego. Krzyżowała ona zamiary moje z góry. Złe atoli nie wydawało się nie do naprawienia. Komitet poznał je, uznał i wnet przedsięwziął kroki, mające na celu wycofanie niewczesnej odezwy z obiegu, zastępując ją inną i biorąc za podstawę organizacji wojskowej instrukcję przezemnie napisaną, obejmującą formacje oddziałów, jakoteż uzbrojenie i umontowanie ludzi. Zbroić się polecałem: piechocie: w strzelby myśliwskie i topory, jeździe: w lance i szable. Komitet podejmował się postawić w przeciągu tygodni dwóch po obwodach władze, zając się mające specjalnie wykonywaniem rozporządzeń moich. Wojskowość reprezentowaną była w Komitecie przez dwóch zacnych i kompetentnych ludzi, Skulimowskiego i Tadeusza N.*) Wszystko to rokowało rezultaty do pewnego stopnia pomyślne, dając nadzieję, że żywioł istotnie patrijotyczny, zrozumiawszy potrzebę karności i ładu, wyłączyć się da tak z pod wpływów komitetu Białego, działającego przez

*) Niewiadomskiego?

organa Tow. Rolniczego, jakotóż z pod wpływów anarchji, deklamującój, ale bez rozgłosu zbytecznego.

W chwili kiedy się roboty organizacyjne komitetu Pomocy Bratniej zawiązywały na serjo, do Krakowa przybył Wysocki i wezwał mnie telegrafem do siebie. Wezwanie to, a raczėj przybycie Wysockiego uradowało mnie wielce. Zjawiał się człowiek, któremu sumienie moje pozwalało wręczyć władzę, za zbyt ciężącą barkom moim. Wysocki posiadał tytuł generała; w kampanii węgierskiej złożył dowody zdolności wojskowych; był człowiekiem nieposzlakowanąj zacności, przystępny i łagodny; pochodził przytém z Rusi: łączył więc tytuły wszystkie, zjednać mu mogące zaufanie publiczne, a z niem i posłuszeństwo, bez którego w żadnej najrewolucyjniejszej wojnie obejść się nie sposób. Natychmiast przeto do Krakowa ruszyłem, z postanowieniem niezłomném podania się do dymisji i zażądania od Komitetu Centralnego naczelnictwa na Rusi dla Wysockiego.

Przed wyjazdem do Krakowa otrzymałem oryginalną w imieniu generała Mierosławskiego propozycję. Agent czy pełnomocnik generała, J. Niedzwiedzki, oświadczył mi, że jeżeli uznam generała, jako wodza naczelnego, w razie takim on uzna nominację moją na naczelnika Rusi. Odpowiedziałem, że generał, jeżeli w rzeczy samėj jest wodzem naczelnym, ja go nie uznawać prawa nie mam; wiedziałbym jednak o tém nie od pana Niedzwiedzkiego, ale od Komitetu Centralnego. Więcej żadnych od chwili wybuchu powstania do końca ani z Mierosławskim, ani z agentami jego stosunków nie miałem — co nie przeszkodziło, że pomiędzy szlachtą krążyło dowcipne księcia A. S. powiedzenie, czyniące mnie „mierosławczykiem i to najgorszym, bo zakapturzonym.“

W Krakowie porozumiałem się z Wysockim od razu. Przedstawiłem mu stan rzeczy we wschodnich Galicji obwodach; powiedziałem mu, że brzemie naczelnictwa, tak ważnego i rozległego, nad moje jest siły; wyłożyłem mu plan mój w szczegółach najdrobniejszych i zaproponowałem przewodniczenie Rusi. Wysocki

nie wzbraniał się przyjęcia propozycji, lecz nie inaczej, jak za wiedzą i wolą Komitetu Centralnego, który (o czém się od niego dopiero dowiadywałem), podzieliwszy teatr wojny na cztery części, dla każdej osobnego przeznaczył naczelnika. Na Litwę zamianował nie pomnę kogo (Sierakowskiego podobno), na prawym brzegu Wisły Mierosławskiego, na lewym Wysockiego, na Rusi mnie.

Z trzydniowego pobytu mego w Krakowie zanotować winienem fakt, który następstwa sprowadził. Nadeszła wieść z Wiednia o usposobieniu najwyższych sfer rządowych względem powstania polskiego. Przywiózł ją Smolka i zakomunikował Wysockiemu w obecności mojej i Leona Chrzanowskiego. Wywarła ona na mnie wrażenie nieosobliwe. Sens onój streszczał się w następującem Smolki wyrażeniu: „Cesarz pozwala sobie o powstaniu polskiem mówić, a nawet nie oburzają go wyrazy „Polska niepodległa.“ Opowiadał oraz o sprzyjaniu sprawie polskiej Szmerlinga i Rechberga, jako téż o tém, że sztaby głośno za powstaniem się oświadczają. Z wieścią tą z Wiednia łączyła się wieść z Paryża, która przyszła drogą telegraficzną. Ta ostatnia, udzielona — jak mi się zdaje — przez Chrzanowskiego, zalecała powstańcom „trzymać się jak najdłużej, albowiem o Polsce myślą.“ Smolka żywo i z przejęciem się widoczném rozprawiał o objawach tych, brzemiennych pomocą zewnętrzną, zarysowującą się pod postacią świtania na horyzoncie dyplomatycznym myśli interwenjowania na rzecz Polski. Myśl ta nie zachwycała mnie; przeciwnie, dziwiło mnie, że Smolka, ów trybun ludu, którego więźności piedestałem było rusztowanie, mógł do niej wagę przywiązywać. Dodać należy, iż do objawu onego łączył się dodatek mały — warunek, „ażeby powstanie pewnych nie przekraczało granic.“ Warunek ten wydawał mi się mocno podejrzanym. Austria — jakież w odniesieniu do Polski zajmuje stanowisko? — czyż nie takie same, jak Moskwa? Jak skoro przeto interwencji na rzecz Polski nie zaczyna od zrzeczenia się części swojej zaboru, póty na sprzyjanie jój rachować zgola nie możemy. Cóż

bowiem ono znaczyć może! W politycznym względzie i w dyplomatycznym sensie ma jedynie rację bytu Polska potężna, zdolna na wodzy Moskwę i Niemcy trzymać. Potężną ona bez Galicji być nie może. Zapał więc, z jakim Smolka o objawach sympatji wiedeńskiej mówił, nie poruszył mnie; kombinacje zaś, jakie ztąd wysnuwał, wydawały mi się nieracjonalnemi. Racionalność upatrywałem w kierunku innym, w kierunku rewolucyjnym, przypuszczając, że powstanie polskie, jeżeli się utrzymać zdoła, wywoła ruchy w Austrii, a mianowicie na Węgrzech, w Czechach, w Lombardji; że sprowadzi powtórzoną edycję wojny włoskiej z r. 1859; że ruchy te wyzwolą Galicję i dadzą nam podstawę do regularnej przeciwko Rosji wojny. Przypuszczalność podobna możliwą mi się widziała i stanowiła powód, dla którego uważałem za potrzebne podtrzymywanie jak najdłuższe i jak najenergiczniejsze działania insurrekcyjnego.

Układy moje z Wysockim, co się naczelnictwa na Rusi tyczyło, rozstrzygnęły się w ten sposób, żeśmy obydwaj napisali do Komitetu Centralnego i ja podałem się do dymisji, dodając do podania mego formalne a umotywowane żądanie zamianowania naczelnikiem Wysockiego. Motywa nastroczały wypadki na teatrze walki. Na lewym brzegu Wisły uwydatniła się osobistość Langiewiczza. Wysocki gotów był w ręce jego buławę złożyć i pójść pod dowództwo, albo jego, albo też, gdyby tego potrzeba wymagała, pod moje. Postanowił więc czekać na odpowiedź Komitetu i, na naleganie moje, przyrzekł zjechać do Lwowa, w celu poparcia robót przezemnie zasnutych. Jakoż we dwadzieścia cztery godziny po moim do Lwowa powrocie, przybył tam i Wysocki.

Przez czas krótki nieobecności mojej, stan rzeczy w stolicy Rusi czerwonej zmienił się z gruntu. Komitet Biały odzyskał zachwiany kredyt. Osięgnął to za pomocą wykluczenia z łona swego kompromitujących go członków, Aleks. Dzieduszyckiego i podobno Smolkę, a przybrania na miejsce ich Antoniego Gole-

jewskiego i Artiura Gołuchowskiego. Do kroku tego popchniętym został, w części, przez nalegania ks. A. Sapiehy, którego na serjo gniewali „d.....“, w części, przez owe, o których wyżej wspominam, przez Smolkę z Wiednia przywiezione i telegraficzną drogą z Paryża przysłane wiadomości. Dzięki wiadomościom tym, komitet Biały wnet inną śpiewać począł piosneczkę. Powstanie przestało być w oczach jego „nieszczęściem przez szewczyków i krawczyków na Polskę sprowadzonem;“ udostoił je zaszczytem uznania. Pieniądze, jakieby w Galicji zebrać się dało, przestały mieć znaczenie jałmużny „dla bosych, gołych i głodnych;“ nadano im od razu charakter militarny; postanowiono reńskie papierowe mieniać na broń palną i sieczną, na proch i kule i wszystko to, kosztem i staraniem Galicji, do Królestwa przenosić. Młodzież galicyjska, wzywana do siedzenia w domu i nie mieszania się do niczego, dostała pozwolenie udawania się na teatr walki i obietnicę wsparcia w razie, gdyby takowego potrzebowała.

Komitet Biały tak wielką posiadał przewagę, że, jak skoro z powyższém wystąpił postanowieniem, natychmiast odzyskał zachwianą mocno popularność, zaćmiewając przytém komitet Pomocy Bratniej. Czemuż popularności téj nie użył jak należało?

Odpowiedź na to łatwa. Radził się nie uczuć polskich, ale wskazówek dyplomatycznych, z których, ażeby módz korzystać, potrzeba umieć je cenić, to jest, potrzeba posiadać rozum dyplomatyczny, odpowiedniemi podszyty środkami. Gdzież były środki nasze? — W rękach téj młodzieży heroicznej, co z kosą lub z kijem w garści na moskiewskie szła bagnety. Co zaś do rozumu dyplomatycznego, takowego nadaremnie szukalibyśmy w całej historii naszej, a jeszcze daremnie w głowach tych powag galicyjskich, z których ostatecznie złożył się komitet Biały.

Słówko o powagach owych. Z góry oświadczam, że nie posądzam ich, tém mniej zaś oskarżam, bądź o złą wolę, bądź téż o brak patryjotyzmu. Przeciwnie, głęboko przekonany jestem, iż każdy z panów tych Polskę kochał i gotów był okupić ją

mieniem i życiem własném. Zarzut najważniejszy, jaki do nich wystosować można, był ten, że rachować chcieli, nie umiając arytmetyki elementarnéj, że — zamykali oczy na to, co było jasném, wyraźném i głośném, a zapuszczali wzrok w ciemności, w których, przy najlepszej w świecie woli, nie widzieć w stanie nie byli. Błądzili przeto — z konieczności rzeczy. Błąd ich kapitalny polegał na tém, że Galicję oddzielili od sprawy polskiej, stawiając ją względem téj ostatniej w charakterze sprzymierzeńca, z którym ona o szczegół każdy umawiać się i targować musiała.

Posiadali jednak popularność — wziętość — opierającą się nie tyle na zasługach, na złożonych dowodach rozumu, co na głośności, otaczającej nazwiska członków komitetu, którego duszą i głową był książę Adam Sapieha. Książę zaledwie wychodził z lat wieku młodzieńczego. Natura obdarzyła go zdolnościami wielkimi i temperamentem zabarwionym dziwacznością, zagadkową nieco. Słowa jego i czyny niektóre, chętnie podchwytywane i opowiadane, w osłupienie wprawiały hreczkosiejów pocziwych. Był to młody wielki pan niezwykajny, nie idący drogą, przetorowaną przez wielkich panów zwyczajnych, wpatrujących się w klucze szambelańskie i w uśmiechy cesarsko-królewskie. W stronę tę nie zwracał on tęsknych oczów, ale, niby rumak arabski czystej krwi, gryzł niecierpliwie wędzidło i pjaną ciskał. Wędzidle dla niego było obce nad Polską panowanie. Zawadzało mu ono i dokuczało. Opinia publiczna wiedziała o tém; i osobliwość ta, wyjątkowa w sferze wielkopańskiej, zyskiwała dla niego w Galicji kredyt patriotyczny powszechny i bezwzględny. — Po księciu najważniejszą w komitecie rolę odegrywał Antoni Golejewski, człowiek w sile wieku, głośny z dowcipu wrodzonego i śmiałości w obec officerów austriackich, których umiał na dudków wystrychiwać. Wziętość szczególną zapewniło mu otwarte w sejmie lwowskim wystąpienie, którym skonfundował najęźsze rozumy adwokackie, usiłujące paragrafami i wymową osłonić wyrzucenie z grona poselskiego osławioną z czasów rzezi galicyjskiej osobi-

stość. Słabą stroną jego stanowiła wiara w głębokość rozumu dyplomatycznego własnego, manifestująca się pod postacią weredyczności, polegającej na tém, że gadał, co mu ślina na język nosła, i co powiedział, przy tém się upierał, gromadząc argumenty dowcipne, pozostające z rozumem w pokrewieństwie bardzo, bardzo dalekiem. — Daléj szedł Artiur Gołuchowski, głośny roztargnieniami i na wzór angielski przykrojoném dziwactwem, człowiek zacny, do gawędki wyborny, dobry sąsiad, dobry Polak, trochę pisarz, osobiście odważny, lubiący się zabawiać lekturą dzieł treści woj-skowej, lubiący przypatrywać się bitwom, słuchać gwizdania około uszów kul i przekradać granice bez paszportu, ale bez wyrobionego na rzeczy poglądu, wielomowny, w zdaniach chwiejny i na eklektyzm chorujący; ten, jako officer polski z r. 1831, wojskowość w komitecie reprezentował. — Czwartą postacią był Ziemiałkowski, piątą nie wiem kto. O tych ostatnich to jenó powiem, że szli za zdaniem większości, z góry dla księcia A. S. zapewnionéj. Opozycyjność personifikował Golejewski; że atoli pochodziła ona z wyżej oznaczonej weredyczności, pozostawała przeto w mniejszości. Komitet używał Golejewskiego w razach, gdy komu z „natrętnych“ wypadało „prawdę wyrznać.“ Ponieważ zaś natrętnych dużo było, weredyk przeto komitetowy zajęcia miał nie mało.

Uważałem za potrzebne zcharakteryzować komitet Biały dla tego, że on głównie i niebawem wyłącznie kierował w Galicji czynnościami, mającemi z powstaniem polskiem styczność; epoka zaś, w której się kierunek ów rozpoczął, datuje się od chwili zmiany dwóch osobistości. Ze zmianą tą zaszła zmiana polityki, a z tą ostatnią upadło znaczenie komitetów innych. Komitet Biały stanął na czele téj części ludności, która, pod nazwą szlachty, obok tradycji polskiej w sercach przechowywanéj, dzierży w ręku swoim środki znaczne, posiada pieniądze, zamieszkuje mniej więcej obszerne dwory, rozporządza fornalkami, czyli: ma możność kupowania broni, ukrywania i żywienia powstańców, urządzania

transportów, utrzymywania poczty, fabrykowania rekwizytów i pełnienia wszelkich funkcij patryjotycznych, wymagających poświęcenia i dyskrecji. Ta bezwarunkowo cała podporządkowywała się pod władzę komitetu Białego. Część inną ludności, również patryjotyczną, lecz środków materialnych pozbawioną — oficjalistów, rzemieślników, mieszczan i dzierżawców niektórych — można było pozostawić pod zależnością od komitetu Pomocy bratniej. Doczegoby to jednak doprowadziło? — do zatargów, do wojny domowej, w chwili kiedy wojować należało z Moskwą. Gdyby chodziło o rewolucję w Galicji, wojna tego rodzaju rozstrzygnęłaby się wnet na stronę jedną lub drugą. Lecz w obec potrzeby niesienia pomocy na teatr zakordonowy, formowania oddziałów cichaczem, transportowania ochotników i oręża ukradkiem i zbierania funduszków w sekrecie jak największym, zatargi domowe uniemożliwiałyby działanie wszelakie. Nie było przeto rady ani wyboru. Chcąc w Galicji możliwą dla powstania wyciągnąć pomoc, nie pozostawało jak, nie zrywając z komitetem Pomocy bratniej, który na walorze stracił, ani z komitetem miejskim, który się na miasto ograniczał i nie zważając na komitety Młodzieży i Mierosławskiego, które żyły życiem motylem, wejść w porozumienie z komitetem Białym.

Tak się przedstawiał stan rzeczy, kiedyśmy z Wysockim przyjechali z Krakowa do Lwowa. Nowa ta stosunków galicyjskich faza nie wydawała mi się obiecującą, we względzie zwłaszcza zamierzonej przezemnie wyprawy. Silny atoli poparciem Wysockiego, wszedłem z komitetem Białym w styczność. Głównie chodziło nam o Ruś.

We względzie tym natknęliśmy się od razu na szkopuły, jeden po drugim.

Pierwszym szkopułem były nieszczęsne owe „pewne granice.“ Komitet tłumaczył, że oznacza to Królestwo, w którym powstanie zamknąć należy. Bóg jeden chyba wie, ileśmy wyekspensować musieli argumentów, zanim przekonać zdołaliśmy, że tego rodzaju

ograniczenie byłoby dla Moskali ułatwieniem pokonania powstania, co nie zgadzałoby się z owym telegramem z Paryża, zalecającym trzymanie się jak najdłuższe.

Szkopuł drugi wystąpił pod postacią skrupułu: czy Ruś w rzeczy samej powstawać chce? „Jeżeli chce — rozumował komitet — to powstanie i bez pomocy naszej; jeżeli jednak nie chce, w razie takim, wyrzadzimy jęj krzywdę, kraj narazimy na prześladowanie, wywołamy rzeź chłopską, — chociażby zaś ani prześladowań, ani rzezi nie było, to świat (czytaj dyplomacja) powie, że to nie Ruś powstała, lecz powstanie wywołała w niej Galicja.“ Zauważyć należy, że racje te podsuwanemi były przez mędrców, przybywających za paszportami z Krajów Zabrzanych, którzy, zwiertzywszy powstanie, salwowali przed perspektywą onego osoby własne. Stawiali się oni niby świadectwa autentyczne. Świadectwa te obalać należało *per fas et nefas*: że Ruś z pewnością powstaćby chciała, ale nie może; że rzezi niezawodnie nie będzie; że wśród ludu tradycja r. 1855 wygasnąć czasu jeszcze nie miała; że, nakoniec, Galicja jest nie czém inném jeno Polską, obowiązana w razach takiej jak ta potrzeby nie oglądać się na to, co „świat powie,“ lecz spieszyć ojczyźnie walczącój z pomocą wszędzie, gdzie ona takowój potrzebuje. Świat sądzi czyny dokonane, nie wchodząc w to, z kąd i jak one się biorą. Gdy powstanie w Krajach Zabrzanych stanie, jako czyn dokonany, nikt nie zapyta: kto je wywołał? — pójdzie ono całkowicie na rachunek Polski.

Szkopuł trzeci w ten wyraził się sposób, że komitet Biały powstanie uznawał, ale za to nic wiedzieć nie chciał o stojącym na czele onego Komitecie Centralnym. Szkopuł ten najtrudniejszym do obejścia był dla nas, dla mnie zwłaszcza. Wysocki posiadał tytuły, które mu głos przynajmniej zapewniały: zasługi dawniejsze, wziętość militarną, włosy siwe; ja — żadnych. Nominacje nasze w oczach komitetu Białego waloru nie miały najmniejszego. Chciał on uznawać jeno ludzi, co na uznanie jego zasługą:

Langiewicza np. dla waleczności jego; Wysockiego dla zasług i włosów siwych; nie zaś jakiegoś tam Miłkowskiego, składającego się nominacją Komitetu Centralnego. Z mozołem wielkim wyargumentował Wysocki, że uznając powstanie, nie sposób nie mieć przecie względu jakiegoś na władzę onego, że na rozdzielanie dwóch tych pojęć nie pozwala logika, że to nie godzi się wreszcie.

Po przeparciu jako tako szkopułów tych, znalazły się inne. Komitet Biały nie zgadzał się, ażeby w wyprawie na Ruś udział brała wschodnia Galicja w całości. We względzie tym słuszność po jego znajdowała się stronie. Obwodom, w głębi kraju, jako też bliżej granic Kongresówki położonym, łatwiej było do Królestwa, aniżeli na Podole lub Wołyn ochotników dostawiać. Od pierwszego téż słowa odstąpiłem na rzecz Kongresówki obwodów sześć, zachowując dla wyprawy na Ruś następujące: Lwowski, Brzeżański, Tarnopolski, Czortkowski, Stryjski, Stanisławowski i Kołomyjski z dodatkiem Bukowiny całej.

Kwestję wyprawy wytoczyłem pierwszy w rozmowie, jaką we względzie tym miałem z Gołuchowskim. I wydało mi się, że rzecz od razu stanęła jak najlepiej. Gołuchowski bowiem nie tylko się od razu na wyprawę zgodził, lecz uznał nagłość onęj i potrzebę pospiechu. Gdym go o możliwy zapytał termin: — „Za dni dziesięć — odrzekł po namyśle krótkim — za dwa tygodnie najdalej wyruszyć możemy. Jadę do Łosiacza i wnet się tém zajmę.“ Mało brakło, ażebym szlachcicowi w uniesieniu radości do nóg nie padł. Wypadałoby to bowiem na drugą połowę marca.

Po rozmowie téj i po wyjeździe Gołuchowskiego, taż sama kwestja, wytoczona przez Wysockiego w komitecie, stanęła jak najgorzej. Wystąpiły na stół wszelkie możliwe obiekcje, nie wyjmując tych, które już rozstrzygniętymi były. Aż stanęło znów na kontyngensie sześciu obwodów — wykluczono z wyżej wymienionych dwa, a mianowicie: Lwowski i Stryjski. Termin zakwe-

stjonowanym został i utrapione naczelnictwo moje wystąpiło, jako punkt sporny.

Kwestja naczelnictwa mego brała obrót dla mnie, a raczój dla działania mego, najfatalniejszy. Godność tę w Galicji nie-uznawaną utrzymywałem z dziś na jutro, oczekując dymisji łada chwila, w odpowiedzi na moje do Komitetu Centralnego podanie. Doczekałem się wreszcie odpowiedzi z niecierpliwością wyglą-gładanój, a w niej... odmowy na podanie moje. Znalazłem się więc w pozycji jak najfałszywszój, zmuszony piastować urząd w obec ludzi, nie uznających władzy, która mi, po mojem o dy-misję podaniu, urząd ów narzuciła. Nie było jednak sposobu zaradzić temu. Napisałem do Komitetu Centralnego natychmiast; podałem się do dymisji powtórnie; tymczasem zaś przez Wyso-ckiego przedstawiłem komitetowi Białemu żądanie przyznania mi funkcji inspektora organizacji wojskowej w obwodach na wy-prawę ruską przeznaczonych.

Żądaniu temu uczyniono zadość. Stało na tém, że wy-prawę organizować miał Gołuchowski pod dozorem moim. Na-czelnictwo znikło pomiędzy organizatorem a inspektorem. Znikało atoli nominalnie na gruncie galicyjskim, pozostając w rzeczywi-stości w Krajach Zabrzanych, które były celem wyprawy, zajmującj całą uwagę moją. O nominalność nie chodziło mi zgoła; chodziło mi o rzecz, o wyprawę, co do której powyżej przytoczona z Go-luchowskim rozmowa dodawała mi otuchy niejakiój. Wydawało się mi, że ze szlachcicem tym chętnym rzecz pójdzie gładko. W mniemaniu tém utwierdził mnie Golejewski, zaręczając, że pomiędzy mną a Gołuchowskim porozumienie z łatwością nastąpi, że Gołuchowski jest to człowiek bez ambicji osobistój, że, etc. Wzmianka o ambicji Gołuchowskiego dała mi do poznania, iż weredyk komitetowy mnie o ambicję posądza. Nie podniosłem tego, dla uniknienia częzój gadaniny i dotknąłem rzeczy — wy-prawy; ale, jak skoro o terminie wspomniałem: — „Oho!... — odpowiedział — co do tego, to nastąpić nie może ani za dwa

miesiące.“ Oślupiałem. Cała przedsięwzięcia tego doniosłość polegała na szybkości w wykonaniu. Odkładać na dwa miesiące znaczyło, z góry je na niepowodzenie wskazywać, — znaczyło: powstanie na Rusi, któremu szerokie nadając rozmiary, można było do wyższej potęgi podnieść walkę w Królestwie, sprowadzić do rozmiarów partyzantki bezbronnej, wywijającej się przed zwiększonymi siłami moskiewskimi i przed zbałamuconém chłopstwem. Przedstawiłem mu to. Uczynił mi objękę, co do błót, po jakichby konie w marcu grzęznąć musiały. Odrzekłem, iż niedo- godność tego rodzaju dotknie zarówno jak nas, tak Moskali. Na nalegania i perswazje moje kominka wyciął, zarzucając mi, jakoby przyrzec miał w 600 koni z Mołdawii wkroczyć. Nigdy w życiu niczego podobnego nie przyrzekałem nikomu. Zresztą nie należało to do rzeczy. Chodziło o wyprawę galicyjską; nawróciłem do niej, natrętnie zapewne i na natręctwo moje w odpowiedzi Golejewski „prawdę wyrznał:“

— „Nie chcę ja — rzekł — być takim, jak Dwernicki durniem...“

Grzeczność nie pozwalała mi na „wyrznięcie“ to odrzec zapytaniem: jaki pomiędzy Dwernickim a Golejewskiego „ja“ związek zachodzi?

Zażądałem urzędu mego inspekcyjnego na piśmie poświadczenia. Odmówił mi takowego, powiadając, że komitet słowem honoru zobowiązał się żadnych pisemnych nie wydawać dokumentów. „Ale — dodał — wyprawiamy tam P. (Poradowskiego?), to on Gołuchowskiego o wszystkim powiadomi, ten zaś zaakredytuje cię przy naczelnikach obwodów.“ Przy rozstaniu pocieszał mnie: „Z Gołuchowskim nie będziecie się o naczelne kłócili dowództwo... będziesz wodzem naczelnym...“ — jakby mi o to chodziło.

Rozmowa z Golejewskim rozwiewała illuzje moje. Golejewski mówił w imieniu komitetu, dzierżąc go w ręku środki wszystkie. Bez niego, ani pomimo niego wyprawy wykonać nie było można. Z tego wynik naturalny, że kryła się ona w jakiejś zagadkowości

mglistej, której rozum mój rozwiązać nie umiał inaczej, jak nadzieję całą odnosząc do Gołuchowskiego.

W trakcie układów z komitetem Białym przybywali kurjerzy z Podola. Jeden, Małuja, przywoził wiadomości pocieszające o postępach organizacji i o ochocie ogólnej. Drugi, wraz z 800 rublami na zakupno broni, zakomunikował mi w imieniu komitetu Podolskiego wezwanie, ażebym się wkraczać nie ważył. Wezwanie to i tych 800 rubli człowieka, burzliwszego nieco aniżeli mój temperamentu, do wściekłości przyprowadzić w stanie były. Nie rozumiałem tej w podaniach kurjerów sprzeczności. Później rzecz się wyjaśniła. Podole, z oporem do organizacji przystępujące, nagle dwa postawiło komitety: jeden miejski, Kamieniecki, ognisty; drugi obywatelski, Podolski, rozważny. Ten do wybuchu parł, ów wybuch odkładał *ad calendas graecas*. Obydwa dostały polecenie moje gotowania się na marzec i każdy do mnie kurjera wyprawił. O Ukrainie i Wołyniu pomyślniejsze nieco dochodziły wiadomości; organizacja szła tam raźniej, nie rozkładając się na ogniska podwójne; komitety w Żytomierzu i w Kijowie prowadziły roboty energicznie. Wiadomości te, niestety! zasępiała wieść o ciągnięciu znacznych sił moskiewskich z Małorossji na prawy brzeg Dniepru i o propagandzie stanowych pomiędzy ludem wiejskim.

Ponieważ kurjer komitetu Podolskiego wracał, Małuja zaś, skompromitowany w Kamieńcu w obec władz moskiewskich, w Galicji pozostawać musiał, temu ostatniemu przeto powierzyłem staranie około sprowadzania broni. W celu tym wszedł on w stósunki z komitetem Białym, któremu na ręce jego wręczyłem owych 800 rubli, jako zadek na 1000 sztuków z bagnetem, wedle ceny od sztuki przez komitet podanej. Ceny nie pamiętam. Komitet zobowiązywał się dostawić broń na granicę w terminie oznaczonym, nie wydać jęj atoli, aż po odebraniu należytości całkowitej. Przez powracającego przeto kurjera posłałem na Podole dwa rozporządzenia jednakowo naglące: jedno potwierdzało

marcowy termin wybuchu powstania, drugie tyczyło się pieniędzy na broń.

We Lwowie na częstych gadaninie i jałowych targach upłynął mi ostatek lutego. W pierwszych dniach marca, jak skoro się załatwiłem, ruszyłem na Podole galicyjskie, podążając wprost do Łosiacza. Jechałem pocztą obywatelską, funkcjonującą w jednych miejscach dobrze, w innych nie osobiwie. W majątkach Potockiego — jeżeli się nie mylę — Alfreda, urządzenie onęj nic nie pozostawiało do życzenia. Rządźce i ekonomowie trzymali konie i bryczki w pogotowiu, wyprawiając podróżnych natychmiast po przybyciu takowych. Jazda na pospiechu nie cierpiała zgoła, przekąska bowiem nawet, która w postaci wódki, chleba i mięsa na stole stała, na stratę czasu nie narażała. Przesiadałeś się jeno z bryczki jednej na drugą i wio! dalej. U szlachciców wioskowych działało się inaczej; nie puszczali człowieka bez „obiadku;“ gdy zaś wyprawili już, to jeszcze zachodziło pytanie, czy fernal nie zbłądzi. Dzięki przeto obiadkom i błędzeniu, podróż ze Lwowa do Łosiacza zabrała mi dni trzy, to jest, czasu dwa razy tyle, ile potrzeba było do przybycia na miejsce jadącemu dyliżansem P. Jakież było zdziwienie moje, gdy mi Gołuchowski powiedział, że Poradowskiego (?) ani widział, ani wie czy go widzieć będzie! Nie pozostawało mi nic innego, jak, odwoławszy się do honorowości własnej, Gołuchowskiemu nie znanej, legitymować się samemu ustnie z tytułów moich. G. tyle delikatności i dobrej okazał wiary, że uwierzył mi na słowo, oświadczając, jako cieszy się, że, dzięki urzędowi memu, spada z niego odpowiedzialności połowa; w rozmowie dalszej uznał potrzebę pospiechu w organizacji i przyrzekł popierać mnie we względzie powstrzymywania od udawania się do Królestwa ochotników z sześciu cyrkułów, przeznaczonych do wyprawy na Ruś. W ostatnim tym względzie był pomiędzy nami spór mały, załatwiony jednak sposobem zgodnym. Gołuchowski nie podejmował się wydawać rozkazu, w przypuszczeniu iżby takowy nie znalazł posłuchu u tych,

co do powstania się rwą, Komitet Centralny uznają i tém samém nie uznają komitetu Białego, ani rozkazów, pochodzących od zamianowanego przezeń organizatora. Miał rację. Sytuacja ta była prostym wynikiem bałamuctwa pierwotnego, kiedy to odezwa komitetu Białego nakazywała siedzenie w domu, a odezwa kom. Pomocy Bratniej nakazywała wyruszenie na teatr walki. Ci atoli, co Komitet Centralny uznawali, nie uznawać nie mogli mnie, jako wodza prawowitego. Ułożyliśmy się przeto, że ja wydam na piśmie rozkaz w imieniu Komitetu Centralnego, Gołuchowski zaś rozkaz ten poprze za pośrednictwem naczelników obwodowych, zależnych od komitetu Białego. Pieczęcią niejako układu tego był wręczony mi przez Gołuchowskiego list jego własnoręczny do Włodz. Baworowskiego, naczelnika obwodu Tarnopolskiego. List ten służyć mi miał, jako kredytywa. Słowem, porozumienie między nami nastąpiło zupełne. Chodziło głównie o pospiech i o jak największą ochotników ilość. Do pospiechu przyczynić się miała wypracowana przezemnie przed paru tygodniami dla komitetu Pomocy bratniej instrukcja, której Gołuchowskiemu w odpisie udzieliłem, a którą on racjonalną i praktyczną znalazł. Obejmowała ona, jak wiadomo, formację i zbrojenie się. Co zaś do ochotników, w odniesieniu do tych posłużyć miał popierany przez organizatora rozkaz mój do obwodów Tarnopolskiego, Czortkowskiego, Brzeżańskiego, Stanisławowskiego i Kołomyjskiego, nakazujący gotowość do wymarszu jak najrychlejszą i czekanie na rozkazy co do chwili wystąpienia.

W Łosiaczu nowa ze strony komitetu Podolskiego spotkała mnie przyjemność, pod postacią depeszy cyfrowanej, przywiezionej przez kurjera, szlachcica zamożnego. W depeszy téj komitet zagroził mi, iż mnie zdrajcą ojczyzny ogłosi, jeżeli na Podole wkroczę. Pogrożka ta opierała się na tém, że komitet Podolski, znając lepiej aniżeli kto potrzeby i położenie Podola, sam jeno jest w stanie naznaczyć chwilę wybuchu powstania. Przeciwnie temu nic do powiedzenia nie miałem; z drugiej atoli strony prze-

świadczony byłem, że komitet spieszyć się nie będzie, albo raczej, spieszyć się będzie tak powoli, iż wyczeka aż się wszystko skończy. W odpowiedzi przeto posłałem mu treść rozkazów Komitetu Centralnego, powołujących Polskę całą do powstania bezwłocznego; ze swojej zaś strony dodałem potwierdzenie rozkazu mego, przesłanego przez kurjera, co 800 rubli przywiózł. Chodziło mi o uprzedzenie napływu z lewego brzegu Dniepru wojsk rosyjskich do Krajów Zabrzanych.

Porozumienie się z Gołuchowskim było kamieniem syzyfowym, wyniesionym pod sam szczyt góry. Pozostawało jeno kamień ów wtoczyć, przyprowadzając w czynie porozumienie do skutku. Z Łosiacza puściłem się po obwodach w objazd, wręczając wszędzie: naczelnikom z ramienia komitetu Białego rady i instrukcję, ludziom Komitet Centralny uznającym rozkaz i instrukcję. Tu i owdzie znalazłem ślady zabiegów dawniej Ławy przeistoczonej w komitet Pomocy bratniej; organizacja zaś biała w jedném miejscu mniej w drugim więcej dokładnie okrywała siecią swoją kraj cały. Wszędzie umawiać się i ugadywać trzeba było dużo, bardzo dużo, każdy bowiem prawie wiedzieć chciał o celu, przeznaczeniu i najdrobniejszych wyprawy szczegółach.

W objeździe tym miałem sposobność przekonać się o wartości szlachty polskiej w odniesieniu do sprawy narodowej. Jest ona doskonałym do odbudowania ojczyzny materiałem. Polskę kocha — kocha szczerze i głęboko. Stanowi to dodatnią materjału stronę, na którego stronie odwrotniej wychowanie austriackie poczyniło skazy, wyrażające się przez branie formy za treść i treści za formę i cechujące charakter onego zbiorowy pewną gnuśnością umysłową, nie przeszkadzającą szlachcicowi rzeczy widzieć jasno, nie pozwalającą mu atoli brać na siebie za widzenie to odpowiedzialności. Ztąd głośność pierwsza lepsza, byle jeno polska, staje się w oczach szlachty powagą i ufność jęj zyskuje. Ztąd też komitet Biały, jak skoro wystąpił w charakterze popieracza powstania polskiego, pozyskał ją dla siebie całkowicie, pomimo że żywo

i powszechnie krytykowała stanowisko, jakie zajął w odniesieniu do Komitetu Centralnego.

Objazd mój rozpocząłem od Tarnopola. Zostałem tam prawie otwarcie formujący się oddział ochotników, zamierzających udać się w Lubelskie. Sztyftowaniem wyprawy zajmował się Krasnodębski, oficjalista w dobrach Baworowskiego (Wiktora?). Kwatera główna, założona w domu zajezdnym, zawaloną była odzieżą, obuwiem, rynsztunkiem, orężem. Drzwi nie zamykały się. Ludzie różni — ochotnicy, rzemieślnicy, faktorowie, wyznań i stanów wszelkich — wchodzili i wychodzili ustawicznie. Ten się zapisywał, inny buty wzuwał lub ubranie wdziewał, inny miarę brał, inny znów przynosił pod połą karabin lub szablę, proch albo kule. Ruch był, gwar i ochota wielka.

Krasnodębski, Polak serdeczny, powstanie uznawał bez restrykcyj żadnych. Komitet Centralny był dla niego władzą prawną zupełnie. Oburzało go stanowisko, zajęte przez komitet Biały. W imieniu przeto Komitetu Centralnego nakazałem mu wyprawę powstrzymać, wcielając ochotników do organizacji, pozostającą pod kierownictwem Gołuchowskiego. Nie podobało się mu rozporządzenie to; przyjął je jednak.

Rozporządzenie toż samo, tylko już nie w formie rozkazu, zakomunikowałem w Strusowie naczelnikowi obwodu Tarnopolskiego. I on je przyjął, z łatwością zrozumiałwszy potrzebę ładu w działaniu. Zrozumienie to wypływało wprost ze szczerze polskiego jego serca. I on, pomimo że wielki pan, pomimo że rodem i majątkiem należał do sfer najwyższych nie koniecznie na pochwały zasługującej arystokracji galicyjskiej, nie pochwalał polityki przez komitet Biały w odniesieniu do władzy centralnej powstania obranej. Cieszyło go też porozumienie, jakie zaszło pomiędzy mną a komitetem.

Z Tarnopolskiego udałem się w Kołomyjskie, gdzie, nie zastawszy ani naczelnika obwodowego, ani człowieka, który moralnie stał na czele tych, co władzę powstania za prawną

uznawali, zostawiłem do nich listy z przyłączeniem odpisu z instrukcji i powróciłem w Stanisławowskie do głównej kwatery mojej, znajdującej się w pobliżu Buczacza w dwóch wioskach sąsiednich, w Przewłoce i w Hupałach, w domach Ludwika Szawłowskiego i F. Abgarowicza. Rozłożoną ona była na dwa siedliska, dla nie ściągania uwagi policji, którą wielce interesowała osobistość moja. Sz. i Abg. czuwali nademną, jak nad czém dobrém, za co niech im dzięki będą.

W czasie objazdu mego zjechałem się z dwoma komitetu Podolskiego wysłańcami. Z tych jeden przywiózł 3,000, drugi 15,000 rubli sr. Obydwóch odesłałem do Lwowa, do komitetu Białego, z tém ażeby pieniądze na broń złożyli. Wychodził właśnie termin zamówionych, ozadatkowanych i przyrzeczonych sztućców. Kwota 18,000 rubli sr. opłacała je całkowicie — pozostawał jeszcze zadatek na drugi tysiąc. Co chwila wyczekiwałem wiadomości o przeprawie broni przez granicę, do czego wszystko urządzonem i przygotowanem było.

Za powrotem do Przewłoki, niby pioruny w jasny dzień, spadały na mnie jedna po drugiej wiadomości następujące:

Oddział tarnopolski przez Krasnodębskiego sztyftowany, wbrew rozkazowi memu a za wyraźném Gołuchowskiego zezwoleniem, w Lubelskie się udał.

Gołuchowski nie tylko się nie sprzeciwia, ale nikomu nie odradza wysuwania się do powstania w Królestwie pojedynczo i w kupie, jak kto chce.

Komitet Biały nietylko broni nie dostawił, nie tylko do zakupienia takowej żadnych nie poczynił kroków, ale jeszcze wyparł się zobowiązania, jakie na siebie wziął.

Nadto, na miejscową organizację wojskową ani się zanosilo.

A tu Marzec ku końcowi już się zbliżał!

A tam Moskałe wojskami swojemi zalewali Kraje Zabrane. Na Podolu samém było już: sześć pułków piechoty linjowej, trzy

bataljony strzelców, cztery szwadrony ułanów, cztery szwadrony huzarów, pułk kozaków i trzy baterje artylerji. *)

Wyprawa przeto na Ruś, w rozmiarach takich i takiej doniosłości, jaką jej w planach moich nadawałem, stała się niepodobną. Należało zaniechać ją.

Dziś orzekać trudno, coby się stało, gdyby wyprawa ta w czasie właściwym do skutku była przyszła. Gdyby wszakże wypadła jak najgorzej, zawsze tę bodaj przyniosłaby korzyść, iżby wystawiła była Galicji świadectwo patriotyzmu i dobrego sprawy polskiej rozumienia. Że zaś wypaść mogła nie jak najgorzej, rękojmie na to dostateczne znajdowały się w szczupłości sił rosyjskich, w wyczekującej postawie ludu wiejskiego i w rzutkości patriotyzmu polskiego, na dowód zaś przytoczyć można obawę, jaką ona przejmowała Moskali, do wiadomości których

*) Sił moskiewskich następujący był rozkład: — Na P o d o l u: w Kamieńcu, piechoty pułk Siewski, w Płoskirowie Żytomirski, w Barze Briański, w Mohylowie Jelecki, w Olhopolu Wołyński, w Bałcie Podolski; strzelce stali w Tulczynie, Braclawiu i Niemirowie; jazda — dwa szwadrony ułanów w Międzyborzu, 2 szwadrony w Winnicy, 2 szw. huzarów w Hajsynie, 2 szw. w Sawranii; artylerja — baterja w Kamieńcu, baterja w Braclawiu i baterja w Tulczynie; kozacy w okolicy Chocimia; do tego dodać należy 2 pułki piechoty ciągnące z Odessy i 3000 rekrutów. Przytém na prawym brzegu Dniestru znajdowały się: pułk piechoty Modliński w Chocimiu, Pragski w Soroce, Zampjski w Benderach i Lubliński w Kiszyniowie. — Na W o ł y n i u: w Żytomierzu 3 bat. piech., 8 dział i sotnia kozaków, we Włodzimierzu 5 bat. piech., pułk ułanów, 12 dział i sotnia kozaków, w Lubomli pułk ułanów, 4 działa i sotnia kozaków, w Kowlu 2 bat. piechoty i sotnia kozaków, w Starym Konstantynowie bat. piech., w Wołoczyskach (?) rota piechoty, w Krzemieńcu 3 bat. piech., w Łucku bat. piech., pułk huzarów i sotnia kozaków, w Dubnie pułk dragonów, w Równem sotnia kozaków, w Zwiahlu dwie sotnie kozaków i 16 dział, w Owruczu 6 rót piechoty i sotnia kozaków. — Na Ukrainie: w Kijowie pułk piechoty Półtawski, batalion saperów i pułk dragonów, w Wasylkowie i Kaniowie batalion saperów i dwa batal. piechoty rezerwowój, w Radomyślu bat. piech. pułku Kremeńczuckiego, w Berdyczowie batal. piech. tegoż pułku, w Taraszczy i Lipowcu brygada kawalerji rezerwowój, w Żwinogradzie i Taraszczy artylerja, w Humanii 2 szw. kawalerji rezerwowój. Wykaz ten grzeszy niedokładnością w wymienianiu wojsk zajmujących Wołyn i Ukrainę.

doszła, dzięki targom i rozprawom, jakie wywołała na prawym brzegu Zbruczu. Wyobrażenia moskiewska podnosiła wkroczyć mający hufiec do rozmiarów korpusu groźnego. Nazwisko moje spopularyzowało się w ustach żołdatów. Wojska miały rozkaz cofania się i koncentrowania. Cóż ztąd wyniknąć mogło? Koncentracja moskiewska, ogoławając kraj, dałaby mieszkańcom możność i łatwość porozumienia się i zrobienia tego w dni kilka, czego pod dozorem moskiewskim w kilka tygodni zrobić nie było można. Przez to samo powstanie na Rusi dzwignąćby się mogło z łatwością większą, aniżeli później, w Maju, kiedy powstaniec każdy z osobna wykradać się musiał i patrolom moskiewskim i wartom chłopskim, które już, z powodu obecności poszanowanie nakazujących sił zbrojnych moskiewskich, po nieprzyjacielsku tu i owdzie Polaków traktowały. Powstanie przeto szerzejby się rozwinąć musiało i utrzymałoby się tak długo, jak w Królestwie albo na Litwie.

Twierdzić nie myślę, ażeby powstanie ruskie szale zwycięstwa na korzyść sprawy polskiej stanowczo przechylić miało. Walka, jak walka każda, jest to gra, ostatecznego wyniku której przewidzieć nie sposób. Nie da się ona z góry z matematyczną obliczyć ścisłością. Pewnem jest tylko to, że zwyciężyć musi strona jedna, ta mianowicie, która najwięcej na korzyść własną przyjaznych zapewni warunków. Jest więc walczących obowiązkiem warunki tego rodzaju gromadzić, gromadzić i gromadzić, jak długo walka trwa, w ilości jak największej, wszędzie gdzie takowe znajdują się jeno.

O co nam w ostatniem chodziło powstaniu? — O niepodległość Polski najprzód; następnie zaś, gdyby się nam nie powiodło tym razem, o zawarowanie powodzenia na przyszłość.

W pierwszym i drugim razie koniecznem było postawienie pod broń Polski całej — jak bowiem na wywalczenie niepodległości nie wystarczała szósta część narodu, tak celem zawarowania powodzenia w przyszłości nie wolno było tradycji walki o nie-

podległość przywiązywać do samego jeno Królestwa kongresowego. Polityka zdrowa, prosta i jasna nakazywała szerzyć ją jak najdalej, po Dniepr, po Dźwinę — za Dniepr, za Dźwinę. Walka ta bowiem nie była prostą szermierką, pukaniną i rąbaniną, wszczętą dla tego jeno, że się Polakom znudziło panowanie moskiewskie; ale był to proces polityczny; było to upomnienie się narodu o prawa swoje rozwojowe; było to ciało tego słowa, które nam historia horodelskim i lubelskim przekazała aktem.

Polska, jako naród, wzięty w pojęciu całości politycznej, ma obowiązki, zapominać o których nie może pod karą niewoli wieczystej. Obowiązki te, płynące z praw jej do wszystkiego tego, co się na drodze dziejowej w państwowo-polityczne związało ciało, wielkie są, święte i wyraźne, a polegają: na powoływaniu ludu do życia narodowego, na ogrzewaniu go ciepłem miłości iście chrześcijańskiej, na wyzwalaniu go z więzów wszelakich, społecznych i politycznych, przeszkadzających mu kroczyć drogą postępu.

Do spełnienia swobodnego obowiązków tych warunkiem najpierwszym i nieodzownym jest niepodległość polityczna; do odzyskania niepodległości drogi innej nie ma, jeno — walka; do zapewnienia walce powodzenia sposób jedyny, najskuteczniejszy i najpraktyczniejszy, polega na zainteresowaniu walką całego ludu polskiego, tak w Królestwie, jak na Litwie, jak na Rusi.

Z punktu tego militarno-politycznego pewnika wychodząc, wywołanie powstania na Rusi, w pierwszych zaraz chwilach po wybuchu w Królestwie, było potrzebą — koniecznością — obowiązkiem.

Pod względem militarnym, powstanie na Rusi, rozrywając siły i uwagę nieprzyjaciela, ułatwiłoby walkę w Królestwie i dodało moralnie ducha walczącym tak tu, jak tam.

Pod względem politycznym byłoby ono ze strony narodu świadczącym o prawach jego manifestem, bardzo ważnym — krwią napisanym i symbolem męczeństwa przypieczętowanym.

Pod względem jednym i drugim, wywołanie jak najwcześniejsze powstania na Rusi przedstawiało się z góry, jako zesolidaryzowanie militarno-polityczne sprawy polskiej w sercach i w umysłach dzieci wszystkich ojczyzny wspólnej i uczynienie onej przystępną i zrozumiałą nie tylko dla człowieka jaką taką ogłdzonego oświatą, ale i dla wieśniaka w Królestwie i na Rusi. Nazywa się to propagandą czynu; ta zaś nie tylko by „złotą hramotę“ rozniosła, aleby ją w życie wprowadziła; nie tylko by widmem przed oczyma na pół morałami i obietnicami moskiewskimi oślepionego chłopca przemknęła, aleby utkwiała w duszy jego obrazem zapasów z wrogiem, wojny z Moskalami, z tym Moskalami, którego, mimo zaloty wszelkie i argumenta dotkliwe sprawników, stanowych i czynowników różnorodnych, przedstawiających się mu w skórze „Russi“ oficjalnej, za Moskala ma on zawsze.

Na Rusi, w tym składzie rzeczy, jaki się wywiązał w skutek wybuchu 22. Stycznia, powstać należało najpóźniej w dniach pierwszych Marca. A nie mogła Ruś zerwać się sama, w razie takim potrzeba było wkroczyć niezwłocznie z Galicji w tysiące kilka. Dzięki marcowemu na początku rozkładowi i wysokości sił moskiewskich w Krajach Zabrzanych, oddział kilkutyśięczny, zrobiwszy sobie na granicy rum, wdarłby się był z łatwością w głąb kraju.

— Cóż potem? — zapyta mnie krytyk z pod dyplomaty-cznego sztandaru.

Odpowiadam — opowiadam — fantazuję:

Zbiegają się ze wszęch stron moskiewskie bataljony, szwadrony i baterje; gdzieś, pod Bracławiem, dajmy na to, albo, pod Lipowcem, Żytomierzem, Skwirą, Taraszcą — o miejsce mniejsza — zabiegają oddziałowi drogę, obsaczają go i rozbijają. Zbiegając się atoli, oczyszczają z obecności własnej, tu spory szmat Podola, tam spory szmat Ukrainy, ówdzie spory szmat Wołynia. Szmaty owe, dla téj bodaj racji, że natura próżni nie cierpi, okrywają się mrowiem powstańców, wyszłych z natury,

jaką miała wojna nasza. Mrowie to rozgospodarowuje się po swojemu: chłopu wymierza sprawiedliwość doraźną społeczną i brata się z nim, — zapijają w obozie mohorycz, — przypominają sobie dumy stare, — gwarzą o czasach pradziadowskich — i pół chcący, pół niechcący, stają w szeregu razem... „z polską szlachtą polski lud.“

Ten tylko skutek mieć mogła galicyjska na Ruś wyprawa, w Marcu r. 1863 wykonana; skutek zaś ten nazywa się, w razie najgorszym: zawarowaniem sobie powodzenia w przyszłości.

Komitet Biały, obawiając się snadź rozbicia oddziału gdzieś pod Bracławiem, Białocerkwią, Żytomierzem lub gdzieindziej, rozbił go na gruncie, w Galicji. Nie chciał on — nie! — myśleć raczej, nie umiał zrozumieć korzyści nie smażących się na patelni, lecz tkwiących w mniej więcej oddalonej przyszłości. Nie podobało się mu najprzód powstanie. Potém, powstanie się podobało, ale nie władza onego, a tém samém i nie wódz przez władzę tę zamianowany. Potém, nie podobało się mu „przekraczać granic pewnych.“ Potém, podobało się mu granice owe przekroczyć, ale nie według planu przez wodza z Komitetu Centralnego skreślonego. Potém, podobało się mu wodza owego przez pół uznać i przez pół plan jego przyjąć, z tém atoli, ażeby go na dudka wystrychnąć. Wszystko to — przyznać należy — obmyśloném było dowcipnie; czy patryjotycznie jednak? — czy rozumnie? — czy uczciwie? — w tém sęk.

Z przykrością wielką biorę na siebie rolę oskarżyciela, z tém większą, że sumienie nie pozwala mi tych co zbłądzili zarzutem złej woli obarczać. Błądzili na drodze przekonań własnych, a przekonania ich nie biorę im za złe. To atoli, że przekonania ich nie biorę im za złe, nie może być powodem, ażebym wykazać nie miał przekonania tych strony ujemnej i szkodliwej. Panowie ci w najlepszej — przypuszczam — błądzili intencji; błądzili atoli bardzo i błędy ich doprowadziły do następstw fatalnych. Przekonany jestem głęboko, że sprawa polska powołała nas w osobach

własnych, albo w osobach dzieci naszych, do czynności jeszcze i jeszcze. W przekonaniu tém mojem spoczywają pobudki, które mi nakazały błędność przekonań galicyjskiego komitetu Białego przed sądem opinii publicznej postawić i szkodliwe onych następstwa palcem wykazać. Ważném jest niezmiernie dla sprawy, ażeby nie powtarzały się błędy raz popełnione. Niech będzie — „do razu sztuka.“

W błędach przez komitet Biały popełnionych przebaczam mu jeden, ten mianowicie, co się bezpośrednio do mojej odnosi osobistości. Nie podobałem się: dla czego? — posądzano mnie o mirosławizm zakapturzony? — miano mnie za nieudolnego? — podejrzywano o zarozumiałość zbytnią? — wątpiono o charakterze moim? mniejsza o to — dość, żem się nie podobał. Nie dosta- wało mi ani możności, ani czasu procesować się o posądenia, podejrzenia i wątpliwości; nie mogłem każdego z osobna i wszyst- kich razem, którym podobać się szczęścia nie miałem, przeko- nywać, żem nie mieroślawczyk, żem dostatecznie uzdolniony, żem wcale nie zarozumiały, żem uczciwy. Zresztą o wszystko to należało rozprawiać nie ze mną, ale z Komitetem Centralnym, który, gdyby był komitet Biały nie zbłądził nie uznawaniem władzy jego, byłby uznał słuszość braku zaufania do osoby mojej ze strony komitetu; byłby mnie usunął, a na miejsce moje zamianował pierwszy lepszy geniusz, odgadniony przez ko- mitet Biały. Nie chodziło tu wcale o osoby, ale o rzecz. Wreszcie, ponieważ czas naglił, a komunikacje z Warszawą były utrudnione, można było porozumieć się ze mną bądź bezpośrednio, bądź téż za pośrednictwem Wysockiego lub kogo innego. Chętnie dowództwa faktycznego byłbym ustąpił komubądź, najchętniej zaś Zygmun- towi Jordanowi, którego, jak z boku słyszałem, komitet Biały życzył sobie, a którego ja sam, w czasie bytności mojej w War- szawie, polecałem Komitetowi Centralnemu, jako wojskowego jednego ze zdolniejszych. Sposoby te lepsze były od tych, jakich komitet Biały przeciwko mnie użył: od niedotrzymywania mi

umów i przyrzeczeń, od krzyżowania swojemi rozporządzeń moich, od straszenia mną ludzi uczciwych a łatwowiernych — od puszczania w kurs cyrkularzy treści następującej: „Niejaki Melko v. Miłkowski mianuje się wojennym naczelnikiem sześciu obwodów: jest to fałsz dowiedziony, o którym ostrzega się obywateli.“ Podp. „Mieczysław Dzieduszycki,“ jeden z luminarzy kołomyjskich i z urzędników wyższych komitetu Białego, bez upoważnienia którego nie mógł człowiek, uczciwy zresztą, na takie nieuczciwe odważyć się oszczerstwo. Jam siebie nie mianował „naczelnikiem sześciu obwodów,“ ale „naczelnikiem Rusi,“ od Pełtwi po Dniepr i od Prypeci po Prut. Oszczerstw podobnych, bezimiennych, krążyło bez liku.

Wszystko to, z tym dodatkiem, że Marzec ku końcowi się już miał i Moskale zalali Kraje Zabrane, spowodowało w następstwie powstanie ruskie do skromnych rozmiarów partyzantki bezbronnej, podtrzymywanej i wspieranej przez wkraczania drobnych oddziałów. Nie pozostawało już nic innego, jak pozostawić powstanie to losowi własnemu, wystawionemu na agitację, jaką Moskale mieli czas przeprowadzić pomiędzy ludem. Zamiaru wkroczenia, wedle planu mego zaniechać należało.

Nie myślę czytelnika rozrzewniać opisem żalu głębokiego, jakim mnie ta smutna przejęła konieczność. Ręce mi opadły. Przemyślałem już o niesubordynacji — o skryciu się pod nazwiskiem przybraném w pierwszym lepszym oddziale, wyruszającym do Polski i o opuszczeniu w sposób ten stanowiska, na którym mnie Komitet Centralny, mimo podwójne o dymisję podawanie, postawił i trzymał.

Na szczęście dla mnie sposób ten wyjścia z położenia trudnego niepotrzebnym się stał. Jadący ze Lwowa na Podole kurjer, ten sam co 3,000 rubli komitetowi Białemu doręczył, przywiózł mi wiadomość o zamianowaniu naczelnikiem sił zbrojnych na Rusi generała Wysockiego.

Krzyż ze mnie zdjętym został. Byłbym się cieszył, jak student rozpoczynający wakacje, gdyby nie ta myśl, że następca mój nie jest już w stanie naprawić złego, jakie się stało, chyba przy pomocy nadzwyczajnych a przewidzieć się nie dających wypadków, takich, np., jak wyciągnięcie wojsk moskiewskich z Krajów Zabrzanych, połączone ze szczególnym zwrotem w usposobieniu ludności wiejskiej. Byłoby to nadzwyczajnością, cudowi równą, nie niepodobną atoli. Cuda tego rodzaju zdarzają się. Mógłby przeto cud taki zająć, gdyby Wysockiemu szczęśliwsza przy urodzeniu świeciła gwiazda. Bez tego niepodobieństwem było, w obec przeszkód, jakimi Kraje Zabrane w ciągu dwóch najeżyły się miesiący, zdobyć się na co innego, jak na rozpaczliwe rzucenie się Krzyżanowskiego, jak na powstanie Rużyckiego, jak na szczytne szaleństwo studentów kijowskich, jak na wyprawy radziwiłowską i porycką.

Wraz z wiadomością o zamianowaniu Wysockiego przywiózł kurjer wezwanie, ażeby się natychmiast we Lwowie stawił. Byłbym się tam i bez wezwania udał. Powinność nakazywała mi zdać urząd następcy memu, zdać przed nim sprawę i skazówek mu udzielić. L. oznajmił mi przytém, że Wysocki zamierza zjechać na granicę Podola rossyjskiego, celem widzenia się z Rużyckim.

Znaleść towarzysza podróży dla powierzenia mu podróży Wysockiego i wyszukać powóz do ukrycia w takowym przed okiem policji generała, było dziełem momentu jednego. W towarzystwie i pod firmą F. Abg., popędziłem do Lwowa ekstrapocztą.

Zdanie Wysockiemu sprawy było opowiedzeniem mu szczegółów wszystkiego tego, com powyżej czytelnikowi opowiedział. W obecności jego spaliłem nominacje, jakim niał od Komitetu Centralnego. Wysocki zawiadomił komitet Biały o zmianie w naczelnictwie osób. Działo się to dnia 3. Kwietnia 1863.

Nazajutrz wespół z Abg. i z Małują wywieźliśmy generała ze Lwowa. Małuja pełnił przy nim funkcję sekretarza, dodanego

przez Komitet Centralny, który w czasie onym, po i w skutek upadku niefortunnéj dyktatury Langiewicza, ogłosił się był Rządem Narodowym.

Zjechanie się nasze z Rużyckim miało miejsce 8. Kwietnia w Sidorowie, u Adama Pajgierta. Rużyckiego przez granicę przeprowadził gorliwy w pełnieniu służby narodowej Stanisław Pajgiert.

Konferencje i rozmowy pomiędzy Wysockim, „naczelnikiem sił zbrojnych województwa Lubelskiego i ziem Ruskich,” a Edm. Rużyckim, „organizatorem głównym powstania ziem Ruskich,” odnosiły się do czynności organizacyjnych i wojennych na teatrze ruskim. Uczestniczyłem w nich, w charakterze świadka informującego, bez prawa głosu, usuwając się, gdym uważał, żem niepotrzebny. Byłem ochotnikiem *en disponibilité*. Konferencje te przeto lepiej aniżeli ja pamiętają i opowiedzieć o nich mogą Wysocki i Rużycki. Pozycja moja zmieniła się niebawem.



III.

Rozkaz generała J. Wysockiego.

Zmianę pozycji mojej wytłumaczy dokument następujący, który przepisuję dosłownie:

„Nr. 24.

Dnia 10. Kwietnia 1863 r.

Naczelný dowódzca sił zbrojnych
województwa Lubelskiego i Ziem Ruskich.

W imieniu Rządu Narodowego, za porozumieniem się z Głównym Organizatorem Ziem Ruskich, mianuję niniejszém Pana Zygmunta Miłkowskiego naczelnikiem siły zbrojnej części południowej Podola, a mianowicie, powiatów Kamienieckiego, Uszyckiego, Mohylowskiego, Braclawskiego, Hajsyńskiego, Olhopolskiego, Bałckiego, Jampolskiego i oddziałów wschodnich.

Wszystkie oddziały wkraczające w tę część Podola przechodzą pod rozkazy Pana Miłkowskiego.

(M. P.)

Podpisano: J. Wysocki.“

Zostałem tedy naczelnikiem ośmiu powiatów na Podolu z dodatkiem oddziałów wschodnich, to jest tych, które zorganizowałyby się dały w Turcji albo w Rumunii, jako téż wkraczających, to jest, galicyjskich.

Z łatwością pojąć można kombinację, z jakiej wpływało naczelnictwo to. Podole i mogące się sformować na Wschodzie oddziały przyprowadzić trzeba było, pierwsze do powstania, drugie na teatr powstania. W jakimże stanie znajdowało się w momencie owym pierwsze? jak rzeczy stały z drugimi?

Na Podolu komitet ów, co to groził mi ogłoszeniem zdrajcą ojczyzny, jeżeliby się wkroczyć odważył, ustąpił miejsca innemu, szczerze zamyślającemu o pełnieniu obowiązków patrijotycznych. Poprzednik jego atoli, patrijotyzm którego wyrażał się za pomocą drzemania na laurach głośnego w czasie swoim i pełnego do chwili i okoliczności odpowiedniej wartości adresu marszałków, tak rzeczy poprowadził, że organizację potrzeba było rozpoczynać dopiero, wówczas kiedy na Ukrainie, zwłaszcza zaś na Wołyniu, doszła już ona stopnia rozwoju takiego, że na podstawie onego myśleć było można o naznaczeniu terminu na wybuch powstania. Na Podolu ten ostatni w dalszej ukazywał się perspektywie. Popisowych bardzo było mało, broni zaś jeszcze mniej, bo jak 1:4 w stosunku do ochotników i na to: prochu funtów 530, ołowiu funtów 625. Cyfry te nie tyczą się czterech powiatów północnych — Płoskirowskiego, Latyczowskiego, Lityńskiego i Winnickiego — które, przyłączone do organizacji wołyńskiej, tém samém wyłączały się od pozwolenia odłożenia wybuchu na później, jakie wyjednał dla Podola nowy komitet Podolski u Zarządu Rusi, a raczej, u Głównego organizatora, Rużyckiego. Podole przeto, naczelnictwu memu powierzone, powstawać miało później, po dokonaniu powstania przez Wołyn i Ukrainę, w terminie bliżej ściśle nie oznaczonym. Zadaniem mojem było, wsiąść komitetowi Podolskiemu na kark i termin ów przyspieszyć.

Rola oddziałów wschodnich w odniesieniu do powstania podolskiego bardzo była ważną. Miały one dla powstania polskiego otworzyć resursa, jakichby Europa dostarczyć mogła przez granice dostępnejsze, aniżeli austriacka i pruska.

Rola ta o ile ważną, o tyle do wykonania i utrzymania była nie łatwą, wymagała bowiem rękojmi, ta zaś, ze strony swojej wymagała podstaw pewnych i silnych. Rękojmia polegała na utrzymaniu powstania na Rusi, powstania, dla którego podstawy przedstawiały się pod postacią silnej, uprzedniej organizacji. Owóż organizacja niczego mniej nie posiadała, jak siły: była to słaba, pajęczynowa siatka, snuta naprędce rękami niewprawnych; i rękojmia przeto, jaką ona dawała, nosić na sobie musiała charakter bardzo, bardzo wątpliwy.

Wątpliwość wszakże pod względem tym, jeżeli nie w zupełności, to w części znacznej, usuwał przykład Królestwa. Tam, pomimo wad organizacji i braków wszelkiego rodzaju, pomimo warunków jak najnieprzyjaźniejszych, powstanie się trzymało: dla czegoż, w warunkach takich samych, utrzymaćby się nie miało i na Rusi?... Do pewnego przeto stopnia na rękojmię potrzebną liczyć można było, ograniczając się na pozyskaniu jednego, jedynego warunku, polegającego na zapewnieniu sobie i wzmocnieniu punktów, w których oddziały wschodnie wchodziłyby w styczność z teatrem powstania polskiego. Punkty te znajdowały się na porzeczu Dniestru, na linii, która powierzona została naczelnictwu memu. Zapewnić je sobie i wzmocnić znaczyło, dokonać na Podolu organizacji silnej, jak najsilniejszej i doprowadzić takową do potęgi najwyższej w chwili, w której oddziały wschodnie wkraczać będą na ziemię polską.

Oto jak przedstawiło się mi zadanie, stanowiące istotę i sens nominacji mojej. Zadanie to w ten sam sposób przedstawiało się Wysockiemu i Rużyckiemu: inaczej nie byłiby kojarzyli pod jedną buławą wybrzeży Dniestru z wybrzeżami Bosforu. Rozkładało się ono na dwa warstwy, z których jeden nazwać można wschodnim, albo bałkańskim, albo dunajskim, drugi podolskim.

Do rozwiązywania zadania tego na warsztacie wschodnim, miałem pod ręką jednego tylko pewnego człowieka, a tym był Walery Przewłocki, który przybywał z Konstantynopola i przy-

wosił wiadomości: o życzliwém Wysokiej Porty usposobieniu; o chętności Sadyka-paszy (Michała Czajkowskiego), dowodzącego pułkami kozaków tureckich, liczącemi w szeregach swoich trochę Polaków; o braku funduszków do przedsiębrania czegokolwiek; o tém nakoniec, że na Wschodzie wysztyftowaćby się dał oddział nie wielki, ale dzielny. Oprócz Przewłockiego przybyli ze Wschodu i inni jeszcze, także z wiadomościami, ale podejrzanemi, które wszakże, jak się zdaje, na późniejsze przeznaczenie moje przeważny wywarły wpływ.

Stan rzeczy na Wschodzie w obozie polskim w następujący da się skreślić sposób: środków pieniężnych żadnych, z wyjątkiem 5,000 rubli sr. w papierach moskiewskich, które na rozkaz mój, przesłany z Michalen na Ruś za pośrednictwem officera od huzarów, posłał Sokulskiemu w imieniu Rusi Aleks. Sobański ze szkatuły własnej, a których Sokulski pilnował, niby oka w głowie, zachowując je na potrzeby wyprawy; ochoty w Polakach dużo, lecz rozstrzelonej na projektów i widoków mnóstwo, a paraliżowanej przez agencją, utrzymywaną w Konstantynopolu przez hotel Lambert. Życzliwość Turków tłumaczyła się w sposób zagadkowy, lechtaną będąc echem tylko wypadków, do uszów ich zdaleka od granic Turcji dochodzącem. Sadyk, mimo okazywaną chętność, mógł nie wiele, nic prawie, związanym będąc służbą turecką i straciwszy w sferach wysokich wpływy, jakie posiadał dawniej.

W miejscu tém uważam za rzecz stosowną wspomnieć o fakcie, odnoszącym się do kwestji oddziałów wschodnich, a wykazującym, ile to i do jakiego stopnia na zobowiązaniach i przyrzeczeniach wyraźnych budować można. W Krakowie jeszcze, konferując z Wysockim, przedstawiłem mu doniosłość całą, w odniesieniu do powstania polskiego, oddziałów wschodnich, siła których ściśle zależała od wysokości na cel ten użytych funduszków. Włożywszy w przedsiębiorstwo to parę milionów franków, można było ze Wschodu wyciągnąć parę tysięcy ludzi, nie koniecznie

Polaków samych, lecz pół na pół pomieszanych z Polakami Dalmatyńców, Bośniaków, Czarnogórców, Arnautów i innych; można było doskonale ich odziać, uzbroić i umontować, i mieć z nich, w kombinacji z zamierzoną przezemnie wyprawą z Galicji, ciężar wyborny do dorzucenia na szalę losów wojennych. Rzecz cała rozbijała się o brak funduszu potrzebnego.

— Będzie fundusz!... — zawołał Wysocki, wysłuchawszy przedstawienia mego — gdyś się rozstawał z Ksawerym Branickim, Branicki wręczył mi ten oto pierścień (tu generał pokazał mi złoty z ciemnozielonego jakiegoś kamienia sygnet) z tém, że, jeżeli mu poszlę rozkaz, a z rozkazem pierścień ten, rozkaz ów będzie dla niego stanowczym i świętym, chociażby o cały jego chodziło majątek. Poszlę mu więc pierścień i przyłączę do niego rozkaz, ażeby Branicki, wzięwszy ze sobą dwa miliony, jechał natychmiast na Wschód, organizował oddział i na czele onego wkraczał na Ruś.

Pierścień ów i to nieograniczone do majątku i osoby pełnomocnictwo, Wysockiemu dane, mimo że wyglądało, jakby żywcem z romansu wyjęte, nie mniej przeto zapewniało mnie i zaspakajało, co do robót w Konstantynopolu. Dałem skazówki i informacje i nie wątpiłem, że, jeżeli nie Branicki w osobie własnej, to w postaci przekazu bankowego na dwa miliony franków w metropolji nadbosforskiej się znajdzie. Romans atoli rozstrzygnął się niepomyślnie. Rozkaz, wraz z informacjami mojami i z pierścieniem, powiózł Branickiemu szlachcic z Wołynia, Paszkowski czy Paszkiewicz, i — na tém koniec. Może szlachcic pierścień zgubił, albo na pamiątkę sobie zachował. W Konstantynopolu, zamiast milionów, znajdowało się jeno, w rękach Sokulskiego, 5000 rubli, przysłanych mu, bez pierścienia i zaklęć, przez Aleksandra Sobańskiego.

Brak ten funduszy powtórnie, po dostaniu naczelnictwa nad Podolem i oddziałami wschodnimi, przedstawiłem Wysockiemu, jako bezpośredniemu naczelnikowi memu. Działo się to

13, czy też 14 Kwietnia, na Podolu galicyjskiem, we wsi Pilawce. Wysocki myślał i obliczał długo, aż stanęło na tém, że z funduszków ruskich udzieli mi 100,000 franków, nie zaraz jednak. Tymczasem dał mi 3,000 rubli, które Przewłockiemu wręczyłem. Była to zaliczka uzupełnić się mająca do wysokości 100,000 franków jak najprędzej. Po otrzymaniu reszty summy wyżej oznaczonej, miałem Przewłockiego na Wschód wyprawić, opatrzywszy go instrukcjami dokładnemi i rozkazami stosownemi, tyczącemi się przeznaczenia oddziałiku, jaki za skromniutką kwotę 100,000 franków wysztyftowanym być mógł. Dodać winieném, że wydatki na uzbrojenie nie szły na rachunek funduszu tego: na ten cel inne przyświecały sperandy, o których napiszę później.

Zadanie przeto moje, jakiém rzekł wyżej, na dwie rozbijało się połowy, z których jedna znajdowała się na Podniestrzu, druga nad Bosforem. Przedzielały je, Turcja, księstwo Rumuńskie i Bessarabja. W przedziale tym właśnie spoczywała cała zadania waga, był to bowiem grunt kwestyi wschodniej, grunt niezmiernie dla Europy drażliwy, grunt, na który wprowadzona sprawa polska interesowałaby gabinety inaczej, aniżeli trzymana w owych „pewnych granicach,“ jakie zalecił był dla niej wyroczny telegram z Paryża.

Pewny jestem, że Polak każdy na tę elementarną zgodzi się prawdę, iż pomoc zewnętrzna, nie będąc do wywalczenia niepodległości Polski warunkiem *sine qua non*, może być wszakże w razach pewnych bardzo pożądaną. Powstaniu styczniowemu, poczętemu i podtrzymywanemu w warunkach tak nadzwyczajnie, tak bezprzykładnie, tak wyjątkowo trudnych, przedstawiała się ona, jako deska zbawienia. Wykrzesać ją, wywołać, sprowadzić, zniewolić w jakibądź sposób Europę do przemówienia za Polską językiem dział: stanowiło to dla nas w momencie owym potrzebę nieodzowną, konieczność.

Dla uczynienia zadość potrzebie téj, dwa przedstawiały się sposoby: albo rewolucja w Austrii, albo zaczepienie Europy na

gruncie kwestyi wschodniej. Co do pierwszego, gabinet wiedeński, przyłączając się do spółki działania na drodze dyplomatycznej gabinetów zachodnich, ubiegł dyplomację naszą i wywołał ze strony Rządu Narodowego wcale niedyplomatyczne do Rechberga umizgi, podszyte zakazem zakłócania spokoju Franciszkowi Józefowi. Drugi za to sposób stał przed nami otworę, pod dwoma atoli warunkami: pod warunkiem zrozumienia doniosłości onego i pod warunkiem użycia sposobów i środków odpowiednich. Warunek pierwszy dopełnionym został: rozumiał znaczenie punktu tego Rząd Narodowy, rozumieli Wysocki i Rużycki; co się wszelako drugiego tyczy, ten, niestety! pozostawiał do życzenia dużo, bardzo dużo.

Mając przed sobą do rozwiązywania zadanie doniosłości takiej, musiałem nakreślić sobie program postępowania. Nakreśliłem takowy. Wyrażał się on w sposób następujący: z jednej strony, organizowanie pospieszne i porządne Podola i przysposobianie onego do akcji powstańczej, z drugiej, sformowanie nie oddziałów, ale oddziału w Turcji i sprowadzenie takowego przez Multany na Podole.

Liczyłem przypuszczalnie, że do oddziału tego ściągnąć się da ludzi około 600 — siła dostateczna do sforsowania przejścia, które, w mniemaniu mojem, było nie czém inném, jeno środkiem otwarcia szluz do kanału pomocy zewnętrznej. Sam bowiem fakt przemarszu zbrojną ręką przez Multany, połączony z konieczności rzeczy ze wszystkimi przeciwko kodeksowi praw międzynarodowych zbrodniami, wciągał Rumunją, a przez nią Turcją, a przez tę ostatnią Europę, w sferę czynnego w powstaniu polskiem udziału — udziału, znaczenie którego określała z góry opinia publiczna. Ta ostatnia, w ucywilizowanym świecie całym zupełnie stanowczo, a bardzo wyraźnie za Polską się oświadczyła — i nie miała jeno pod ręką faktu, ani protektu, któryby dawał jój sposobność i możność wyproszenia, wydyskutowania i wygrożenia na gabinetach „dla bohaterskiej a nieszczęśliwej

Polski“ pomocy donioślejszj, aniżeli noty dyplomatyczne. Fakt ów i pretekst nastęrczyć jćj mogliśmy — na Wschodzie.

Dwoistość zadania mego nie dozwalała mi być zarazem osobą moją na Podolu i na Wschodzie. Musiałem wybierać — wybrałem: Podole.

Na wybór mój wpłynął ten wzgląd, że czynność na Wschodzie sprowadzała się sama przez się do sformowania oddziału, to jest do rzeczy czysto mechanicznćj, przystępnćj dla każdego z rzemiosłem wojenném oznajomionego człowieka. Przeprowadzenie oddziału także same jeno mechaniczne i rzemiosłowe nastęrczało trudności i przeszkody, do usunięcia których wystarczały przepisy i reguły, znajome wszystkim pięciu zdrowymi zmysłami obdarzonym officerom. Pomiędzy wiadomościami zresztą, jakie Przewłocki z Konstantynopola przywiózł, znajdowała się jedna, która kwestję tę rozstrzygała. Polacy, w stolicy Wschodu przebywający, wybrali sobie, w przewidywaniu formacyi wojskowej, na dowódcę majora Al. Łaskiego, officera z r. 1831, pozostającego w służbie tureckiej. Łaskiego nie znałem osobiście, wiedziałem jednak, że jest to Polak dobry i officer zdolny. Z góry przeto wybór ten uznawałem, gotowym będąc zatwierdzić takowy nominacją formalną „w imieniu Rządu Narodowego,“ przesłaną przez Przewłockiego wraz z instrukcją szczegółową, odnoszącą się głównie, obok kierunku marszu, do sposobu zachowywania się oddziału polskiego w obec mieszkańców Mołdawji i władz rumuńskich. Ponieważ jednak chcę, ażeby sprawozdanie moje dokładném było, wyznać przeto muszę, iż zachodził jeszcze jeden powód, powstrzymujący mnie od udawania się na Wschód. Powód ów był czysto osobisty. W Konstantynopolu, więćj aniżeli gdzieindziej, liczyłem nieprzyjaciół osobistych, których natworzyła i namnożyła mi książka po wojnie wschodniej (1853—56) przezemnie napisana a w Paryżu wydana. Obraziłem w niej ludzi sporo, i to takich, co wpływ mniej lub więćj znaczny, jeżeli nie na ogół, to w kółkach znajomych i przyjaciół swoich, wywierać mogli. Do obrażonych

należał Sadyk pasza; należał agent Czartoryszczyny, którym był W. Jordan; należało wyższych officerów kilku i w ogóle ci, co przez szeregi kozackie i byłej „dywizji polskiej w służbie angielskiej“ przeszli. Liczyło się ich sporo — powtarzam. Dla nich przeto, jakotóż dla przyjaciół ich i znajomych, osobistość moja nie mogła nie być wstrętną; — nie mogła zatem nie paraliżować w części znacznej udziału, jakiby ogół przebywających na Wschodzie Polaków w wyprawie pod dowództwem mojem osobistém wziąć chciał. Dla tych to powodów, wolałem na Wschód nie udawać się osobą własną.

Powody te atoli nie powstrzymywałyby mnie, gdyby nie zachodziły ważniejsze, nakazujące mi gruntu podolskiego się trzymać. Na Wschodzie miałem się kim wyręczyć; na Podolu zaś okoliczności zbiegły się w sposób taki, żem był człowiekiem jedynym, posiadającym przymioty mogące zelektryzować tę część dawnej Polski. Byłem z części téj rodem i posiadałem w niej kredyt patriotyczny; obok tego — co ważniejsza — obecność moja sama, jako obecność człowieka pod szubienicą działającego, na organizację ogromny wywieraćby musiała nacisk. Najmniejsze ze mną na gruncie podolskim zetknięcie się, nie ledwie popatrzenie na osobę moją, równało się zobowiązaniu najuroczystszzemu, każdego bowiem stykającego się czyniło w obliczu Moskwy zbrodniarzem stanu, winnym niezadenuncjowania takiego zbrodniarza patentowanego, jakim ja byłem. Wszystkich więc takich, a musiałoby ich być dużo — nie mogłem bowiem, na Podolu przebywając, egzystować bez stykania się z ludźmi — przemocąbym prawie w koło organizacji wciągał i do pospiechu a gorliwości zmuszał. Pod naciskiem tym przeto organizacja pójśćby musiała rażno i dojść do kulminacji swojej w momencie, w którymby bióra telegraficzne podchwyciły i roznosić po świecie poczęły nazwisko Łaskiego. O to właśnie chodziło.

Po nakreśleniu programu powyższego, pozostawało jeno wykonanie onego, to jest: wyprawienie Przewłockiego z instru-

kcjami i pieniędzmi na Wschód, samemu zaś przekroczenie granicy moskiewskiej. Właściwie, chodziło już o to jeno ostatnie, nie było bowiem racji dobrej do czekania na pieniądze we dwóch — mógł na takowe Przewłocki poczekać i sam. Rużycki pojechał przodem, z tém, ażeby drogę dla mnie urządzić i schronienie zabezpieczyć, o czém zawiadomić mnie miał. Czekałem przeto tylko na zawiadomienie od Rużyckiego; żeby zaś czasu nie tracić daremnie, pojechałem nad Dniestr, do Dźwiniaczki, celem sprowadzenia na Podole broni, zamówionj przez Małuję w Czerniejowcach. Tymczasem wysłałem za Zbrucz konia mego z osiodłaniem, sprowadziłem nad granicę ruchomości moje, pałasz, rewolwer, mappy etc. i byłem gotów zupełnie. Od Rużyckiego zawiadomienie nadejść mogło lada chwila. Punktem, w którym na takowe czekałem, było Krzyweńkie, rezydencja Stanisława Pajgierta, wypróbowanego i doświadczonego w przechodzeniu przez Zbrucz sztychem krytym. Wspominam o szczegółach tych drobnych, w celu uwydatnienia dokładnie zamiarów moich własnych i oddzielenia onych od czynności, do których zmusiła mnie subordynacja.

Dni kilka zmieniło z gruntu postać programu mego. Za powrotem z Dzwiniaczki do Krzyweńskiego, zamiast zawiadomienia od Rużyckiego, zastałem rozkaz Wysockiego, przywieziony przez wysłanego do mnie umyślnie kurjera, nazwiskiem Orzechowski.

Rozkaz ten zalecał mi, ażebym, nie tracąc czasu ani chwili, udawał się na Wschód, w celu organizowania tam oddziału i prowadzenia takowego na Podole. Pieniędzy Wysocki nie przysyłał, lecz mi je ukazywał w perspektywie, która nie wydawała mi się nader pewną. Jako pewnik następujące przedstawiał mi dane: ludzi 600 i karabinów 800. Ludzie, jakoby, czekali jeno na formację; karabiny zobowiązywał się dostawić Garibaldi, który, obok tego, do wyprawy naszej przyłączyć miał oddział Włochów, pod dowództwem syna swego, Menottiego. Wysocki nie uwiadamił mnie, zkąd dane te posiadał. Autentyczność onych, mia-

nowicie co się tyczy 600 ludzi gotowych, wydawała się podejrzaną zarówno mnie, jak przybywającemu wprost z Konstantynopola Przewłockiemu.

Rozkaz wszakże był wyraźny. Po pierwszém onego odczytaniu wydało mi się, że mnie chyba zmysły ludzą. Przed kilku zaledwie dniami przedstawiałem Wysockiemu powody, dla których osobiście na Wschód udawać się nie mogłem, powody odnoszące się tak do czynności na Podolu, jakoteż do stósunku, w jakim pozostawałem względem spółziomków naszych, zamieszkujących Konstantynopól. Wysocki nie mógł zapomnieć o tém. Odczytałem rozkaz po raz drugi i trzeci i przypuszczać zacząłem, że zapomniał chyba. Dla przekonania się więc, zażądałem, przez kurjera tegoż samego, powtórzenia rozkazu, wyłuszczając w liście długim wszystkie przypuszczalne niekorzyści, jakie obecność moja na Wschodzie na wyprawę sprowadzi, oraz zwracając uwagę generała na brak zupełny środków pieniężnych. Przypuszczając prawdziwość podania o 600 ludziach i o karabinach, to ludzi owych przez morze przewieść i bodaj ozuć potrzeba, nie licząc żywienia ich i zaopatrzenia w amunicję, umundurowania i wyznaczenia dla nich żołdu. Uczyniłem obrachowanie. Podzieliłem 3,000 na 600 — wypadło na głowę po rubli papierowych pięć. Za pięć rubli niepodobieństwem było przewieść człowieka z Konstantynopola na Podole. Zażądałem przeto kategorycznie, ażeby Wysocki rozkaz mi powtórzył, zastanowiwszy się dobrze nad możliwemi następstwami onego; w razie zaś, gdybym jechać miał koniecznie, ażeby mi zapewnił fundusze dostateczne.

W dni trzy po wysłaniu żądania mego otrzymałem drogą telegraficzną dobitne i naglące powtórzenie rozkazu, połączone z zapewnieniem co do funduszków.

Podole przeto z rąk mi się niejako wyśliznęło. Rzecz bowiem oczywista: niepodobieństwem było, ażebym ze Wschodu czuwał nad organizacją onego. Gdybyż przynajmniej na miejsce moje naznaczono kogo!... — kogoś, coby kierował dwiema temi

w bliskiej styczności pozostającymi czynnościami: organizacją Podola i wyprawą wschodnią. Rola ta najwłaściwiej przypadała Gołuchowskiemu, zamianowanemu w czasie owym generałem. Odrywając mnie od Podola, w osobie jego połączyć należało naczelnictwo sześciu obwodów Galicji wschodniej, ośmiu powiatów podolskich i oddziałów ze Wschodu na teatr wojny nadciągnąć mających. Wymagał tego porządek — rzecz taka ważna w działaniach wojennych; wymagała tego potrzeba. Zamiast uczynienia potrzebie tej zadość, od Podola mnie oderwano i odosobniono. Pytanie: co krok ten spowodować mogło?

Pytanie to stanowi dla mnie dotychczas zagadkę nierozwiązalną. Tłómaczyli mi je różni, różnie. Wedle podań, które mi się wiarogodnymi wydają, wyprawienie mnie — „mieroślawczyka zakapturzonego“ — na Wschód miało być dziełem ks. Sapiehy, który, w rzeczywistość dymisji mojej nie wierząc, obawiać się miał, ażebym za Wysockim w roli złego ducha nie stanął, czyli, ażebym nie naczelnikował pod firmą Wysockiego. Nie wiem, ile w podaniu tém prawdy. To jednak pewna, że danie mi zadania, ze świadomością całą o trudnościach, jakie mnie w rozwiązywaniu onego czekały, wyglądało na wysyłanie osoby mojej.... na złamanie karku.

Nie było wszelako rady. Należałem i należę do tych, co potrzebę subordynacji, w wojnach rewolucyjnych zwłaszcza, uznają jako konieczność nieodzowną. Musiałem więc rozkaz ów spełnić. Po otrzymaniu przeto powtórzenia onego, puściłem się w podróż niezwłocznie, wziąwszy od Przewłockiego paszport jego francuzki i zabrawszy od niego 3,000 rubli. Działo się to ostatnich dni Kwietnia. W dniu 3 Maja przejechałem przez komorę foltyczańską granicę mołdawską.

Na Bukowinie dopędziła mnie wiadomość, która w umyśle moim utwierdzała przypuszczenia o celu wysłania mnie na Wschód. Dowiedziałem się, że alter ego moim, pomocnikiem, zastępcą, czy czéms podobném w czynnościach na gruncie rumuńskim, zamianowanym został pułkownik Bednarczyk, człowiek, o którym

Wysocki doskonale wiedział, że ze mną pod żadnym harmonjować nie może względem. Przywiązywanie osoby jego do mojej było wskazywaniem z góry czynności moich na paraliż. Napisałem o tém do Wysockiego natychmiast, żądając albo odwołania Bednarczyka, albo dymisji dla mnie; Bednarczykowi zaś posłałem rozkaz, wyznaczający mu czynność wyłączną przy amunicji, która w czasie owym dla Galicji na Mołdawii się fabrykowała. Że jednak grunt mołdawski obsadzić należało, więc wyznaczyłem komissarzy, Wincentego D., Jana T. i Stefana S., pierwszego na część północną, drugiego na środkową, trzeciego na południową, polecając im gromadzenie broni, amunicji, żywności i ochotników, dając im upoważnienie do zbierania funduszków i nakazując znoszenie się ze mną bezpośrednio. Uczynić to musiałem ze względu na to, że Mołdawia była teatrem, na którym oddział wschodni wystąpić miał. Zawczasu przeto przygotować dla niego należało drogi i sposoby, ażeby w kraju obcym nie znalazł się pozbawionym środków dostania się do Polski.

Raz jeszcze powtarzam, że wyprawę wschodnią brałem w znaczeniu operacji bardziej politycznej, aniżeli militarnej, uważając ją, jako środek zainteresowania — że się tak wyrażę — do żywego Europy powstaniem polskiem. A jeżeli za taką uważałem ją, zapatrując się na nią z gruntu polskiego, to tém bardziej wówczas, kiedy grunt ten, wraz z podstawą, jaką na onym fundować zamierzałem, nagle z pod nóg mi znikł; kiedy podstawa ta przeniosła się do owych zagadkowych dla mnie 600 ludzi i związek z krajem przedstawił się pod postacią zależności od człowieka uczciwego, chętnego i zdolnego, lecz utrapionego chorobą i oskrzydłonego różnego rodzaju dyplomatycznemi i niedyplomatycznemi nagabywaniami, którym się nie zawsze, pozostając sam w położeniu zależném, działając pod naciskiem, z jednej strony, komitetu Białego, z drugiej, policji cesarsko-królewskiej, obronić był w stanie. Czy pod wpływem nagabywań owych mógł on oceniać jasno położenie i zadanie moje? Samo już naznaczenie

wyżej wymienionego pomocnika kazało mi powątpiewać o tém. Czegóż spodziewać się mogłem w przyszłości? Zamierzona przeto wyprawa przedstawiła mi się dwojako: albo wsparta środkami dostatecznymi, albo też pozbawiona takowych. W razie pierwszym cel jój pozostawał ten sam, z tą jeno modyfikacją, że ponieważ liczyć nie mogłem na to, ażeby na Podolu organizacja w porę dojrzała, więc rachunek przenieść musiałem na teren inny, na mołdawski, na którym należało zająć pozycję polityczno-militarną, dopuszczając się na takowym zbrodni, wołającej głosami wszystkich zaalarmowanych targnięciem kwestji wschodniej gabinetów o pomstę do niebios; w razie drugim, w razie braku funduszków, cel ów malał do rozmiarów przerzucenia na teatr powstania garstki dzielnych żołnierzy i kilkunastu, kilkudziesięciu dobrych officerów. Nie mogłem atoli dawać z góry za wygraną celowi w postaci pierwszej, nie mogłem bowiem przewidzieć, jaki obrót w kraju wezmą interesa finansowe i jakie zatém rozmiary nadać można będzie oddziałowi na Wschodzie. Rzecz cała opierała się na tém. Musiałem przeto czynności prowadzić tak, jakby chodziło o dopięcie celu w postaci pierwszej, większej, rozleglejszej, donioślejszej, podporządkując onęj pomniejszą w ten sposób, ażeby na wypadek, gdyby się nie powiodło jedno, drugie wywiązało się samo przez się.

Z tego to powodu powziąłem z góry postanowienie organizowania oddziału w Turcji, uzbrojenia go tam i prowadzenia przez territorium mołdawskie, bez zapytywania we względzie tym kogokolwiek o pozwolenie. Zbrodnia przeto, jaką popełnić miałem, była obmyślona; zawierała w sobie przymiot ów, co zbrodnię potęguje — premedytację, a wyrazić się miała pod postacią zgwałcenia granic zbrojną ręką. Wyrazić się ona miała pod postacią jeszcze okropniejszą i jeszcze bardziej zaalarmować zdolną, przychylną sprawie polskiej opinię publiczną świata ucywilizowanego. O tém wszakże napiszę poniżej, zaznaczając w tém miejscu to jeno, że chodziło mi o opatrzenie zbrodni rzeczonych pięknościami wielkości

jój odpowiedniami i o utrzymanie onój jak najdłużej pod sądem opinii publicznej.

Czyniono mi zarzut z tego, że za punkt wychodni dla wyprawy nie obrał Mołdawii, to jest, że ochotników z Turcji i broni nie sprowadził ukradkiem w okolice Botuszan lub Dorohoi i nie wykonał napadu na Podole przez Bessarabji część najwęzszą. Zarzut ten odpieram najprzód tém, że obierając Mołdawię północną za punkt wychodni, musiałbym był wyrzec się nadania wyprawie znaczenia politycznego, powtóre tém, że formowanie w Mołdawii północnej oddziału, dzięki skompromitowaniu miejscowości tej przez emisarjuszów Mierosławskiego i przez wyprawioną przezeń z Genui awangardę, było czystém niepodobieństwem. Miałem przybywających z Turcji ochotników narażać na to, ażeby ich ścigano, łapano, indagowano, bito, po więzieniach ciągnano i napowrót za Dunaj wyrzucano? Miałem siebie narażać na to, ażeby wyprawę snuł, jak Penelopa płutno, i do końca nie doprowadził jój nigdy? Pozory przemawiały za tém, że wysłany zostałem w celu nie innym, jeno w tym, ażeby nazwisko moje przyozdobiło się epitetem świetnym, „niedołęga;“ wyprawilo mnie to samo źródółko, które sparaliżowało zabiegi moje w Galicji i z którego wypłynęła niefortunna dyktatura Langiewicza, paraliżująca działalność Rządu Narodowego. Rozkaz podwójny, odrywający mnie od Podola, nie wyszedł wprost z natchnienia Wysockiego, posiadającego całkowitą świadomość okoliczności, oskrzydlających włożone na mnie zadanie. Nie wiem z kąd on wypłynął. Jest to dziś i w momencie owym było dla mnie zagadką; w zagadce tej upatrywałem rodzaj samotrzasku, w który iść nie chciałem, zakładając kwaterę główną na Mołdawii północnej z perspektywą nie dopięcia niczego i ujadania się jeno ustawicznie z jedną z najnikczemniejszych w świecie policji. Któż mi za złe niechcenie to wziąć może?



IV.

Roboty w Turcji.

W podążaniu mojem na teatr działania wschodni, z powziętém postanowieniem zrobienia wszystkiego, na co mi siły starczą, po drodze nigdzie nie zatrzymywałem się długo. Na Mołdawii zabawiłem jeno pod Foltyczenami dni dwa w celu poczynienia rozporządzeń potrzebnych, tyczących się komissarzy i zakresu czynności takowych i wyprawienia rozporządzeń tych przez gońców pewnych. Po załatwieniu się z tém, przejechałem przez Mołdawią tchem jednym na karucy pocztowej. Z Romania zatelegrafowałem do Bednarczyka, oznajmiając mu tak o przybyciu mojem, jako téż o tém, żem mu przesłał rozporządzenie, do którego się on ściśle stosować ma. W Gałaczu zatrzymać się musiałem, czekając na statek.

Nie od rzeczy będzie rzec słów kilka o Mołdawii, pod względem resursów, jakie zawierała ona w sobie w odniesieniu do wyprawy mojej, dla której stać się miała polem wystąpienia oddziału. Na Mołdawianów liczyć nie mogłem i nie liczyłem, pomimo, że wśród nich znajdowali się, z jednej strony, malkontenci, niezadowoleni z rządów Kuzy, z przeniesienia stolicy z Jass do Bukaresztu i z połączenia księstw, z drugiej, szczerzy i gorący sprawy polskiej przyjaciele, jak Adam Chareto, Raklisz i inni. Było téż w Bukareszcie samym stronnictwo liberalne, postępowe,

do republikanizmu się przyznające, w którym figurowały nazwiska Rossettiego, Goleśków, Bratjanich (Dymitra i Jana), Leków i innych. Nie liczyłem na nich, dla chwiejności przekonań ich, pochodzącej ze skłonności do dyplomatyzowania na sposób bizantyński. Rumun każdy jestto dyplomata z urodzenia, głęboki, zagadkowy i dla tego właśnie nie pewny. Nie chciałem się im w ręce oddawać, zdradzając przed nimi zamiar opanowania części krainy ich, na rzecz nie ich widoków osobistych lub stronnich, ale — sprawy polskiej. Resursa przeto, jakiby oni zaręczyć mogli, gdyby na szczerłość ich spuszczać się było można, pozostawiałem na boku, zwracając się wyłącznie do Polaków na Mołdawii zamieszkujących, a składających się, częścią, z wychodźców politycznych, w znacznej atoli większości z takich, co dla chleba wyszli, z rzemieślników, rękodzielników, techników, urzędników prywatnych, przedsiębiorców i dzierżawców pomniejszych, których dostarcza podatkami przeciążona i austriackim gospodarstwem nękana Galicja. Dokładnej statystycznie liczby ich podać nie mogę. Dla dania wszelako w przybliżeniu wyobrażenia o mnogości Polaków na Mołdawii, dość powiedzieć, że nie masz miasteczka, w któremby nie przemieszkowało kilkunastu, nie masz wioski, któraby bodaj jednego nie liczyła. Śród nich nie wielu znajduje się takich, co o Polsce zgoła zapomnieli; ci zaś co nie zapomnieli, pamiętają o niej od niechcenia, to jest o tyle, o ile pamiętanie nie przeszkadza codzienną ich o kawałek chleba powszedniego trosce. Nie dziw — dla chlebaż się ekspatrywali, chleb przeto na pierwszym u nich stoi planie. O wszystkich atoli tego powiedzieć nie można. Z tłumu robotników zajętych troską chlebową wystają jednostki, acz nieliczne, ale chlubnie pełniące obowiązki patriotyczne z przekonania i z popędu własnego. Ogół popędu własnego się pozbył i patriotyzm, gdzieś na dno duszy spuściwszy, w stan letargu wprawił. Chcąc patriotyzm w nim rozbudzić, wywołać takowy należy gwałtem niemal, podsuwając mu okazję tak, ażeby dotknąć mógł onęj

palcem. Za okazją tego rodzaju, palcem dotknąć się dającą, uważałem obecność na Mołdawii oddziału polskiego. Polskie szczyki, polski sztandar, odgłos bojowej trąbki polskiej, wywierają na Polaków urok czarodziejski, któremu oprzeć się nie sposób. Na urok ów liczyłem więc, anizeli na możliwe zapewnienia i zobowiązania dyplomatów rumuńskich, i rachowałem, że Mołdawia wystawi kontygens, wynoszący mniej więcej 300 ludzi, do boju przydatnych. Kazałem kontygens ów cichaczem ściągać i gromadkami ustawiać na drodze marszu mego, którą komisarzom wytyczyłem z góry, wyznaczając im punkta główne na składy żywności, amunicji i oręża.

Do Gałaczu towarzyszył mi Józef Zm. Przez niego przesłałem komissarzom uzupełnienie rozporządzeń i instrukcyj, jakie udzieliłem im z Foltyczan i udałem się do Tulczy.

Tulczę upatrzyłem, jako miejsce na formowanie oddziału. Punktu dogodniejszego wybrać nie mogłem, żaden bowiem inny nie nadawał się lepiej do zamaskowania w oczach Moskali i w ogóle celu wyprawy, której ukrycie całkowite niemożliwem było. W Tulczy jednej znajdowałem się w możności postawienia Moskali w niepewności, co do kierunku, w jakim się udać zamierzałem — czy morzem do Odessy, albo do Akiermanu? czy lądem na Bendery lub Kiszyniew? czyli téż przez Mołdawię? Pięć przed sobą miałem do wyboru dróg, z tych ostatnia najmniej przypuszczalna. Stawałem się przeto dla Moskali zagadkowym, co dla wyprawy nie małą rokowało korzyść. Przytém Tulcza, jako miasto handlowe, ludne i ruchliwe, z łatwością mogło, przy jakiejś takiej ze strony władz tureckich życzliwej względności, przez pół zamaskować pobyt ludzi kilkuset, pozorując napływ ich pretekstem pierwszym lepszym. Nadto, liczyłem jeszcze i na to, że dawniejszemi czasy stanowiła ona przytulisko zbiorowe dla dezterterów z wojska moskiewskiego i dla zbiegów z szeregów poddaństwa w Krajach Zabrzanych, dla tak zwanych burłaków, ludzi bez zatrudnienia stałego i bez jutra, których część jakąś spo-

dziewałem się do szeregów naszych zwabić. Nadzieja ta zawiodła mnie jak najzupełniej. Oprócz kilkudziesięciu Polaków, zatrudnionych i zagospodarowanych i Rusinów osiadłych, burłaków nie znalazłem prawie. Ta ruchomej ludności kategoria, w części jednej, większej, na wieść o podobieństwie zniesienia poddaństwa, powróciła na Ruś dobrowolnie, ci zaś co nie powrócili, nie mieli zgoła ochoty powrotu sobie zbrojną otwierać ręką. Okolice wszakże Tulczy mogłyby jaki taki dać do oddziału kontygiiens, gdybym był posiadał pod ręką ludzi paru zręcznych i zwinnych, do werbowania się nadających. Powierzyłem to porucznikowi Witwickiemu, ten wszelako, pokręciwszy się tu i owdzie po Dobrudzi, z niczém powrócił. Nie stanowiło to atoli głównej pobytu mego racji. Chodziło mi przedewszystkiem o zrekonoskowanie miejscowości, pod względem pomieszczenia ludzi i dostawy transportów. Pościągałem wszelkie w przedmiocie tym potrzebne wiadomości. Do rejestrowania zaciężnych i czynienia wypłat przeznaczyłem Liczbińskiego, do przyjmowania i przeprowadzania dostaw porucznika Cholewińskiego, urzędnika przy konstrukcji telegraficznej. Zarządziłem sposób kwaterowania ochotników; zamówiłem 100 grotów do lanc; zabrałem znajomość z pułkownikiem Woroniczem, który mi przyrzekł pomoc swoją i wyjechałem do Konstantynopola.

Wspominam o rzeczy postronnej na pozór i obojętnej, o poznaniu się z pułkownikiem Woroniczem. Wspominam o tém dla tego, że rzecz ta nie była wcale obojętną dla mnie. Pułkownik, twórca króla de facto, należał do stronnictwa hotelu Lambert, które w wojnie wschodniej (1853—56) udział wzięło i był jedną z osobistości przezemnie w książce mojej „Udział Polaków w wojnie wschodniej“ obrażonych najdotkliwiej. Jeżeli ze strony czyjś, to z jego, prawa nie miałem spodziewać się przebaczenia urazy osobistej. Jednakże, nietylko urazę przebaczył, nietylko pomoc przyrzekł, lecz przyrzeczenia dotrzymał jak najskrupulatniej, czuwając nad sprawą oddziału w wicekonsulacie francuzkim,

w którym sprawował obowiązki kanclerza. Szlachetność tę, iście obywatelską, za dobrą sobie wziąłem wróżbę, w odniesieniu do stósunków ze spółziomkami moimi w Konstantynopolu. Pełen więc dobrej otuchy udałem się do Konstantynopola, gdzie kilkunastu Polakom nastęczała się sposobność naśladowania przykładu pięknego, danego przez Woronicza.

W Konstantynopolu zabawić musiałem tydzień cały. Miałem do załatwienia interessa następujące:

- 1) zapewnienie się, co do ilości zaciężnych, w odniesieniu do których Konstantynopol główne stanowił źródło;
- 2) urządzenie przyjęcia w Konstantynopolu i przetransportowania do Tulczy broni, ofiarowanej przez Garibaldiego;
- 3) poświadczenie się o funduszach, odbiorstwo których było przy Sokulskim;
- 4) porozumienie się z ogółem emigracji polskiej na Wschodzie, co do naczelnictwa mego.

Punkty pierwszy i ostatni wymagały zetknięcia się z agencją hotelu Lambert, na czele której stał pan Władysław Jordan. Pozycja tego ostatniego, pomimo, że ks. Władysław Czartoryski, głowa stronnictwa dyplomatycznego, był już zamianowanym głównym Rządu Narodowego agentem dyplomatycznym, nie była zgoła określoną wyraźnie. Agentura hotelu Lambert w Konstantynopolu nie posiadała publicznego, politycznego, urzędowego charakteru. Ks. Wł. Czartoryski miał prawo zamianowania agenta w imieniu Rządu Narodowego; nie spieszył się wszakże ze stosowaniem prawa tego do osoby p. Wł. Jordana, z którym mimo to znosił się i wszelkie zachodziło do prawdy podobieństwo, że przeistoczenie agentury prywatnej hotelu Lambert na publiczną, urzędową, jest jeno kwestją czasu, zależącą od dopełnienia formalności pewnych, mogących być dopełnionemi lada chwila. Formalność owa była to zresztą rzecz, na którą w takich, w jakich do Konstantynopola przybywałem okolicznościach, uwagi zwracać nie mogłem, z obawy wdania się w subtelizowania bi-

zantyńskie. Dostatecznym było dla mnie to, że potrzebowałem pomocy i spółdziałania ludzi, należących do rodziny polskiej i, że występowałem w imieniu Rządu Narodowego, który wszystkich, bez różnicy stronnictw, wyznań i humorów, do czynności patriotycznej powoływał. Na podstawie tej zapragnąłem zbliżenia się do p. Jordana, przedstawiciela stronnictwa, którego naczelnik uznany pełnił funkcje generalnego naszego agenta po za granicami Polski. Natychmiast przeto po przybyciu do Konstantynopola zgłosiłem się do p. W. Jordana pierwszy, przesyłając mu żądanie rozmowy za pośrednictwem Sokulskiego. Na żądanie to otrzymałem odpowiedź, że p. Wł. Jordan posłuchania mi udzieli, pod warunkiem atoli, jeżeli zobowiązę się publicznie na piśmie odwołać to, com w książce, p. t. „Udział Polaków w wojnie wschodniej,” o officerach Polakach w służbie tureckiej napisał. Pan Jordan proponował mi przeto nie co innego, jeno, ażeby sam siebie o kłamstwo oskarżył i to wbrew przekonaniu własnemu, które mi książkę tę dyktowało przed laty sześciu. Co?... Cała warunku tego obrzydliwość stanęła mi przed oczami żywo. Pełnych lat sześć miał p. Jordan czas i możność postawienia mnie wraz z książką moją przed sądem opinii publicznej i, jeżeli posiadał dowody, obalające prawdziwość tego com napisał, wywołania przeciwko mnie ze strony ogółu polskiego wyroku jak najsurowszego. Nie — zamiast korzystać z możliwości tej, skorzystał z chwili, w której stawałem przed nim obarczony zadaniem publicznym, odpowiedzialność za które całym na mnie spadało ciężarem. Skorzystał z położenia mego i zachciał wycisnąć na takowym to, czego przez ciąg lat sześciu wycisnąć nie był w stanie z dowodów. Warunek w tak dowcipny postawiony sposób mocniej jeszcze utwierdził mnie w przekonaniach, jakie miałem, pisząc książkę moją. Przez wzgląd atoli na dobro sprawy, o którą mi w chwili tej chodziło przedewszystkiem, oświadczyłem gotowość nie odwoływania, lecz przeproszenia obrażonych publicznie, pod warunkiem wszakże, jeżeli p. Jordan wykaże się, jako chce

i może do wyprawy dopomódz. Na oświadczenie to agent hotelu Lambert oświadczyć mi kazał, że ani chce, ani może. To nakazało mi zaniechać wszelkich mających na celu zbliżenie się do p. W. Jordana kroków, opierając się jedynie na pomocy i współdziałaniu przyjaciół moich i ludzi, albo nie obrażonych, albo też takich, którzy, jak Woronicz, w obec sprawy publicznej milczenie nakazywali pretensjom osobistym. Na chlubę emigracji polskiej, tych ostatnich znalazła się liczba nie mała, pomiędzy którymi z całą przynależną im wdzięcznością wymieniam: majora Jagmina, kapitana Augusta Cieszkowskiego i w ogóle tych officerów wszystkich, co, przeszedłszy przez służbę w byłej dywizji Zamojskiego i w kozakach Sadyka, do formowanego przezemnie weszli oddziału.

Po niefortunnej zbliżenia się do p. Jordana próbie, pozostawała jeszcze jedna osobistość wydatna, z której wejść w stosunki bodaj pośrednio obowiązany byłem. Osobistością tą był głośny Sadyk pasza (Michał Czajkowski), także przezemnie mocno obrażony, a, jako generał, w służbie czynnej tureckiej pozostający, mający pewne, acz silnie przez siebie samego nadszarpane, u Wysokiej Porty zachowanie. Ten mógł zamierzonej przezemnie wyprawie pomódz nie wiele, wiele jednak zaszkodzić. Okazał się on, o ile mniej zawziętym, o tyle od przedstawiciela hotelu Lambert patriotyczniejszym. Przed mojem jeszcze do Konstantynopola przybyciem, porozumiał się z Sokulskim i przyrzekł mu być pomocnym, o ile na to położenie jego pozwoli. W przekonaniu, że nastąpi zbrojna na korzyść Polski mocarstw interwencja, w której udział weźmie i Turcja, postępował w duchu przekonania tego, usiłując zatrzymywać Polaków w szeregach, pozostających pod dowództwem jego pułków kozackiego i dragońskiego. Z gorętszymi, co się do powstania rwali, z takimi co pułki do Polski prowadzić chcieli, wiódł zatargi. Zatargi te nie wychodziły po za granice komendy jego. Sokulski i ja szanowaliśmy prze-

konania i oszczędzali położenie jego i on, oceniając snadź powściągliwość naszą, nie tylko nie przeszkadzał, lecz tak nawet daleko życzliwość swoją posunął, że nie ścigał dezertarów kilku, którzy, nie mogąc doczekać się dymissji żądanej, samowolnie opuścili szeregi tureckie. Być może, iż ta jego względem nas postawa nakazaną mu była przez Wysoką Portę. Był to domysł, do sprawdzenia którego żadnych pewnych nie posiadaliśmy skazówek, a widząc jeno życzliwość Sadyka, nie szukaliśmy w komendzie jego, ani ludzi, ani broni, nie czyniliśmy kroku najmniejszego, mającego na celu dezorganizację kozaków i dragonów. W tej zresztą dezorganizacji nie było korzyści innéj, jeno chyba zrobienie Sadykowi na złość. Do robienia zaś na złość, dla saméj tylko przyjemności napsucia krwi wodzowi, co się bawił w hetmana Ukrainy czy Zaporozża, nie czuliśmy się w usposobieniu, pomimo, że wyborna nastroczała się ku temu zręczność w tém, że miałem prawo Polaków do polskich wezwać szeregów, i to w imieniu Rządu Narodowego, powaga którego w czasie tym, w skutek upadku nieszczęsnéj dyktatury Langiewicza, najwyższéj doszła była potęgi. Nie korzystałem wszakże ze sposobności téj przez wzgląd na to, że kilkunastu, kilkudziesięciu może podofficerów i officerów, jakichbym do oddziału przeciągnął, nie stanowiło korzyści tak wielkiéj, ażeby dla niéj zrażać człowieka, który, jeżeli nie obecnie, to w przypuszczalnych komplikacjach przyszłości, sprawie polskiéj mógł oddać usługi niejakié. Nie widziałem się z nim jednak osobiście. Nie było go w Konstantynopolu. Poprzestałem całkowicie na relacji Sokulskiego i oddałem wizytę pani, z domu Śniadeckiej (Ludwice), która rządziła Sadykiem paszą. Pani zaszczyliła mnie przyjęciem wielce uprzejmém, potwierdziła w zupełności relację Sokulskiego, zaręczała uroczyście, że Sadyk pasza jest Polakiem jak najlepszym i lekką jeno aluzją dotknęła obrazy osobistéj.

Co do zapewnienia się przeto we względzie ilości ochotników, ani p. Jordan, to jest stronnictwo hotelu Lambert, ani Sadyk

pasza, to jest Polacy urzędowe w służbie tureckiej zajmujący stanowiska, zgoda mi przydatnymi być nie mogli. Nie pozostawało mi tedy, jak zwrócić się wprost do ogółu. W tym, jedni patrzyli w stronę Jordana, drudzy w stronę Sadyka paszy, trzeci w stronę Polski. Pierwsi, nie przyznając się głośno do stronnictwa, mimowolnie szli za nim, ulegając wpływowi rozumowań, głoszących potępienie i pohybel pod adresem powstania, a ukazujących Polsce cel inny, mianowicie Kaukaz, na który pod patronatem angielskim, przysposabiała się ekspedycja w agencji hotelu Lambert. Drudzy, przejęci silną w interwencję turecką wiarą, do chwili urzeczywistnienia wiary tej odkładali pełnienie obowiązków patriotycznych. Trzecich, zamiast 600, zapewnionych mi przez Wysockiego, zapisało się u majora Jagmina wszystkiego 120 ludzi.

Na tych ostatnich jednakże, o patriotyzmie których nie wątpiłem, z bezwarunkową pewnością liczyć nie mogłem. Dzielili się oni na dwa rodzaje: na takich, co z góry i bez restrykcji żadnych poddawali się rozporządzeniom Rządu Narodowego i na takich, co reklamowali dla emigracji praw pewnych, a zatém, uznawali rozporządzenia rządowe pod warunkiem przyznania im praw owych, które, jak na teraz, streszczały się w jednym, mianowicie, w prawie wybrania sobie naczelnika wojskowego.

Wyżej już o tém wspomniałem, że Przewłocki przywiózł był do Galicji wiadomość, jako emigracja polska w Konstantynopolu dokonała wyboru wodza w osobie majora Aleksandra Łaskiego. Wiadomość ta była prawdziwą. Fakt ten gotów byłem uznać wówczas, gdym miał na Podolu pozostać; zamierzałem Łaskiemu nominację posłać. Za mojem atoli do Konstantynopola w charakterze naczelnika wojskowego przybyciem, sytuacja zmieniała się: mogłem w Łaskim uznać naczelnika tych jeno, co go obrali, ale nie oddziału, tém zaś mniej wyprawy, poruczonej mi pod moją odpowiedzialnością osobistą. Rzecz ta w ten sposób przedstawiała się z punktu odpowiedzialności prawnój. Z punktu kar-

ności przedstawiała się ona jeszcze wyraźniej. Władza naczelna zamianowała mnie naczelnikiem oddziałów wschodnich; dostałem rozkaz przewodniczenia oddziałom tym osobiście — i koniec — gadać o czém nie było. Nie tak jednakże rzecz taż sama przedstawiała się z punktu rzeczywistości, a nawet — powiem — sprawiedliwości. Gdyby ludzie, mający ochotę wziąć w wyprawie udział, odmówili iść pod rozkazy moje: cóż począć miałem w razie takim? Pytanie to tém dla mnie delikatniejszym było, iż w sumieniu mojem własnem wyborcom Łaskiego rację przyznawałem. Za mną przemawiało zaufanie, jakie Rząd Narodowy pokładał we mnie; za Łaskim przemawiało zaufanie tych, co życie na hazard nieśli, zaufanie oparte na dowodach znajomości rzemiosła wojskowego, które Łaski złożył, a które, co do mnie, przedstawiały się pod postacią problemu, nie dającego się rozwiązać, ani tém, żem odbywał kampanią węgierską, ani téż tém, żem w charakterze spektatora brał udział w wojnie wschodniej. Studiów, jakim w zakresie rzemiosła wojskowego czynił, wypisanych na czołe nie miałem. Gdybym sam w gronie wyborców się znajdował, byłbym wotował na Łaskiego i mocno się przy tém upierał, ażeby nie kto inny, jeno on, do boju mnie prowadził. W sumieniu przeto mojem, że tak powiem, prywatném, wyborców Łaskiego miałem za usprawiedliwionych zupełnie. Sumienie atoli publiczne, urzędowe, nakazywało mi powagę Rządu Narodowego utrzymać i wszystkich do téj przyprowadzić subordynacji, która mnie wbrew woli mojej na Wschód zapędziła. Sprosiłem przeto wydatniejsze z ogółu przebywających w Konstantynopolu Polaków osobistości i, pomijając całkowicie kwestję wyborów, wylegitymowałem się przed nimi, przedstawiłem im tytuły moje, nie pokazując jednego tylko, nominacji na pułkownika, którą w tym właśnie czasie przywiózł mi przysłany jako komissarz wojskowy Przewłocki, a która zdziwiła mnie mocno. Z Łaskim zszedłem się u Sokulskiego, rozmówiłem się z nim i tytuły mu moje pokazałem. I rzecz cała załatwioną została. Jak ogół, tak Łaski, tyle w sobie

znaleźli poczucia patryjotycznego, że jeden przekonanie, drugi miłość własną poświęcili sprawie karności rewolucyjnej, uznając bez dyskusji rozkaz, na poparcie którego nie było ani powagi, ani siły innej, tylko moralna. Nie sam jeden Woronicz na abnegację tego rodzaju się zdobył.

Przedstawiając siebie, jako naczelnika z ramienia Rządu Narodowego, nie zamyślałem bynajmniej o usuwaniu Łaskiego — przeciwnie. Całych przeto dołożyłem usiłowań, w celu zatrzymania go przy dowództwie oddziału i korzystania z wiadomości jego i doświadczenia. Pomimo, że miał gotową i postanowioną marszrutę pochodną, zawezwałem go na radę wojenną, w której udział wzięli Sokulski i Brzozowski, i na której roztrząsanym był kierunek marszu. Dyskusja ciągnęła się długo, przy pomocy mapp, w jakie zaopatrzyłem się na Mołdawii. Wreszcie, rozmówiłem się z Łaskim otwarcie i zyskałem tyle, że przyrzekł mi do oddziału się przyłączyć, gdy ten dojdzie na wysokość Jass, tymczasem zaś pozwolił wcielić siebie w kadry onego i do organizacji dopomagać szczerze. W sposób ten, dzięki patryjotyzmowi ogółu z jednej strony, patryjotyzmowi i wyrozumiałości Łaskiego z drugiej, kwestja nader dla mnie delikatna i drażliwa, pomimo ustnych i pisemnych ze strony „obrażonych“ reklamacyj, rozstrzygniętą i załatwioną została.

Kwestja broni nastawiła się w sposób jak najfatalniejszy. Broń, którą nam Garibaldi ofiarował, przyszła; przysłaną była atoli tak nieogłędnie, że o obecności onej w porcie dowiedzieli się pierwsi szpiegowie ambasady rossyjskiej, aniżeli my, — i władze tureckie skonfiskować ją musiały. Ci co ją wysyłali nie wiedzieli snadź, pod jakim port konstantynopolski pozostaje dozorem. Wyprawili broń w pakach à jour, z których przeglądały lufy karabinów i sterczały bagnety. To téż, jak skoro paki z okrętu do komory przenosić zaczęto, w téżże chwili Konstantynopol cały dowiedział się o naturze transportu. Rzecz atoli nie była zrospaczoną. Władze tureckie broń skonfiskowały; nie było wszakże

pewności, ażeby ją zatrzymać chciały. Kwestja ta przeto ten wzięła obrót, iż należało czynić starania w celu wydobycia skonfiskowanego artykułu z rąk tureckich. W staraniach tych wielce przydaćby się była mogła pomoc takich pp. Jordanów, którzy, dzięki długiemu gruntu konstantynopolskiego deptaniu, poznali takowy na wylot. Zachodziła nawet okoliczność partykularna, która pomoc tę ułatwiała. Arsenał turecki przechowywał kilkaset sztuków i dwa działka, przysłane przez Anglików a przeznaczone dla Czerkiesów, któremi zawiadował p. Jordan, szykujący w porozumieniu z Łękawskim, agentem Urquardta, ekspedycję na Kaukaz. Łękawski okazywał gotowość odstąpienia na rzecz powstania polskiego sztuków tych i tych działek. P. Jordan atoli, „obrażony“, ani słuchać o tém chciał, odmawiając udziału w staraniach o wydobycie broni skonfiskowanej. Starania te wziął na siebie Sokulski. Krok jego pierwszy w sprawie téj był do wielkiego wezyra, który powiedział jeno: „je vous croyais plus habiles“ (miałem was za zręczniejszych). Odmowy, odbierającej nadzieję wszelką, Turcy nie dawali. Sprawę tę, kiedym już z Konstantynopola na stanowisko moje do Tulczy odjeżdżać musiał, zostawiłem jeszcze w zawieszeniu, z którego trojakie przedstawiało się wyjście: albo Turcy broń Garibaldiego wydadzą, albo Łękawski wyjedna u Urquardta odstąpienie na rzecz naszą sztuków czerkieskich, albo téż ta smutna nastąpi ostateczność, iż broń kupować będziemy musieli.

Sprawa ta należała do zakresu czynności Przewłockiego, przysłanego, jakém rzekł wyżej, przez sztab główny w charakterze komissarza wojskowego. Do pomocy w robotach przybywał mi jeszcze wysłaniec Zarządu Rusi, mającego siedlisko swoje w Odessie, nazwiskiem Zaręba (nazwisko przybrane).

Kwestja pieniężna w nie najświetniejszym znajdowała się stanie. Gotówki, o ile zapamiętam, mieliśmy: 1) 5,000 rubli w papierach, przysłanych przez Sobańskiego — z tych Sokulski poczynił już wydatki niejakie; 2) 3,000 rubli w papierach, przy-

wiezionych przezemnie; 3) 10,000 franków, przywiezionych przez Zarebę z Odessy. Co się sperandy tyczy, ta w następujący przedstawiała się sposób: 1) Przewłocki zawiadomił nas, że Zima, zamianowany na szefa sztabu, wiezie 5 czy 6 tysięcy rubli; 2) Sokulski zniósł się listownie z Sapiehą i ten upoważnił go do wystawienia na ukazany przez siebie dom bankowy we Wiedniu weksla, w wysokości 20 do 30 tysięcy złr. Coś jeszcze obiecywano z Odessy, nie pamiętam jednak ilości. Gotówki przeto, odliczając 10 procent straty na papierach rosyjskich, posiadaliśmy około 38,800 franków; speranda zaś, pewna, przedstawiała się pod postacią 18,000 franków, niepewna — 20 do 30,000 złr.

Gdyby pieniądze wszystkie, jako gotówka i speranda powyżej wymienione, od razu znalazły się były rękach w naszych; gdyby przytém nie była nastąpiła konfiskata broni: bylibyśmy mogli być w wydatkach śmielsi i szersze od razu nadać rozmiary przedsięwzięciu, wskazanemu z góry na braki wielkie dla tego jedynie, że roztropność nakazywała rozporządzać gotówką tylko. Czyż Zima nie mógł przyaresztowanym zostać? Kto ręczyć mógł, że dom bankowy wiedeński spłaci weksel? Broń zaś — gdyby się przyszło kupować takową?... Musieliśmy przeto z jak największą wydatkować oględnością i oszczędnością, ograniczać się do *stricte nécessaire* i odmawiać sobie wiele, a najprzód sprowadzania ochotników, zgłaszających się ze stron odleglejszych, z Grecji, z Egiptu, z Syrii.

W Konstantynopolu, jak wspomniałem wyżej, zapisało się u Jagmina ludzi 120. Co moment atoli, na wieść przybycia mego, zgłaszali się nowi, po jednemu, po dwóch, po trzech. Posłałem w okolice Konstantynopola, na czyfikli (folwarki) i ściągać się poczęli ze stron różnych ochotnicy. Brakowało mi jeno pieniędzy rozporządzalnych w ilości znaczniejszej, a byłbym mógł, zrewidowawszy Turcję w promieniu jakich mil trzydziestu około Konstantynopola po europejskiej i azyjskiej stronie, wyszukać i ścią-

gnąć 600 do 800 żołnierza takiego, z któregoby cuda wydobyć można.

Brakowało jeno pieniędzy.

Ściąganie się ochotników i zapisywanie się ich u Jagmina otuchy mi dodawało. Nie mniej przeto myśl o szczupłości funduszów i perspektywa potrzeby zakupna broni trapiły mnie srodze. Miarkowałem, że zejść się może ludzi 400 do 500: czém ich uzbroić? jak odziać? o czém z Konstantynopola do Tulczy przewieść? Nie na tém koniec wszakże. Przezorność nakazywała pamiętać jeszcze i o tém, ażeby kassa oddziału w przemarszu przez Mołdawię pustą nie była. Względy te odbierały mi śmiałość w zwoływaniu ochotników; lękałem się, ażeby się ich nie zgromadziło za wiele: ograniczyłem się przeto na takich jeno, co się pod ręką znajdowali i zarządziłem wyprawianie ich po trochę do Tulczy — w liczbie znaczniejszej, na statkach francuzkich, w mniejszej, na austriackich, pełniących służbę pocztową pomiędzy Konstantynopolem a Gałacem. Upozorowaniem dla wyprawiania służyły polowe na Dobrudzi robocizny.

Nie to jedno tylko wszakże do załatwienia w Konstantynopolu miałem. Oparły się o mnie jeszcze dwie sprawy: jedna z wydziałem Zarządu Rusi, ustanowionym w Odessie, druga z wysłańcem Garibaldegó, pułkownikiem B.

Wydział odesski Zarządu Rusi domagał się, ażebym wyprawę skierował na Odesę, to jest, ni mniej ni więcej, tylko, ażebym Odesę zdobył. Żądanie to stało w związku z ekspedycją kaukaską, szykowaną przez p. Jordana. Na Kaukazie czekać miało w pogotowiu Czerkiesów 6,000 i chodziło o to jeno, ażeby przewieść ich i na stopy chersońskie rzucić. Plan w nakreśleniu swoim był prosty: oddział polski w połączeniu z włoskim miał Odesę zdobyć, dla otworzenia w takowej wylądowania Czerkiesom, z czego wywiązać się miała kampanja przeciwko Rosji na wielką skalę. Z planem tym przyjechał z Odessy wyżej wzmiankowany Zaręba, zamianowany przez wydział organizatorem.

Szczęściem organizator zdrowe posiadał zmysły, z łatwością przeto zrozumiał dziwaczność całą pomysłu podobnego, połączonego z bajką o 6,000 Czerkiesów, a opartego na przypuszczeniu, że Moskale nie dostrzegą, ani okrętu na morzu Czarném, wiozącego ochotników, ani téż wylądowania takowych i wkradnięcia się do miasta, zamieszkałego przez ludność nie koniecznie pewną we względzie sprzyjania sprawie polskiej i bronionego przez garnizon stosunkowo liczny. Danych tych strategicy odesscy na uwagę, jak się zdaje, nie brali. Puf o Czerkiesach i o pogotowiu ich stworzonym został przez p. Jordana — wiadomość tę posiadam z ust trzecich, z Odessy — i dla tego oparty na takowym plan przedstawił mi się nie inaczej, jeno jako kryty sztych, wysunięty napród w tym celu, ażeby za pomocą odciągania uwagi w stronę niemożliwości, rzecz możliwą uczynić do wykonania niepodobną. W mniemaniu tém utwierdzała mnie ta okoliczność, że w tym właśnie momencie, kiedyśmy oddział polski formowali, p. Jordan z gorliwością wielką urządzał ekspedycję na Kaukaz, której przewodnictwem obejmował pułkownik Klemens Przewłocki i dla której hotel Lambert przysłał paru officerów francuzkich. Wątpię, ażeby czynność ta odbywała się za wiedzą i wolą Rządu Narodowego, któryby mnie był zawiadomił o niej; domyślam się, że fundusze na nią płynęły ze źródeł angielskich; wiem, że hotel Lambert opiekował się nią, ba nawet za pośrednictwem agenta swego, rękę do niej czynnie przykładał, odmawiając mnie pomocy wszelkiej; wiem, że tenże hotel Lambert zajmował w czasie owym stanowisko agencji generalnej politycznej Rządu Narodowego po za granicami Polski; zresztą nie wiem o niczem inném, z wyjątkiem tego jeszcze, że ekspedycja owa kaukazka nie mało szkodziła w momencie owym na Wschodzie jedności działania polskiego, które, przy połączeniu sił i środków, doprowadzić mogło do rezultatów znakomitych.

Sprawa z Garibaldim nie nastęrczała w załatwieniu żadnych trudności. Pułkownik B., acz nagabywany przez tych, co się

z planem odesskim nosili, zgadzał się z góry na plan przezemnie nakreślony, a to dla téj prostej przyczyny, że, jak powiadał, „Polacy lepiej, aniżeli Włosi, wiedzieć i sądzić mogą tak o potrzebach chwili, jakotóż o wymagalnościach wojny, którą sami toczą.“ We względzie przeto zasadniczym, rzecz rozstrzygnęła się sama przez się i trudność nasuwała się dopiero na drodze praktycznej. Polegała ona na kwestyi przetransportowania ludzi kilkuset z Włoch przez morze Śródziemne, przez Dardanele, przez Bosfor, przez morze Czarne i przez ujście Dunaju — trudność ogromna, do przełamania której trzech potrzeba było warunków: funduszu donośnego, zręczności nadzwyczajnej i szczęścia wielkiego. Sprowadzanie zaś ludzi częściami zabrałoby czasu dużo i naraziło na koszta podwójne.

Przyznam się, że bardzo pragnął tego, ażeby towarzyszył nam oddział włoski, nie tyle dla oddziału samego, ile dla téj przyczyny, że przewodniczyć mu miał Menothi, syn generała. Chodziło mi o to ze względów bardziej politycznych, aniżeli militarych. Fakt ten, sprzymierzając sprawę naszą ze sprawą włoską na drodze rewolucyjnej, która ufność moją w wyższym posiadała stopniu, aniżeli dyplomatyczna, przymierze to, że tak powiem, dotykalmém czynił i przez to powstaniu naszemu akcent wyraźny nadawał. Wszakże, pozbawionym on nie był doniosłości military, podnosząc powagę moralną oddziału naszego sprzymierzonego w Rumunii, gdzie Garibaldi czczonym jest, jak święty. Rumuni nie odważyliby się strzelać do nas, z obawy postrzelenia syna bohatera XIX. wieku. Sama przeto obecność Garibaldeggo młodego, chociażby i bez oddziału, była dla mnie pożądaną wielce, zwłaszcza w obec przewidywanéj, dzięki szczupłości funduszków, słabości liczebnej hufca polskiego. Nie przyszło to do skutku, niestety! Racja, która temu na przeszkodzie stanęła, była natury czysto konwenansowej. Rząd Narodowy dopuścił się, w mniemaniu mojem, wielkiego błędu politycznego, nadając powstaniu polskiemu na zewnątrz znaną firmę „Czartoryski i Sp.“ Nie wypadało

Garibaldiemu kompromitować się przystępowaniem do spółki, wielbiącej głośno Austrią i zabawiającej się na polu polityczném poszukiwaniem dla onój wynagrodzeń to nad Dunajem, to nad Adrjatykiem.

Układy z pełnomocnikiem Garibaldegó toczyły się w obecności Sokulskiego, Walerego Przewłockiego i Zareby.

Zareba, przysłany, jak wspomniałem powyżej, z Odessy, przez Wydział Zarządu Rusi, w charakterze organizatora, posiadał oraz charakter komissarza pełnomocnego. Jako organizator nie miał on do czynienia nic zgoła; jako komisarz pełnomocny, był mi pomocnym wielce, pojął bowiem sytuację i urzędową powagę swoją wspierał czynności moje. Pomoc jego przydatną bywała zwłaszcza w obec planów, projektów i rad, napływających w ilości znacznej. Nie długo atoli zabawił. Po wyjeździe moim w dni kilka opuścił Konstantynopol i nie powrócił więcej.

Przewłocki pełnił funkcje komissarza wojennego, naznaczonego przez sztab główny. Wielką to mi przynosiło ulgę, dostawałem bowiem kontrolera urzędowego, który zarazem z bark moich zdejmował ciężar zaopatrywania wojska w żywność i w rekwizyta i dozorowania kassy. Przybycie przytém jego czyniło pobyt mój w Konstantynopolu niepotrzebnym.

Z epoki pobytu tego zdać jeszcze sprawę należy ze wspomnianej powyżej nawiasowo konferencji z Łaskim, odnoszącej się do kierunku wyprawy. W konferencji téj udział wzięli, oprócz Łaskiego i mnie, Sokulski, Karol Brzozowski, Walery Przewłocki i Zareba. Wyłożyłem przed nimi, w obszerności całej, zamiary moje, domagając się objekcyj, w celu uzupełnienia braków i niedokładności. Objekcyj znalazło się dwie główne. Jedną postawił nie pomnę kto, drugą Łaski. Pierwsza tyczyła się sposobu samego przemarszu przez Mołdawię i polegała na tém, ażeby przeprowadzić ludzi po kilku, po kilkunastu, przewieść osobno broń i zorganizować się w Mołdawii północnej. Nie trudno mi było obalić ją, gdym wykazał niepodobieństwo wyprawy podobnej,

w bardzo nawet wątpliwym razie uzyskania na takową od rządu rumuńskiego pozwolenia, które, gdyby się i uzyskać dało, nie dawało pewności najmniejszej, że w chwili najważniejszej cofniętém nie zostanie; było to oddawać się na łaskę i niełaskę widoków nieczystych i niedyskrecyj wszelakiego rodzaju. — Obiekcja druga odnosiła się do drogi pochodu. Zamierzyłem przeprowić się przez Dunaj z brzegu prawego na lewy w miejscu tém samym, w którém się Moskale zazwyczaj przeprowiają z brzegu lewego na prawy, z Isakczy do Kartalu, maszerować następnie w górę Prutu, przeprowić się przez Prut w Falczi lub w Leowie, ciągnąć dalej na Wasluję, Negreszti, Tyrgu-Formoz, Herleu, w okolice Doroban i ztamtąd wykonać wkroczenie do Bessarabii rossyjskiej, gdzie otwierał się do działania teatr górzysty i lesisty, pełen przypadkowości gruntu i załomów granic potrójnych, z których i zwycięstwo niejedno wykombinowaćby się dało, i nieprzyjacielowi nie mały sprawiłby się kłopot. Plan mój sięgał dalej i szerzej, to atoli nie należało do techniki pochodnej, nie rozwijałem go przeto więcej. Łaski krytykował go ze względu na trudność przeprowy przez Prut w Falczi lub w Leowie. Nie przypuszczał, ażeby Rumuni przeprowy dopuścili. Dla tego był za tém, ażeby Dunaj przekroczyć pomiędzy ujściem Seretu a Braiłą, maszerować po nad Seretem w górę rzeki, ciągnąć podgórzem na Fokszany, Bakeo, Romań ku Radaucowi i ztamtąd wkroczyć na Bessarabję rossyjską. Projekt ten opierał się na racjach następujących: 1) że oddziałowi na drodze téj łatwiej będzie wyścignąć pogonie mołdawskie; 2) że, dopadłszy pozycji górzystych, jakie się od Fokszan rozpoczynają, bezpieczniejszym będzie pochod jego i łatwiejszą przeciwko przeważającym siłom obrona; 3) że nakoniec, rzeki będzie miał do przebywania nie u ujść takowych, ale u źródeł. Co do pierwszego w rzeczy saméj, łatwiejszémby było wyścignięcie Rumunów, gdyby wojska ich nie zajmowały garnizonów w Braile, w Fokszanach, w Tekuczu i w Gałaczu, i to w sposób taki, że załogi fokszańska i tekucka mogły oddziałowi

polskiemu drogę zastąpić, brailska zaś i gałacka zaatakować go z boków i z tyłu. Co do drugiego, pozycje górzyste służyłyby bardziej przeciwko nam, aniżeliby korzystnymi nam być mogły, a to z téj racji, że w tych właśnie okolicach, w głąb za Odobesztami, zamieszkują tak zwani „Plojeszi,“ strzelce celni z dziada pradziada, którzy w wiekach dawniejszych stanowili państwo w państwie i rzadzili się po republikańsku, obecnie zaś używani są przez rząd w wypadkach szczególnych, jako milicja; ci, znając miejscowość doskonale, mogliby nam ludzi połowę wystrzelać w górach bezkarnie. Co do trzeciego, liczyłem na niską w Prucie wodę i na liczne na rzece téj brody. Nadto droga przez Łaskiego wskazywana nastęrczała pytanie, co do sposobu doprowadzenia oddziału z Tulczy pod Braiłę. Na przemarsz lądem po terytorium tureckiem, Turcy, przy najprzyjaźniejszym dla nas usposobieniu, zezwolićby nie mogli; gdyby zaś zezwolili, wprowadziliby nas w kłopot nie mały we względzie przeprawy przez Dunaj w punkcie, w którym, z wyjątkiem bud rybackich, nie masz osady znaczniejszej, w którejby znaleźć można ilość dostateczną statków przewozowych. Prowadzenie oddziału wodą przedstawiało się, jako rzecz więcej aniżeli hazardowna, wzięwszy to na uwagę, iżby przepływać należało mimo Reni, mimo Gałaczu i pośród flotyll, jakie na Dunaju utrzymują mocarstwa na paryskim podpisane traktacie, a mianowicie: Turcja, Francja, Anglia, Włochy, Austria, Prussy i Rossja. Przeprawa przez Dunaj przedstawiała się jako zadanie najtrudniejsze: skutecznić ją należało z precyzją wielką i bardzo szybko — rzutem jednym. Łaskiemu wydawała się ona nie tak trudną, jak przez Prut. W punkcie tym różniły się zdania nasze. Argumenta Łaskiego, opierające się na przepowiedni, iż u przeprawy przez Prut zastaniemy wojska rumuńskie, broniące takowój, nie trafiały do przekonania mego, obliczonego wedle kroków żołnierskich i odległości, jakie od upatrzonych punktów przeprawy dzieliły garnizony rumuńskie, zajmujące Izmailów, Gałac, Tekucz i Jassy. To było powodem, może pre-

tekstem tylko, dla którego Łaski nie pierwój chciał wziąć w wyprawie udział osobisty, aż oddział, po przebyciu Dunaju i Prutu, dójdzie na wysokość Jass, to jest, gdy z Negreszt będzie maszerował do Tyrgu-Formoz. Roilo się mi, że mu siurpryzę sprawię i oddział do Jass wprowadzę; rojenie to wszelako zachowałem we wiadomości własnej, czyniąc urzeczywistnienie onego zależnym od okoliczności późniejszych.

Załatwiwszy się w ten sposób we względzie planu kampanii mołdawskiej, pozostawiłem Przewłockiemu staranie o wydobywanie broni z niewoli tureckiej, jakoteż o odzianie, ozucie, uekwipowanie oddziału i o wyprawianie ludzi, sam zaś, dnia pomiędzy 20 a 25 maja 1863 r., udałem się do Tulczy.

Organizacja przeto, z konieczności rzeczy rozdwoiła się. Przewłocki pozostał przy broni i rekwizytach, nabywanie których i wyrób, tak z powodu taniości, jakoteż dla tego, że w Tulczy brakowało na rzemieślnikach uzdolnionych i materiałach potrzebnych, odbywać się musiał w Konstantynopolu; ja przeniosłem się na grunt, który był wyprawy punktem wychodnim — na którym gromadzili się wojownicy i z którego wyprowadzić ich należało na dwa kolejno teatry działania, w Mołdawii i w Polsce.

Równocześnie z przybyciem mojem na punkt ów, przyjechał do Tulczy major Franciszek Zima, w charakterze szefa sztabu. Przysłanie człowieka tego, było ze strony sztabu głównego wyświadczeniem mi dobrodziejstwa prawdziwego. W osobie Zimy dostawałem pomocnika, na którego we wszystkim z nieograniczoną spuścić się mogłem ufnością, człowieka uczciwości gruntownej, charakteru nieskazitelnego, w postępowaniu z ludźmi pełnego taktu najprzyzwoitszego, przytém odważnego i takiego, co pracą własną zdobył rzeczy wojskowej znajomość, wolną od pedanterji rzemieślników z nałogu, bo wspartej wiadomościami pobocznymi, któremi rzemiosłowce zazwyczaj gardzą. Przybywał z Anglii; opuścił żonę i dzieci; rzucił stanowisko, zapewniające mu świetną karierę majątkową. Powitałem przeto majora z unie-

sieniem radości, przybycie jego biorąc za wróżbę jak najlepszą. Odtąd wszystko, co się robiło, dobrego zwłaszcza, w połowie przynajmniej spada na Zimę, którego pomoc i rady wspierały mnie na kroku każdym z tą bezinteresownością, jaka cechować powinna patriotyzm prawdziwy a czysty.

Czynności nasze w Tulczy na ośm rozpadały się działów:

- 1) formacja oddziału;
- 2) uzupełnienie zaopatrywania żołnierzy w przedmioty, które fabrykowanymi być mogły na miejscu;
- 3) stosunki z Konstantynopolem;
- 4) stosunki z Mołdawią;
- 5) stosunki ze sztabem głównym;
- 6) stosunki z władzami tureckimi;
- 7) urządzenie drogi dla wprowadzenia broni do Tulczy;
- 8) obmyślenie i przygotowanie przeprawy przez Dunaj.

O każdym z działów tych zdam sprawę z osobna.

We względzie formacji oddziału mieć musieliśmy wzgląd na cztery rzeczy: na szczupłość funduszków, na wypływającą z niej ograniczoną ilość zaciężnych, na zbytek stósunkowy officerów i to nakoniec, że nad piechotę objąć ma dowództwo Łaski. Z uwagi na pierwsze zniewoleniśmy się widzieli, wyrzec się z góry formowania jazdy w najszczuplejszych nawet rozmiarach, pozwalając stawać konno tym jeno, którym na kupno koni własne pozwalają fundusze. Ze względu na drugie oddziałowi nadać musieliśmy charakter kadrów, stawiając z góry jedną jednostkę bojową, batalion, i wypełniając części onego w miarę przybywania ochotników, z baczeniem na to, ażeby w następstwie bataljon pierwotny przeistoczyć się dał na pułk za pomocą zmiany kompanii w bataljony. Trzeci wzgląd nakazał nam sformowanie oddziału osobnego, złożonego z officerów nadkompletnych, którzy stanowili fundament kadrów na batation drugi, mający być wysztyftowanym na Mołdawii ze ściąganych przez komissarzy ochotników. Co do punktu czwartego, bardziej dla dogodzenia Ła-

skiemu, aniżeli przekonaniu własnemu, przyjęliśmy podział batalionu na trzy kompanje. W obsadzaniu miejsc officerskich przyjęliśmy za zasadę starszeństwo stopnia i służby bez względu na to, kto w jakim służył wojsku, byleby dowody dostateczne złożył.

Porozumiawszy się z Zimą, co do szczegółów powyższych, zawezwałem obecnych w Tulczy officerów, których się już znajdowało kilkunastu, i przedstawiłem im zasady, jakich się przy formacji trzymać będziemy; następnie rozkazem dziennym ustanowiłem:

Pierwszy bataljon oddziału wschodniego Wojska Narodowego Polskiego.

Dowódzca bataljonu	Jagmin Józef, major.
Sztab bataljonowy:	
Adjutant	Kozieradzki Feliks, podporucznik.
Chorąży	Koszanowski Wojciech, porucznik.
Furjer	Jastrzembski Konstanty, podporuczn.
Kompanja pierwsza:	
Dowódzca	Cieszkowski August, kapitan.
Porucznik	Sikorski Antoni, porucznik.
Podporucznik	Stankiewicz Piotr, podporucznik.
Kompanja druga:	
Dowódzca	Towarnicki Władysław, kapitan.
Porucznik	Jurkowski Jan, porucznik.
Podporucznik	Bednawski Konstanty, podporucznik.
Kompanja trzecia:	
Dowódzca	Brzozowski Karol, porucznik.
Porucznik	Golczewski Ignacy, porucznik.
Podporucznik	Gąsowski Piotr, podporucznik.

Przepisałem, oddzielnym do dowódcy bataljonu rozkazem, sposób organizowania kadrów officerskich.

Przepisy te, w miarę jak wychodziły, wchodziły w życie natychmiast, tak, że nie później jak w tydzień po moim do Tulczy przyjeździe, wiaźanie bataljonu stało już w całości zupełnej, podzielone na kompanje i sekcje, dopełniające się za każdym z Konstantynopola przybyciem statku pocztowego. Ludzie rozkwaterowani, pobierali żołd po trzy piastry dziennie, bez

różnicy stopnia, tak szeregowi jak officerowie. Codziennie odbywały się apele i, o ile możności, musztry, ograniczające się z konieczności rzeczy, nie pozwalającej występować jawnie, na obrotach elementarnych. Odbywał się też, także codziennie, wykład teorii piechoty przez Jagmina i, w czasie chwilowej tego ostatniego nieobecności, przez Zimę.

We względzie formacji szło wszystko bardzo porządnie i pospiesznie. Subordynacja, dzięki przykładom, jakie dawali z siebie Jagmin, Cieszkowski, Towarnicki, Brzozowski i w ogóle officerowie wszyscy, była wzorową. Wypadek niesubordynacji, o ile zapamiętam, nie zdarzył się żaden. We względzie tym wszakże istniały zaczyny, które mogłyby do smutnych doprowadzić następstw. Do wiadomości mojej doszło szemranie, powstałe ztąd, że nie zaprowadził wyboru officerów. Wybryk ten powściągnąłem rozkazem dziennym, a w tym, zakazując surowo ekscesów karczemnych, jakich się dopuściło ludzi paru, upomniałem żołnierzy, aby nie plamili honoru polskiego, jako też, przez dawanie posłuchu złym radom, nie narażali na szwank dzieła, podjętego wielkim trudem, mozołem i kosztem ojczyzny ubogiej. Wspomnieć musiałem o „złych radach,” pomijając bowiem skłonność do sejmi-kowania, właściwą naturze polskiej, istniało jeszcze źródło partykularne, z którego takowe płynęły. W skład korpusiku weszły osobistości z niechęcią, z zawiścią nawet patrzące na osobistość moją, postawioną na czele; weszły też i takie, które zachowały czucie do agencji hotelu Lambert w Konstantynopolu, dokąd w czasie owym zjechał książę Witold Czartoryski. Te ostatnie, obok podszeptów, mających na celu stawianie przeszkód robotom przezemnie prowadzonym, założyły fabrykę korespondencyj z Tulczy do Konstantynopola i, jak się dowiedziałem później, do Lwowa i Krakowa, w których przedstawiały stan rzeczy w świetle takim, w jakimby go widzieć chciały. Korespondencje te, w postaci listów bezimiennych, dostawały się redakcjom dzienników krajowych (Gazeta Narodowa i Czas) i zawierały ogólne na całe

przedsięwzięcie poglądy i szczególne na osobę moją skargi, z powodu atoli bezimienności zostawały w redakcjach wskazywane na całopalenie. Z tegoż samego źródła pochodzące korespondencje przybierały postać raportów poufnych, dostawianych sztabowi głównemu, który tą drogą dowiadywał się o nieporządkach niesłychanych w czynnościach moich w Tulczy i w czynnościach Przewłockiego w Konstantynopolu. Ze swojej strony agencja hotelu Lambert, biorąc korespondencje owe w sensie materiału surowego, na podstawie onych układała raporta dla zwierzchnictwa swego i wysyłała takowe do hotelu Lambert, do Paryża, gdzie pozostają one jako materiał historyczny, ciekawy, niekoniecznie jednak wiarogodny. Te przeto nurtowania tajemne neutralizować należało, czuwając nad tém, ażeby nie dopuścić powodu najmniejszego, mogącego się przydać na usprawiedliwienie niechęci, płynącej ze źródeł powyżej wymienionych, a czekających jeno na okazję do wyjścia na jaw. Neutralizowanie wiodło się nam pomyślnie za pomocą ścisłego przestrzegania karności i gorliwego na gruncie tulczańskim prowadzenia organizacji ku końcowi. Do środków, ani sposobów innych nie uciekałem się we względzie tym i nie miałem potrzeby występować powtórnie z rozkazem dziennym, zawierającym w sobie „upomnienie.“

Co do uzupełnienia zaopatrzenia żołnierzy w przedmioty, mogące być fabrykowane na miejscu, odnosiło się to szczególnie do ładunków, jakoteż do artykułów niektórych ceny pomniejszej, jak kociołki, manierki, tornistry i torby na żywność. Ładunków wszakże fabrykować nie było można, nie znając kalibru broni. Te przeto odłożyć należało na ostatek, do przysłania jednego bodaj karabina, o który za każdą pocztą nie przestawałem upominać się u Przewłockiego. Kociołki i manierki zamówiłem u blacharza miejscowego. Zamiast tornistrów zaś, celem zmniejszenia kosztów, szyć kazałem z grubego płótna torby podłużne na białiznę i na żywność zarazem. Z Galaczu sprowadziłem topory, piły, świdry, młotki, rydle i, celem

chronienia w torbach od wilgoci amunicji zapasnej, cyraty ilość stósowną. Nabyłem wóz i konie z uprzężą; kupiłem pod aptekę konia jucznego. Zamówione dawniej lance, w połowie, która jeszcze na drzewcach osadzoną nie była, na Mołdawią przodem wyprawilem, *) w drugiej zaś połowie zachowałem do przewiezienia wraz z oddziałem.

Stosunki z Konstantynopolem tyczyły się najprzód, tego czego w Tulczy ani zrobić, ani kupić nie było można, powtóre i głównie, broni, bez której do miejsca przykuty byłem. Tam więc szyły się kitle, spodnie, trzewiki, czapki i ładownice, tam kupowały się koszule i, zamiast płaszczów, deki wełniane, tam nabywały się proch, ołów i pałasze officerskie i czyniły się starania o broń.

Z wyjątkiem broni wszystko zresztą szło raźnie. Każdy niemal statek przywoził do Tulczy wraz z ochotnikami część efektów wojskowych, które za spólném pp. Cholewińskiego i Żukowskiego staraniem, niepostrzeżenie przez turecką przemykały się komorę. W wyprawianiu ich zachodził nieład, nieodłączny od czynności, prowadzonych ukradkiem i pospiesznie; nie mało też do zarzucenia było gatunkowi artykułów przesyłanych; lecz mogłoby być inaczej, gdy chodziło o nabywanie nie tego co najlepsze, ale tego co najtańsze! Odzież żołnierza składała się z kitla i ze spodni z płutna szarego, z trzewików i granatowej, czworograniastój, z czerwonymi wypustkami i z daszką czapki; po kitlu na czarnym pasku przesuwała się ładownica; torba na plecach i biała deka przez ramię dopełniały ekwipunku, w którym żołnierz nasz, jakkolwiek wszystko na nim było tanie i skromne, wyglądał całę po żołniersku.

Sprawa o broń szła oporem; o tém jednak poniżej na swoim napiszę miejscu.

*) Posyłka ta uległa konfiskacie w Gałacu.

Stosunki z Mołdawią miały na widoku przygotowania na przyjęcie oddziału tulczańskiego, urządzenie których powierzyłem trzem przezemnie naznaczonym komissarzom. Dwaj z nich, mianowicie J. T. i S. S., przyjechali około połowy Czerwca do Tulczy ze sprawozdaniem o postępie zabiegów ich i z żądaniem rozkazów dalszych. Sprawozdanie brzmiało całę pomyślnie. Ochotników, zgromadzonych w punktach różnych, bądź na drodze, bądź w pobliżu drogi przemarszu mego, liczyło się stu dwudziestu kilku; koni z osiodłaniem i rynsztunkiem całym dwadzieścia ośm — z tych 18 czekało w północnej, 10 w środkowej Mołdawii; co do broni, takowa przedstawiała się pod postacią 56 karabinów i 39 strzelb myśliwskich; żywność i amunicja znajdowały się w pogotowiu wszędzie w punktach oznaczonych. Przygotowania te zaczynały się od Wasłui i ciągnęły w górę; do Wasłui przeto oddział własnym domaszerować musiał sumptem.

Sprawozdanie to uważałem za pomyślne z tego powodu, że po za 120 ochotnikami ukrywała się takowych liczba potrójna, nie spisanych; sama oddziału polskiego obecność zwabiłaby ich do szeregów, odrywając od warsztatów, służby i zajęć innych; po za 95 zaś sztukami broni, znajdowała się broń upatrzona i zamówiona w arsenale jasskim, sztuków strzeleckich tysięcy parę, które trzeba było pójść i zabrać. Była nadzieja, że i bez „pójścia,” część onęj będzie mogła być przez nas „zabraną” — chodziło jeno o ułożenie się z dozorcą; na ten cel wypłacić kazałem z kassy Janowi T., komissarzowi, w rewirze którego znajdowały się Jassy, kwotę znaczną (wykazaną będzie w rachunku). Nadto z komissarzy jeden, S. S., wskazał mi przeprawę przez Prut, w Gotesztach, przy której zobowiązał się przygotować w ilości potrzebnej podwoły, dla powiezienia na takowych oddziału dalej, bylebym dał mu znać naprzód o chwili wymarszu z Tulczy i o ilości ludzi. Warunek ten do spełnienia najłatwiejszym był, a to za pomocą klucza telegraficznego, o który się umówiłem. Na dni trzy albo cztery przed wymarszem, pchnąć miałem telegram

umówiony, a ten, sprowadzić miał wozy do przeprawy i, rozesłany natychmiast gdzie należy, powołać do baczności przygotowania wszystkie.

Telegram ów ważną bardzo odgrywał rolę — stanowił on oś, na której się obracało przedsięwzięcie całe. Wysłałem go na dni cztery przed wymarszem — dowód wysłania dotychczas mam w ręku. Co się z nim stało w biurze, do którego zaadresowanym został? dla czego rozesłanym nie był? — jest to zagadką dla mnie. Komissarza, którego on się tyczył, władze mołdawskie przyaresztowały podobno, równocześnie z wkroczeniem naszym. Nie przeszkadzałoby mu to jednakże rozesłać telegram, gdyby takowy ręk jego był doszedł. Tego, co się stało z depeszą tą telegraficzną, wytłumaczyć sobie nie umiem: dojścia oniej na miejsce przeznaczenia pewny byłem, aż do chwili, w której znalazłem się u przeprawy przez Prut.

W czasie owym zjechał na Mołdawię komissarz pełnomocny Rządu Narodowego, w osobie Michała Mrozowickiego. Komissarzom, zajmującym się przygotowaniami, poleciłem znosić się z nim i zamianowałem dwóch officerów jazdy — jednego dla Mołdawii północnej, kapitana Stępkowskiego Józefa, którego niezwłocznie wyprawiłem, drugiego dla środkowej, porucznika Drzewieckiego Jana, który pojechał był poprzednio.

M. Mrozowicki przebywał na Mołdawii, gdzie reprezentował Rząd Narodowy w znaczeniu politycznym; zajrzał do Tulczy; zapowiedział nam 10,000 rubli, które do Konstantynopola przeznaczyłem; do robót naszych się nie wtrącał i odjechał, ostrzegłszy mnie na odjeźdnym, ażebym się miał na baczności, albowiem w sztabie głównym szyją mi buty. Nie wziąłem tego do serca, nie poczuwając się do win żadnych. W ślad za J. T. i S. S. posłałem na Mołdawię, do Jass, majora Grotowskiego, świeżo z Konstantynopola przybyłego, officera doświadczonego i zdolnego, dla którego w Tulczy miejsca nie miał i którego przeznaczałem na dowódcę mającego się na Mołdawii formować bataljonu drugiego.

Jedno jeszcze, co mnie zajmowało w stosunkach z Mołdawią, byli to Węgrzy. Raz po raz dochodziły mnie wieści o Węgrach, w ilości to 600, to 300, to 200 na Mołdawii przebywających, gotowych pod polskim stanąć sztandarem. Liczbom widocznie przesadzonym wiary nie dawałem; znana mi atoli waleczność żołnierza węgierskiego wielką mi sprawiała ochotę dostania go do szeregów w skromnej bodaj liczbie 20 do 30 ludzi. Z powodu tego posyłałem do Gałacu raz Józefa Czajkowskiego, znów Zimę; jeździł tam także pułkownik Woronicz z poleceniem wywiadzenia się o istocie rzeczy i z upoważnieniem wejścia w układy. Wracali z niczem. Zawitał nakoniec do Tulczy p. Frigyesy; ten, nie zobowiązując się co do liczby, zobowiązał się wszakże zgromadzić pod sztandarem naszym spółrodaków swoich. Krótkość zapewne czasu przeszkodziła panu F. zobowiązania dotrzymać. Węgrów nie doczekałem się. Doczekałem się za to Włochów, w liczbie głów 12, przybywających z Włoch na Konstantynopol, gdzie breweryj trochę narobili. Wyprawiłem ich wprost do Jass bez zatrzymywania w Tulczy. Skłoniło mnie do tego o tyle zachowywanie się ich hałaśliwe, o ile ta okoliczność, że policja tulańska dopuszczała się szykanowania cudzoziemców, nie-Polaków zwłaszcza, do wstawiania się za którymi nie posiadaliśmy w oczach tureckich żadnego tytułu legalnego.

Stosunki ze sztabem głównym były i nieregularne i rzadkie bardzo. Co się rozkazów tyczy, takowych od Wysockiego otrzymałem dwa tylko. Pierwszy, który mnie przy końcu Maja doszedł, nakazywał mi wymarsz natychmiastowy. Drugi zawierał wymówkę za nieregularne raportów składanie, oraz rozporządzenie lania kul według przysłanego na model kulecznika. Odpowiedziałem na jeden i drugi. Pierwszego nie mogłem wykonać z powodu braku broni. Drugi także wykonalnym nie był, z powodu nieznajomości ani kalibru, ani rodzaju karabinów, jakie mi się dostaną. Co się wymówki tyczy, to ta była słuszną i niesłuszną: słuszną, w rzeczy samej bowiem raportów wysłałem nie

więcej jak cztery, i to w nieregularnych czasu odstępach; nie-słuszną, albowiem na wyprawianie raportów, nie mówiących nowego, nżywaćbym musiał kurjerów umyślnych, którzyby przynosili więcej kosztów, aniżeli korzyści. Położenie moje dokładnie Wysockiemu znaném było; określiłem je w raporcie najpierwszym — mnożenie przeto takowych czyniłoby zadość formalności, ale nie potrzebie istotnej. Bez broni absolutną dla mnie niemożliwością było, maszerować i kule łać wedle formy przepisanej. Co do téj ostatniej, powiedzieć należy w sposób nawiasowy, iż nie odpowiadała ona zgoła racjonalnie pojętym warunkom kuli: za zbyt była wydrażoną i posiadała ścianki tak cienkie, iż te przy wystrzale rozdzierały się musiały, nadając pociskowi zamiast wirowego pęd w koziółki, sprawiający świstu wiele, lecz umniejszający dosięgłość i celność strzałów. Okoliczność ta poznać mi dała, że rozkazy i wymówki nie płynęły z natchnienia Wysockiego samego, na teorji strzałów znającego się dobrze, ale oskrzydłonego przez wpływy i naciski różne, działające pod nadzorem cesarsko-królewskiej policji. Dla takiego jak Wysocki potrzeba w działaniu swobody, inaczej, traci własnowolność tak w czynach, jak w sądach. W przypuszczeniu tém utwierdzało mnie jeszcze zdarzenie następujące.

Potrzebowałem lekarzy i upominałem się o takowych. Przewłocki w jednym z listów swoich, zawiadomił mnie, że lekarze przybyli.... do Konstantynopola. Czemu nie do Tulczy wprost? Zdziwiło mnie to i dziwiło tak długo, póki nie przyszły dla nich ze sztabu głównego nominacje, przeznaczające ich na lekarzy do.... „korpusu generała Menottiego Garibaldiego.“ Przestałem się wprawdzie dziwić, ale nie wiedziałem, co myśleć o tém. Umysłowi memu przedstawiła się zagadka. O korpusie podobnym wiadomości nie miałem najmniejszej, pomimo żem pozostawał w ciągłych z Garibaldim stosunkach, układając się o oddział włoski, obok polskiego walczyć mający w charakterze pomocniczym. Pułkownik B. w celu tym na Dobruczę przyjeżdżał i do

Bukaresztu jeździł; widziałem się z nim i konferowałem w Kiu-stendzi: słówka nie wspominał ani o korpusie, ani o generalstwie Menottiego. Dużo później wyjaśniła mi się zagadka ta, gdy się dowiedział, że sztab, z natchnienia własnego, udzielił Menottiemu nominacji na generała i naczelnika oddziałów wschodnich, robiąc z tego przedemną, tychże oddziałów naczelnikiem, tajemnicę, dla przyczyn, które dotychczas są tajemnicą dla mnie, a które w czasie swoim stworzyły — co najmniej — niewłaściwość. Kiedy bowiem sztabowi podobało się Menottiego na moje naznaczyć miejsce: dla czegoż było mistyfikować mnie? Czy lękał się niesubordynacji ze strony mojej?... Ta wszakże straszniejsząby była, gdyby wybuchła w chwili połączenia oddziałów. W razie każdym, należało mnie uprzedzić otwarcie, tém bardziej, że złożyłem dowody posłuszeństwa ślepego, przeciwko któremu świadczyć bynajmniej nie mogły listy ostre, jakie pisywałem do Wysockiego, tak z powodu Bednarczyka, jak z racji rozkazów. Pisałem, wyrazów nie dobierając; robiłem jednak, co do mnie należało.

Te to snadź listy stały się powodem, że Wysocki uwierzył w końcu skargom i raportom przeciwko mnie wnoszonym, osądził mnie zaocznie i wyrok wydał na mnie — wyrok destytucji.

Ostrzeżenie Mrozowickiego, zapowiadające, jako mi „szyją buty“ w sztabie, nie było słowem na wiatr rzuconém. Przy końcu Czerwca „buty“ owe zjechały do Tulczy pod postacią młodziutkiego człowieka, który, przedstawivszy się mi pod nazwiskiem Lewakowskiego z rozkazem o kuleczniku, tak względem mnie postawił się zagadkowo, iż zacząłem był już podejrzynwać go o nieczyste jakieś zamiary. Pozór miał paniczynkowaty, kręcił się pomiędzy officerami, bardziej atoli pomiędzy żołnierzami, w czynności ich wglądał, rozpytywał, badał, śledził, dowiadywać się od nich starał o czynnościach i zamiarach moich. Ponieważ mieliśmy się na ostrożności z powodu szpiegów, przez Moskali nasyłanych, kazałem więc mieć go na oku, z daleka jednak, a to

dla tego, że zarekomendował się mi, jako pomocnik Mrozowickiego, którego przybycia wyglądałem lada moment. Mrozowicki przybył i uspokoił mnie co do Lewakowskiego. Zachowywanie się tego ostatniego od chwili téj zagadkowém być przestało. Nie zwracałem nań uwagi więcéj.

Sam on atoli zwrócił na siebie uwagę moją, na dni trzy przed wymarszem. Wchodzi do mnie, gdy na kwaterze mojej nikogo przy mnie nie było, i wręcza mi dwa skrypty: jeden — nominacja dla Łaskiego na naczelnika oddziałów wschodnich; drugi — destytucja dla mnie. Gdym skrypty te w rękę jeszcze trzymał, zdumiony i trochę zmieszany, on mi je z rąk wyjął i w ogień cisnął. Obejście się takie z dokumentami tego rodzaju zdumiło mnie bardziej jeszcze. Wówczas młody człowiek następującą opowiedział mi historję.

Wysocki, zarzucony skargami i doniesieniami, obwiniającemi mnie o nieład w organizacji, o wszczepianie niesubordynacji w oddziale, o morzenie ludzi głodem, o powszechne z naczelnictwa mego niezadowolenie, o niedbalstwo, niedołęztwo i o inne w tym rodzaju winy, postanowił naczelnictwa mnie pozbawić. W celu tym, wezwawszy Lewakowskiego do siebie, wręczył mu nominację dla Łaskiego i destytucję dla mnie i kazał niezwłocznie do Tulczy ść z tém jechać. Działo się to w obecności księcia A. Sapiehy. Ten, dowiedziawszy się o co chodzi, uczynił uwagę, że Wysocki wysłuchał jedną tylko, oskarżającą, stronę: przed wydaniem wyroku wypadałoby przekonać się, czy i o ile skargi i doniesienia zgadzają się z istotą rzeczy. Naturalna ta a prosta uwaga ten odniosła skutek, że Wysocki napisał rozkaz o kulach, służyć mający do zamaskowania missji Lewakowskiego, któremu polecił na miejscu przekonać się o prawdziwości zarzutów i w razie, gdyby takowe słusznemi się okazały, destytucję mi wręczyć. W razie przeciwnym Lewakowski mi jój pokazywać nie miał. Oto powód, dla którego zachowanie się jego tak tajemniczém było. Rozpytywał, badał, śledził i — przekonał się.... Szczęście dla

mnie, że tak się stało! Traf osobliwy do Wysockiego Sapięgę sprowadził i pod rękę mu podsunął człowieka, który godziwy z pełnomocnictwa téj natury zrobić umiał użytek, który, pomimo wiek młody, zważyć potrafił i ocenić zarzuty i wglądnać w istotę rzeczy. Czyż godziło się jednak, na wiarę skarg i doniesień, pochodzących ze źródeł, które Wysockiemu, z Galicji wyjeżdżając, z góry wskazałem, wydawać na mnie wyrok zaoczny? Czyż godziło się cześć moją oddawać w ręce jednego, młodziutkiego człowieka, na sąd którego lada co wpłynąć mogło? Zaprawdę, szczęście moje w razie tym było wielkie! Gdyby się był Sapięha nie zdarzył z uwagą słuszną i gdyby się był kto inny na miejscu Lewakowskiego trafił, kto wie, ażalibym nie stał dziś w obec opinii publicznej Polski z piętném sromoty na czole, wyciśniętém ręką intrygantów pokątnych, którym wódz naczelny posłuch dawał i których narzędziem się stał.

Stosunki z władzami tureckimi należały z natury swojej do rodzaju bardzo delikatnych i nader drażliwych. Rząd sprzyjał nam niby i niby nas tolerował, trzymał się jednak względem nas jak najskrupulatniej w granicach przepisów o cudzoziemcach i, jeżeli przekraczał takowe, to nigdy na korzyść naszą. Najmniejsza w paszporcie nieregularność, wyjście w godzinę po zachodzie słońca na ulicę, mało znacząca w karczmie burda prowadziły Polaka do kozy, wydobyć z której połączone było z formalnościami nużącemi i z kosztami — nie tylko karę zapłacić za przestępstwo mniemane trzeba było, ale chodzić dużo i porękę dawać. Zdarzyło się razy parę, że nie przydały się na nic, ani poręka, ani składanie kary i Polak z Tulczy wygnanym zostawał. Razy parę policja zarządziła obławę, przed którą żołnierze nasi rozbiegali się po burzanach i zaroślach. Miało to tę stronę dobrą, że groza tureckiego apsu utrzymywała w oddziale trzeźwość i karność, ale przeszkadzała rozwojowi regularnemu organizacji, krępując swobodę ruchów i powstrzymując zdala od Tulczy tych, co nie mogli w formalne zaopatrzyć się dokumenty.

Z powodu tego wielu nie przybyło; ci zaś co przybyli, musieli się ukrywać prawie. Niekiedy władzom tureckim przywidywał się niezwykle jakiś pomiędzy nami ruch, który je alarmował. Pasza wzywał w razie takim zazwyczaj, albo mnie, albo Brzozowskiego i uspakając go trzeba było. O organizacji wiedział on — trudno bowiem było nie wiedzieć o tajemnicy, nie tajnej dla głów paruset nie zawsze trzeźwych i wiszącej na paruset językach, nie koniecznie powściągliwych — i obawiał się, ażeby Turcja skompromitowaną nie została. Pozwalał więc do Tulczy Polakom przybywać, lecz wglądał ściśle w regularność paszportów; pozwalał gromadzić się, pod warunkiem atoli, ażeby to nie miało pozoru formacji wojskowej; alarmował się o lada co — na wieść np. kupna koni kilku — i surowo zabraniał wszystkiego, coby wyglądało, czy to jako uzbrojenie, czy też jako umundurowanie; słowem, zezwalał na wszystko, z wyjątkiem wszystkiego tego, na co, chcąc nam w sposób bierny i pośrednio dopomódz, należałoby przez palce patrzeć. Pomoc turecka, a pomoc austriacka, taka jaka się praktykowała przed ogłoszeniem w Galicji stanu oblężenia, wiele miały jedna do drugiej podobieństwa. Ba nawet, Raszid pasza nie zdobył się na postanowienie pierwotne Mensdorfa „patrzenia, ale nie widzenia.“

Raszid pasza, zamianowany ad hoc gubernator tulczański, postępował wedle udzielonych mu w Konstantynopolu ogólnikowych instrukcyj, streszczających się w trzech wyrazach: „nie skompromitować Turcji“ — to jest, sprzyjać nam z daleka, przyklaskiwać naszej z Rossją walce, nie zaprowadzać przeciwko nam praw wyjątkowych, lecz, w razie danym, istniejące zastosowywać do nas z bezwzględnością całą. Z powodu tego sytuacja moja była sytuacją człowieka w dybach: ruszać się mogłem, bardzo atoli sztucznie, ostrożnie i z wysiłkiem wielkim, tém bardziej, że oskrzydlały mnie zabiegi nieprzyjazne tych, co mi pomagać powinni byli. Ks. Witold Czartoryski np., udawał się do wielkiego wezyra, Fuada paszy, w celu wyjednania u niego przeba-

czenia dla nieostrożnych, kupujących w Tulczy konie publicznie. Fuad pasza ani wiedzieć o tém chciał, zwłaszcza, że nie było o czém — kupiliśmy bowiem w ciągu półtora miesiąca koni nie więcej, jak piętnaście; zawiadomiony atoli, nie mógł jak tylko wyrazić życzenie, ażebyśmy się z Tulczy wynosili jak najprędzej. Zawiadomienie ze strony ks. Witolda było dowodem troskliwości, co najmniej, zbytecznej. Szczęściem, życzenie wielkiego wezyra nastąpiło w momencie, kiedy broń sprowadzoną już była: chcenie przeto jego zeszło się z gotowością naszą do wymarszu.

Główną do wymarszu przeszkodę stanowiła broń — sprowadzenie onój do Tulczy; przed sprowadzeniem zaś, wydobycie takowej. Sprawa o broń szła oporem. Turcy nie odmawiali wprawdzie zwrócenia transportu skonfiskowanego, nie spieszyli się wszelako ani trochę ze zwracaniem onego. Znaném jest „bakałym“ (zobaczemy) tureckie, rozstrzygające się zazwyczaj przez „tak“ lub „nie“ po latach a latach czekania. Tego rodzaju „bakałym“ traktowali oni starania i zabiegi Sokulskiego i Przewłockiego, i ci w końcu zniewolonymi się widzieli zdecydować się na to, co nas zatrzymywało najmocniej, to jest, na kupno broni, którego dokonać bliżej nigdzie nie można było, tylko w Atenach. Posłali przeto agenta do Aten i nabyli tam karabinów sztuk 120. Był to półśrodek, przy zupełnym bowiem braku broni, kupić należało sztuk 300 przynajmniej. Półśrodek ten atoli — jak im się wydało — naprawionym został w sposób cudowny prawie. Konstanty Łękawski, pełnomocnik Urquardta, rozporządzał bronią, przeznaczoną dla Czerkiesów, przechowywaną w arsenale, a składającą się z 200 sztuk angielskich, z jednego działka systemu Withworta i ze sztuk kilku broni wytworniej, pójść mającej na prezenty dla książąt czerkieskich. Widząc ambaras nasz i przekonany będąc, iż nie chybi celu do broni téj przywiązanego, gdy wyda ją nie Czerkiesom, ale nam, zaofiarował takową Sokulskiemu. Nie na cud że to wyglądało? Zdawało się, że cud ten zesłała opatrność, opiekująca się losami

ojczyzny naszej. Sztućców 200 angielskich, dodanych do 120 karabinów greckich, czyniło 320 sztuk broni — liczbę, do której zaledwie się spodziewałem, ażeby oddział tulczański osiągnąć mógł, chyba dorachowując do onego Nekrasowców (starowierców) kilkudziesięciu, których zaciągnąć się podejmował mający pomiędzy nimi miru trochę niejaki Grysza Raznoćwietów, których atoli, dla wielkiej ich skłonności do pijaństwa i również wielkiej do łupiestwa, a nie wielkiej wartości bojowej, do oddziału wcielić ochoty nie miałem. Z łatwością wyobrazić sobie można, w jaką radość wprowadziła mnie o sztuccach owych wiadomość.

Chodziło jeno o sprowadzenie ich i o pospiech w sprowadzeniu, dzięki bowiem reklamacjom moskiewskim, przysługom rodzaju tego, jaką wyświadczył nam książę Witold i wieściom przesadnym, podnoszącym oddział mój do liczby 3,000 ludzi, kilkuset koni i 16 dział, zagrażało nam to, co p. Wł. Jordan, w raportach swoich do hotelu Lambert, jako nadzieję wyrażał, to jest, że nas Turcy rozpędzą. Perspektywa ta, stojąc przed oczami mojemu, straszyla mnie, niby zmora. Jedna broń ze stanu tego wyprowadzić mogła. Aż nakoniec, dnia 24 Czerwca, telegram z Konstantynopola zwiastował mi, że broń zaambarkowaną została i w drogę ruszyła.

Droga handlowa z Konstantynopola do Tulczy przechodzi, najprzód przez Bosfor morzem Czarném, następnie przez Sulinę Dunajem. Towary, w Konstantynopolu ładowane, wyładowują się w Tulczy. Jest to dla handlu dogodność wielka. My atoli z dogodności téj korzystać nie mogliśmy, a to dla tego, że Turkom przysługuje prawo rewidowania w Sulinie na Dunaj wchodzących i z Dunaju wychodzących statków. Podejrzenie najmniejsze — a podejrzenia znajdowały się wówczas na porządku dziennym — narazić nas mogło na konfiskatę powtórna. Musieliśmy przeto obrać drogę inną, trudniejszą, wymijającą jednak Sulinę i Dunaj. Upatrzyliśmy na północ od Kiustendzi punkt odludny, Kara-Orman, przedstawiający możność ładowania i w punkcie tym

naznaczyliśmy miejsce na odbiór transportu, który do Tulczy trzeba było na wozach prowadzić. Było to ryzyko nie małe, paki bowiem z bronią i amunicją przebywać musiały mil piętnaście, przesuając się po pod nos strażnikom za kontrabandą naglądającym, ocierając się o patrole krążące na intencję naszą i wchodząc w końcu do Tulczy, obstawionej do koła łańcuchem wedet. Ryzyko to atoli mniejszem było od przekradania broni przez Sulinę i wylądowywania takowej w porcie tulczańskim pod okiem szpiegów moskiewskich i statków wojennych mocarstw, z Turcją w pokoju i przyjaźni pozostających.

Jak skoro wiadomość o wypłynięciu z Konstantynopola broni otrzymałem, natychmiast wyprawilem z Tulczy wozów dziesięć, oddając je pod dozór i rozporządzenie Cholewińskiego. Cholewiński pojechał, na miejsce dotarł i tam przez jedenaście dni i nocy, na stepie otwartym, wystawiony we dnie na spiekę słońca czerwcowego, czekał na statek, który, żaglowym będąc, stosować się musiał do wiatrów, przez dni kilka w Bosforze stał, wyszedłszy zaś na morze pełne, żółwim posuwał się ruchem.

Zasługa sprowadzenia broni należy się Cholewińskiemu całkowicie. Gdyby nie gorliwość jego i nie jego z niczém nieporównana cierpliwość, bylibyśmy pozostali bez broni. Przez jedenaście dni i nocy, z wyteżoną na każdy ukazujący się na horyzoncie żagiel uwagą, na czatach stać, to rzecz nie mała. Iluż to, na miejscu jego, nie uległoby pod ciężarem, nie już znudzenia moralnego, ale znużenia, znękania fizycznego, potęgowanego upałem tropikalnym? Do końca wytrwał, statku się doczekał, z trudem ogromnym paki na ląd po nocy poprzemosił i z ostrożnością wielką a jak najszczęśliwiej do Tulczy je dostawił. Właściciele wozów i koni, zamieszkali i zagospodarowani w Tulczy Polacy, sowite dostali wynadgrodenie, pod zastrzeżeniem, że gdyby który słówko pisał, dokąd i po co jeździł, wnet na tamten wyprawionym zostanie świat. Zastrzeżenie to zbytecznem było, denuncjant bowiem dokonać mógł denuncjacji w sposób,

zapewniający mu bezpieczeństwo życia zupełne. Mimo to, na dziesięciu użytych do sprowadzenia broni gospodarzy, tajemnicy nie zdradził ani jeden, przed żoną nawet. Dla tych, co nie znali onój z góry, broń do Tulczy spadła, z nieba niby.

Spadnięcie to nastąpiło w nocy, w domu zajmowanym przez płatnika, dawnego Tulczy mieszkańca, i przez kilku innych Polaków, do oddziału wcielonych.

Spodziewałem się: 200 sztuców angielskich, 120 karabinów greckich i działka jednego.

Wyrazić trudno rozczarowanie, jakie spowodowało odbicie pak.

Karabiny greckie znalazły się; zamiast atoli dwiestu sztuców angielskich, pokazało się czterdzieści starych, ciężkich, ze skałkowych na pistonowe przerobionych, sztucerów moskiewskich.

Dotychczas pozostaje i na zawsze zapewne nierozwiązaném pozostanie pytanie: jak, gdzie i kiedy zamiana ta nastąpiła? — czy w drodze z Anglii do Konstantynopola? — czy w Anglii? — czyli téż w Konstantynopolu, w arsenale? To pewna, że wina nie spada ani na Łękawskiego, który nie mógł broni téj w Konstantynopolu oglądać, ani téż na Przewłockiego i Akorda (Józefa), którzy ją ukradkiem, bez otwierania pak, z Konstantynopola do Tulczy wyprawiali i tém jeno pobłądzili, iż nie poznali, że dwie małe paczki zawierać nie mogą sztuk dwiestu. Jeżeli przy wydawaniu z arsenału omyłka zaszła, a naprawić ją było można, w razie takim wina spada na Przewłockiego, który, jeżeli już nie naprawić, to przynajmniej skonstatować ją był powinien. Żudził siebie, żudził nas; w ostatku dopiero, gdy o naprawie jakowejś ani już myśleć było można, okazała się prawda smutna — smutna bardzo: nie tylko bowiem zamiast 320 znalazło się sztuk 160, ale, w dodatku, i z tych każda niemal reparacji rusznikarskiej wymagała. Broń grecka w jak najgorszym znajdowała się stanie. Były to stare, piechotne, gładkie, do kul krągłych karabiny, braki jakieś, z tak osłabionemi przy zamkach spręży-

nami, że kapiszonów nie rozbijały; kapiszony zaś, jakie nam z Konstantynopola przysłano, okazały się za małe do kominków. Przy sztucerach także sprężyny, sprężystości pozbawione były. Złudzenie, w jakim Przewłocki siebie, mnie i wszystkich w sprawę broni wtajemniczonych utrzymywał przez tygodni kilka, pękło. Trzeba było do czyszczenia i reparacji się zabierać: kominki piłować, ze sprężyn jedne hartować, inne przerabiać, nadto kuleczniki przysposabiać, kule lać i ładunki fabrykować, do ostatniej bowiem chwili nie posiadaliśmy kalibru na miarę. Przy sztucerach wszakże znajdowała się paczka z amunicją gotową, po 100 ładunków na sztukę, przytém doskonała do lania kul forma i narzędzia do rozbierania broni.

Rozpacz atoli, ani smutkowi oddawać się nie wolno było. Przybycie broni stało się hasłem roboty gwałtownej, gorączkowej. Ci kuli, owi piłowali, inni kule odlewali, inni ładunki nasypywali — wszyscy do wymarszu się szykowali.

W wymarszu, jako krok najpierwszy, przedstawiała się przeprawa przez Dunaj. Był to krok najpierwszy, oraz i najważniejszy — od niego zależało wszystko. Gdyby się nie powiodł, wyprawa stałaby się nie byłą, przyniosłszy jeno w zysku koszta, zmitręczenie ludzi, stratę czasu i zachodów. Umarłaby, nie żyjąc wcale. Mając przeto możliwość rezultatu podobnego przed oczami, od pierwszej przystąpienia do organizacji chwili, na przeprawę przez Dunaj szczególną zwróciłem uwagę. Robiłem brzegiem Dunaju rekonensanse i sam i przez Zimę i przez Brzozowskiego, używając do pomocy Witwickiego, który, trudniąc się furmanką i bawiąc polowaniem, znał miejscowość doskonale, do ścieżek najmniejszych. Rekonensanse te oznajomiły nas z okolicą, na przestrzeni zwłaszcza pomiędzy Tulczą a Isakczą. Na przestrzeni téj, na obydwóch Dunaju wybrzeżach, rozlegają się trzęsawiska trzciną wysoką zarosłe a od gruntu twardego odgródzone kanałami wązkiemi, które natura wyżłobiła, a które przystęp do trzęsawisk niemożliwym czynią. Tu i owdzie trafiają się je-

ziora podłużne, tę przedstawiające osobliwość, iż na brzegu lewym duże są (Jałpuch, Inguł) i długością swoją zwracają się prostopadle do dunajowego koryta, podczas gdy na prawym są małe i leżą równolegle. Na lewym brzegu trzęsawiska opierają się o stepy, na prawym o porosłe lasami wzgórza, a tak tu jak tam, podmakając na wiosnę, stają się nie do przebycia i czynią przystęp do rzeki niemożliwym absolutnie. Latem wszakże wysychają częściowo, zwłaszcza wzdłuż wybrzeża dunajskiego, na którym z racji téj tworzy się rodzaj grobli naturalnej, nadającej się do przechodu i do przejazdu. Z Tulczy przeto do Isakczy letnią porą dwie prowadzą drogi, jedna wybrzeżem przez trzęsawiska, druga okala te ostatnie, idzie nieopodal od kanału i przechodzi lasami, a wzgórzami przez wieś Somowę. Ostatnia ta droga, szeroka, twarda i ubita, bardziej jest w każdej roku porze uczęszczana; nadbrzeżna zaś zachowuje zawsze charakter tymczasowy, jest wązka, miękka i nierówna, wymaga przytém przebycia kanału, na którym most bywa nie zawsze, a którego bez mostu, z powodu głębokości i brzegów urwistych, przebyć nie sposób. Służy ona nie tyle dla komunikacji wozowej pomiędzy Tulczą a Isakczą, ile dla wygody tych, co oczerety koszą i na trzęsawiskach bydło wypasają.

Przez trzęsawiska do wybrzeży głównego koryta Dunaju jest przystęp w miejscach kilku, wszędzie trudny, wymagający bowiem wielkiej gruntu znajomości, dla topielisk, nie zagrażających jeno pod Tulczą i pod Isakczą, a także pod wsią Futeszti, położoną o milę wyżej aniżeli Isakcza, nad jednem z jeziórek brzegu prawego. Odległość z Tulczy do Isakczy wynosi mil pięć do sześciu. Dodać tu należy tę jeszcze osobliwość, że Isakczy od trzęsawisk nie oddziela kanał, który, biorąc początek swój w jeziórku futesztzkim, idzie do Dunaju równolegle, po drodze w dwa rozlewa się jeziórka i do Dunaju wpada tuż pod Tulczą. Najłatwiejszy do brzegu rzeki przez trzęsawiska przystęp znajduje się pod Isakczą.

Topograficzne te prawego wybrzeża Dunaju właściwości, służyły mi w odniesieniu do przeprawy za skazówki, połowiczne jednak. Przeprować się mieliśmy na brzeg lewy i co do onego przeto skazówki posiadać należało. Zaambarkować oddział można było na każdym punkcie wybrzeża pomiędzy Tulczą a Isakczą, byle jeno zapewnić sobie pod Tulczą przeprawę przez kanał wązki, ale głęboki. Zachodziła kwestja co do punktów debarkowania. Naprzeciwko Tulczy leży wielka mokrzadłana wyspa, Czatal, wyjście z której wymagałoby przeprawy powtórnej przez opływające ją od północy kilijskie ramie Dunaju. Wyżej o milę poczynają się trzęsawiska, dopierające do lądu twardego i ciągnące się na mil trzy w górę. Te, acz suche w téj porze roku, trudnemi jednak były do przebycia w poprzek, dla przyczyn takich samych, jak na brzegu prawym — i jak na tym ostatnim posiadały ciągnącą się wzdłuż dunajowego koryta groblę naturalną, służącą za grunt dla drożyny bardzo wązkiej i bardzo mało uczęszczanej. Drożyna ta kończy się naprzeciwko Isakczy, na gruntach wsi Kartal, na południe od jeziora rozlewającego się pomiędzy jeziorami Jałpuch a Inguł i dalej idzie już droga wygodniejsza w górę Dunaju, aż do ujścia Prutu, nieopodal od którego leży miasteczko Reni. Punkta przeto, nadające się na debarkowanie oddziału, znajdowały się na przestrzeni pomiędzy Kartalem a Reni, położonych na kończynach traktów, które przychodzą z głębi kraju i prowadzą do Kahulu, do Goteszt, do Falczi, do Leowy. Ze względu na plan, jaki dla pochodu narysowałem, najdogodniejszym dla nas na debarkowanie oddziału punktem było miasteczko Reni, mianowicie zaś okop, usypany przez Moskali w czasie ostatniej (1853—56) wojny wschodniej.

Na powyższych przeto opierając się skazówkach przejście przez Dunaj przedstawiało się samo przez się pod postacią wypłynięcia z Isakczy w celu przybicia na brzegu przeciwnym, jeżeli nie w Reni, to bodaj w Kartalu.

Środki przeprawy na dwa rozpadały się rodzaje: albo łodzie duże, albo statek parowy. Zdobyć je można było, bądź drogą umowy dobrowolnej, bądź też przemocą. Sposób pierwszy stosował się szczególnie do statków parowych, mających stację w Sulinie i w Gałacu, gdzie ułożyć się było można z właścicielem, albo z kapitanem, dającym rękojmnię we względzie dochowania tajemnicy, która była warunkiem sine qua non powodzenia. Sposób ten, jako środek przeprawy, te jeszcze przedstawiał dogodności, że na statek można było zabrać oddział cały i przybić w punkcie każdym. Z łodziami rzecz zarysowywała się inaczej. Znajdowały się one w ilości dostatecznej tak w Tulczy, jak w Isakczy, ale każda niemal do innego należała właściciela. Utrudniało to układy ogromnie, utrudniając przytém bardziej jeszcze osiągnięcie warunku, tak ważnego, tajemnicy. W obec trudności téj, przedsięwziąłem zawczasu starania, mające na celu wyszukanie statku; w razie zaś, gdyby starań tych powodzenie nie uwieńczyło, powziąłem zamiar wyprowadzić wieczorem oddział z Tulczy, udać się w las pod Isakczę, tam dzień w ukryciu spędzić i nocy następnej, przed świtem na łodzie spaść, zabrać takowe i przeprawy dokonać. Brzozowski w lesie upatrzył miejscowość stosowną. Zamiar ten zachowywałem w rezerwie, dokładając usiłowań, na jakie zdobyć się mogłem, w celu wyszukania kapitana lub właściciela okrętu parowego, z którymby się ułożyć można. Obchodziło mnie to bardzo.

Kwestja przeprawy naszej obchodziła nie mnie tylko i nie nas w ogóle. Stanowiła ona przedmiot ciekawości powszechnej, tak bezinteresownej, jako téż zaprawionej interesem bardzo żywym. Wszystkie mocarstwa, upoważnione mocą konwencji dunajskiej do utrzymywania na Dunaju floty, przysłały do portu tulczańskiego po jednym parowcu wojennym. We względzie tym wyjątek czynili Moskale. Jedni oni świecili nieobecnością oficjalną, nie tylko bowiem parowiec ich nie figurował w szeregu obok parowca austriackiego, francuzkiego, bawarskiego, włoskiego,

angielskiego i tureckiego, ale nie posiadali w Tulczy akredytowanego agenta politycznego, na równi z państwami innemi, agencje których patrzyły na nas oczami wicekonsulów swoich. Z tych jedni sprzyjali nam, drudzy nie. Wicekonsul austriacki zachowywał się obojętnie, pruski nie mieszał się do niczego — tak się przynajmniej okazywało z pozoru; francuzki, włoski i angielski okazwali nam sympatję żywą, ale maskowaną. Pan Deluvier, wicekonsul francuzki, człowiek jak najzaczniejszy, jak najlepszy, Polski przyjaciel gorący, uczynić mógł nie wiele dla braku instrukcyj, ograniczał się więc jeno na udzielaniu protekcyj, wydawaniu paszportów, reklamowaniu w konaku aresztowanych przez policję tureką i ostrzeganiu nas o indywiduach nieczyste żywiących zamiary; dzięki jemu ustrześliśmy się szpiega jednego, bardzo zręcznego, który przedstawił się nam z rekomendacją kardynała Antonellogo. Agent włoski także bez instrukcyj pozostawał; angielski zrazu okazywał ciekawość tylko, pod koniec atoli ciekawość spotęgowała się nagle i przybrała akcent sprzyjania czynnego. Przychodził do mnie często; z Zimą się zaprzyjaźnił; naprzykrzał się nam nawet.

Interessowanie się angielskie znalazło sposobność wyświadczenia nam przysług.

Razu pewnego zgłosił się do mnie officer angielski od marynarki, w którym poznałem Polaka, nazwiskiem, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, Konopacki. Konopacki ów służył na flotyli angielskiej, w charakterze tłumacza, przywiązanego do osoby kapitana flotyłę dowodzącego. Przyszedł do mnie z wizytą, jako Polak; jako tłumacz zaś w interessie na wskroś poufnym i bardzo tajemniczym. Przysłał go kapitan na mocy rozkazu, jaki otrzymał od kontradmirała z Malty. Chodziło o przeprawę oddziału przez Dunaj. Kapitan wiedzieć zgoła nie chciał, jak i kiedy my się przeprowadzić zamierzamy, ale wiedział o tém, że Moskale na przeprawę wyteżoną zwracają uwagę, że czuwają nad nią za pośrednictwem licznych w Tulczy spiegów i że wielkiem jest

podobieństwo do prawdy, iż zawiadomionymi zostaną tak o momencie wyruszenia oddziału, jako téż o punkcie, w którym takowy Dunaj przebywać będzie. Licząc na zawiadomienie to, mogące być uważaném za nieochybne, Moskale sposobią się do przeszkodzenia przeprawie. W celu tym parowce moskiewskie stanowiska zajęły, jeden w Gałacu, drugi w Sulinie — stoją na dwóch tych punktach i utrzymują ustawicznie, tak w dzień jak w nocy, wodę w kotłach w stanie wrzącym, a to na to, ażeby na wieść pierwszą, otrzymaną z Tulczy drogą telegraficzną, ruszyć niezwłocznie i atakować oddział polski. Pogotowie ich wojenne jest zupełne: załogi skonsygnowane, broń nabita, amunicja artylerji przy działach. Przedstawiwszy mi ten stan rzeczy, tłumacz dodał, że kapitan oświadczyć mi kazał, ażeby mnie to nie kłopotowało zgoła, albowiem w pogotowiu takim samém, jak parowce moskiewskie, znajdują się i angielskie: gdy tamte ruszą, te uczynią toż samo, na krok ich nie odstąpią, cieniami się im staną i, gdyby do spotkania na Dunaju przyszło, pomiędzy Moskalami a Polakami się postawią. Gdym dziękował, odrzekł mi, że kapitan czyni to, co powinien — spełnia rozkaz — prosi mnie o dyskrecję jeno.

Ze strony swojej wicekonsul zawiadomił mnie o przybyciu za paszportem angielskim Greka, będącego osobistością bardzo niebezpieczną. Osobistość owa, nazwisko której z niemałym żalem moim z pamięci mi wypadło, zgłosiła się już była do mnie, ze skargą na p. Jordana. Skarga ta znamionowała znajomość familijnych stosunków naszych — zamierzał snadź za jój pomocą pozyskać ufność moją. Użalał się, że p. Jordan źle przyjął ofiarę jego, tyczącą się dostawiania broni na teatr walki, ofiarę ze wszech miar korzystną, Grek bowiem podejmował się dostawiać broń na punkta wskazane mu w głębi kraju; a gdym z powodu tego zdziwienie moje wyraził, wytłumaczył mi, że specjalność jego stanowi *cabotage* w zastosowaniu do kontrabandy, obsługującej kraje ciążące ku morzu Czarnemu; opowiadał

o stosunkach handlowo-przemysłowych w Odessie, w Bałcie, w Ackiermanie, Jampolu, Mohilowie, Kamieńcu. Mówił, iż tego czynić nie może bezinteresownie, lecz — dodał z przyciskiem znaczącym — zrobi to taniej, zwłaszcza zaś pewniej, aniżeli kto inny, mając w rozporządzeniu swoim stateczków dużo i znając drogi tajemne na morzu, na rzekach i na jeziorach. To ostatnie ścierało się do kwestji przeprawy i zainteresowało mnie żywo. Świetność atoli ofiary, acz osłoniętej skargą na Jordana, wzbudziła we mnie, jeżeli nie podejrzenie wyraźne, to niedowierzenie pewne. Odesłałem go na później, aż się namyślę i poradzę. Odszedł, oświadczając się, iż czekać będzie na rozkazy moje. Po odejściu jego wicekonsul zawiadomił nas, co to za figura, a i z konaku przesłano nam ostrzeżenie o przybyciu mistrza w rzemiośle szpiegowskiem. Umyśliłem z niego zrobić użytek, odnoszący się do przeprawy właśnie. Nie zerwałem z nim bynajmniej — przeciwnie, stopniowo zacząłem go przypuszczać do zaufania mego: układałem się o dostawę broni, zawierałem kontrakt, targowałem się, czyniłem mu półzwierzenia i półwynurzenia, wywołujące ze strony Greka wyznania o przywiązaniu do wolności, o nienawiści do Moskali Greków prawdziwych, o osobistej zresztą swojej do nich pretensji, nakazującej mu zemstę. We względzie tym odegrywałem przed nim komedję spółczucia żywego i kiedy wydało się mi, że przygotowanym jest dostatecznie już, zawezwałem go do siebie, przybrałem minę jak najuroczystszą i, pod zaklęciem tajemnicy jak najgłębszej, zapytałem go, czy oddział polski przeprawić się podejmuje. W oczym mu patrzył. Grek zachował się odpowiednio do roli swojej — poważny był i spokojny. — „Jeżeli — odrzekł — pułkownik mi nie ufasz, nie mów mi nic, żadnych odemnie nie żądaj dowodów. Odejdę z cichym do ciebie żalem za pozbawienie mnie sposobności służenia sprawie waszej, będącej dla mnie tak wielką i świętą, jak moja własna. Wyznaję, że nie mam najmniejszego do ufności twojej prawa. Nie mów mi nic, pułkowniku.“ — „Możesz oddział przeprawić?...“ — zapy-

tałem. — „Mogę — odparł z pewnością całą — gdzie i jak chcesz.“ — „Przysięgasz na tajemnicę?“ — Przysięgam na Grecję!... — zawołał — którą tak kocham, jak ty Polskę.... Przysięgam na święte ojców moich popioły!...“ — Po przysiędze téj, ogłoszonej z podniesieniem rąk i złożeniem palców na krzyż, wyjawilem mu tajemnicę przeprawy. Jako punkt dochodni wskazałem Akkierman, który mi on w rozmowach poprzednich doradzał. Na zapytanie jego, odnoszące się do momentu wymarszu, odpowiedziałem, że moment nie jest jeszcze oznaczonym ściśle, że zatém do zgromadzenia statków i poczynienia przygotowań stosownych będzie miał czas, jeżeli pospiechu dołoży. — „Na ile ludzi?...“ — zapytał. — „Ludzi tysiąc i koni sto.“ — Grek przyrzekł zająć się sprawą tą niezwłocznie, wyszedł, udał się odemnie wprost do konsulatu po paszport i nie miał nic pilniejszego, jak, uwiadomiwszy o rzeczach tych ciekawych konsula moskiewskiego w Izmaïłowie, ruszyć na noc całą na perekładnych do Odessy, w celu zawiezienia donosu generałowi Kotzebuemu, który tam dwiema rozporządzał dywizjami. Na podstawie donosu tego Moskale zastawili na oddział nasz w Akkiermanie samotrask. Kotzebue w okolicy miasta tego powiózł z Odessy wojsko wozami i fiakrami i rozstawił takowe po wsiach kolonistów niemieckich, którzy przy okazji téj zrabowanymi przez żołdatów zostali. Dzięki bajce téj, za pośrednictwem szpiega przezemnie Kotzebuemu przesłanej, odwróciła się od Tulczy uwaga moskiewska w momencie dla mnie najważniejszym. Grek wyjechał w dniu, na pozajutrz którego wymarsz naznaczonym był nieodwołalnie.

Powiedziałem wyżej, iż do uskutecznienia przeprawy zachowałem sobie w rezerwie zdobycie łodzi isackzańskich przemocą. Szukałem jednak parowca. We względzie tym nadało się nam pośrednictwo pana Jessy, wicekonsula włoskiego w Sulinie. Pan J. zajął się sprawą tą bardzo gorliwie, szukał i wynalazł w końcu remorkier płaski i duży, należący do kompanii angielskiej, firma

której w pamięci mi nie pozostała. Remorkier ów stał w Sulinie na rozporządzenie moje. Co do zapłaty dyrektor kompanii spuszczał się na wspaniałość polską; pozwalał nawet na to, ażebyśmy za przewóz nie płacili wcale; zawarowywał sobie jeno użycie przez nas gwałtu, a to dla tego, ażeby mieć w takowym na wypadek reklamacyj osłonę tak w obec kompanii, jak w obec władz. Rozumie się, do tajemnicy układu tego przypuszczonymi nie byli, ani kapitan, ani załoga. Tym ostatnim gwałt przedstawić się był winien w całej nagości swojej. Punkt, w którym się oddział ambarkować miał, naznaczonym został na wybrzeżu, pomiędzy Tulczą a Isakczą, w pobliżu téj ostatniej, mianowicie przy rosnącym tam lasku wierzbiniowym. P. Jessy razy parę do Tulczy przyjeżdżał — ułożyliśmy się szczegółowo o wszystko, czekając jeno na przybycie broni.

Jak skoro tedy broń przybyła i jak tylko przyprowadziliśmy ją do tego stanu, że strzelać mogła, natychmiast wybrałem w szeregach dziewięciu ludzi pewnych i silnych i, dodawszy im podofficera, wyprawilem do Suliny. Mieli oni tam na pozór starać się o robotę w porcie, w istocie zaś czekać na Zimę, dla którego nakazałem posłuszeństwo ślepe. We trzy dni później, na statku wojennym francuzkim, pojechał do Suliny Zima, z torbą podróżną w ręku, zawierającą w sobie dziesięć rewolwerów. List następujący, który doszedł rąk moich we wigilję wymarszu, doda nieco w sprawie téj wyjaśnień:

„Piątek 10. Lipca o 7éj p. m. z Suliny.

Dotąd rzeczy idą dość pomyślnie, natrafiam jednak na ogromne trudności, bo mam do czynienia z samymi Grekami (zamiast Anglików), którzy tchórzą do tego stopnia, że nawet złoto im obojętne. Gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, tak że plan nasz musiałby być zmieniony, zatelegrafuję: *La marchandise est avariée, j'ai commandé d'autre* — co znaczyć będzie: nie ruszaj się z miejsca. Byłem na statku wo-

jennym angielskim. Kapitan już dał znać komendantowi w Gałacu, aby był w pogotowiu i nie odstępował Moskala na krok. Radzi nam w ostatecznym razie opanować statek rossyjski, sądzi bowiem, że nie będzie śmiał strzelać na flagę angielską, ale będzie starał się zrobić kolizję. Nasz statek jest silny parochód, wygląda jak Lloyda steamery. Będziem mieli w szlepie dwa statki próżne a może tylko jeden.

Nie zaniedbaj następujących rzeczy:

1) aby sygnalista był na miejscu, tak abym mógł spozstrzedz sygnał z daleka. Ja sam będę na przodzie statku i spuszczyć białą chustkę z boku;

2) aby brzeg był wysoki, bo z końmi będzie ogromna bieda. Szukaj zaraz z rana głębokiego miejsca, aby można przybić jak najbliżej do brzegu;

3) komunikacja z Izmaïłowem i Gałacem musi być przecięta — pamiętaj o tém;

4) strzeżcie się; aby was statek austriacki idący z Gałacu w niedzielę nie zoczył — on mija wasz punkt około 7¹/₂.

Będę się starał być na czas oznaczony. Dowiaduję się jednak, że w Yalgani, niżej Tulczy, po zachodzie słońca statki nie przechodzą, a z rana nie wyruszają przed 5tą. Jest jednak czas. Jeżeli jutro przed zachodem miniem Yalgani, to staniam sobie za Tulczę.

Podpisano: F. Z.“

Z listu powyższego pokazuje się:

1) wahanie się rozporządzieli parowca, bardzo w obec zbliżającego się niebezpieczeństwa naturalne;

2) czynne sprzyjanie nam Anglików, zasługujące na to, aby je zakarbować, na rachunek doniosłości wyprawy naszej, wnoszącej sprawę polską na grunt kwestji wschodniej;]

3) możliwość starcia się z Moskalami na Dunaju.

To ostatnie, wyznać muszę, uśmiechało mi się bardzo i stanowiło przedmiot gorących pragnień moich. Kolizja, w obec

Anglików, podstawiających się pod strzały moskiewskie, pachniała z daleka burzą polityczną. Pomijając to atoli, starcie samo nęciło z téj przyczyny, żem z góry widział po stronie naszej szanse w boju par a bordage, ze względu na przewagę sił, jakimi rozporządzałem. Załoga bowiem statku moskiewskiego nie wynosiła więcej jak 50 do 60 głów; ja zaś mogłem 150 bagnetów na pokład onego wsunąć.

Po otrzymaniu powyższego listu od Zimy, stanął przedemną, domagając się dokonania, organizacji akt ostatni, po którym bezpośrednio nastąpić musiał krok pierwszy wyprawy. Przygotowania do aktu ostatniego pokończzone były wszystkie. Przewłocki przyjechał. Telegrafowałem do Konstantynopola, ażeby ochotników nie przysyłało już więcej.

Zanim do opowiadania wypadków następnych przystąpię, rzucę jeszcze okiem na pobyt w Tulczy. Po upływie dwóch lat od czasu onego, pobyt ten stał się wspomnieniem. Wspomnienia bywają miłe albo przykre. Nie mogę z ręką na sumieniu powiedzieć, ażeby to, które się do Tulczy odnosi, przykrem być miało. Nie! Doznawałem przykrości; w ogóle jednak życzliwość, jaką otaczali mnie koledzy — podkomendni moi, pomiędzy którymi nie jeden mógłby zająć stanowisko moje i wywiązać się z zadania lepiej zapewne niż ja, pozostanie na zawsze dla mnie wspomnieniem, wdzięczność w sercu budzącem. Gdyby nie oni, nie współpraca ich, nie wyrozumiałość i pobłażliwość, byłbym niezawodnie przedsięwzięcia nie dokonał.

A szeregowce — ta garstka walecznych — cóż za postacie znajdowały się wśród nich!... Młodzież z uniwersytetów, ze szkół, młódź szlachecka; obok nich zaś — eks-żołnierze rossyjscy w sile wieku, ludzie prości, po większej części włościanie, dalej, żołnierze z czasów dawniejszych, z r. 1830, starce siwowłosi, którzy przeszli przez Kaukaz, przez niewole czerkieską, perską, turecką, egipską, a zawsze dążyli do Polski. W szeregach naszych reprezentowanemi były wszystkie stany, wszystkie klasy i wieki

różne. I harmonjowało to wszystko. Chłop od pługa nie zajrzał hrabiątku; to ostatnie nie odwracało się od kolegi z zapracowanemi rękami. Ze strony gromadki szeregowój nie doznałem przykrości najmniejszej. Większą część onęj dostawił Konstantynopol; ścigali się jednak i z czyflików, wprost od roli, przy której zarobek mieli donośny. Byli tacy, co pieniądze zarobione wnosili do kassy oddziałowój, jako ofiarę dla ojczyzny. Niektórzy przybywali z Odessy, wyprawiani przez wydział Zarządu Rusi. Zaciągnęło się téż i cudzoziemców trochę, Francuzów, Włochów, Węgrów, Niemców nawet. Sztandar polski, pod który idea ojczyzny, miłość patriotyczna, garnie Polaków, Litwinów i Rusinów, dla obcych świeci jako sztandar wolności.

Nie mogę spisywać zdarzeń i objawów wszystkich, jakie w Tulczy miejsce miały, a które nie wpływały na tok wypadków i rozwój organizacji. Do rodzaju tego należy, np., zgłoszenie się Rochebruna. Przysłał dwóch officerów Francuzów z pieczęciami i z oznajmieniem przybycia swego w celu objęcia dowództwa. Na pieczęciach wrytym był herb polski z napisem w otoku, na jednej, „pułk Szwoleżerów, szwadron I.,” na drugiej, „pułk Spahisów, szwadron I.“ Prosiłem officerów, aby napisali do Rochebruna, iż przyjąć go gotów jestem uprzejmie, jako gościa, nie zaś w charakterze żadnym innym.

Miewaliśmy i gości. Między innemi wymienię Zwierżdowskiego, dowódcę powstania na Białorusi, który, po upadku powstania Mohyłowskiego, szukał schronienia w Turcji, i następnie udał się w Krakowskie, ażeby tam, pod nazwiskiem Topora, zginąć w objęciach szubienicy moskiewskiej. Był to wojskowy uczony, człowiek bardzo zdolny i Polak gorący, ale ciekawy. Ciekawość stanowiła słabość jego. Przyjechał z Konstantynopola do Tulczy w tym jedynie celu, ażeby się dowiedzieć o sposobie, w jaki przeprowadzę oddział przez Dunaj. Męczył téż mnie indagacją formalną, która byłaby mi się wydała podejrzaną, gdybym go z dawnój nie znał daty.

Ciekawość, która Zwierzdowskiego do nałożenia sobie drogi zmusiła, była ogólną, a tém większą, iż do zaspokojenia onęj nie nastęrczała się skazówka najmniejsza. Ci co wiedzieli, dochowywali tajemnicy, która też dochowaną została do ostatka samego.

V.

Przeprawa przez Dunaj i spotkanie pod Etiulikiej.

Doczekaliśmy się tedy momentu upragnionego. Nadszedł on w dniu 11. Lipca, w którym w kontroli oddziału liczyło się 258 ludzi i 7 koni, podzielonych na trzy kompanje piechoty, oddział officerów nadliczbowych i oddział jazdy. Kompanje 1 i 3 stały w Tulczy, 2ga o milkę ztamtąd, we wsi Franzensthal, zakolonizowanej przez Niemców. Sztabu nie posiadałem żadnego — sam sobie służyłem za adjutanta i galopenów. Zima także nie otoczył się personelem oficjalnym. Przewłocki pełnił funkcje komissarza, nie przybierając sobie ku pomocy nikogo. Dwaj doskonali lekarze szli piechotą obok konia, który dźwigał lekarstwa, bandażę, szarpie i instrumenta. Ostentacja najmniejsza nie towarzyszyła korpusowi, podążającemu „z ziemi tureckiej do polskiej.“

Na lewym brzegu Dunaju siły orężne, wśród których garstka nasza stanąć miała, przedstawiały się w sposób następujący:

1) Rumu n ó w: w Izmailowie ludzi 900 pod dowództwem pułkownika Kalinesko, w Gałacu i Reni do 1,000 pod dowództwem pułkownika Manu, w Fokszanach bataljon strzelców, w Jas-sach pułk piechoty, trochę jazdy i baterja artylerji; nad Prutem, od Skulan w dół rozlokowanym był bataljon piechoty; w każdym

przytém obwodowém mieście, położoném na teatrze pierwszego wystąpienia naszego, jak Izmailów, Kahul, Gałac, Tekucz, Fokszany, Byrlat, Wasłuja, Husz i Jassy, znajdowało się po kilkudziesięciu żandarmów, konnych i pieszych, tak, że ogółem rząd rumuński miał do rozporządzenia 5,320 ludzi, rozrzuconych na sporą przestrzeni i nie mogących się skoncentrować do zastąpienia mi w pierwszych chwilach drogi sił tych ani połową.

2) Moskali: w Benderach, pułk Zamojski, dowódzca Leczenko; w Kiszyniewie, pułk Lubliński, dow. Czeliszczew; w Bielcach, pułk Pragski; w Chocimie, pułk Modliński — wszystko to piechota. Granicy mołdawskiej doglądało dwa pułki kozackie. Siłami temi dowodził gen.-leutnt. Kiszyński. Po za niemi, w odwodzie, stał, pod dowództwem generała Kotzebue, korpus szesnastotysięczny, zaopatrzony w jazdę i artylerję. Ten ostatni nadzorował nad Akkiermanem i wybrzeżami morza Czarnego, czekając, z bronią na ramieniu, na wkroczenie moje. Czekanie to naraziło wodza sędziwego, który w Odessie miał kwaterę główną, na ekspedycję komiczną — wspomniałem o niej wyżej. Nagromadzenia takiego sił powodem były, częścią wieści przesadne o wysokości liczebnej oddziału polskiego, głównie atoli doniosłość przedsięwzięcia, wytaczającego sprawę polską na grunt kwestji bardzo dla Europy drażliwej, najdrażliwszej wszakże dla Moskwy.

Przed przystąpieniem do kampanii militarnéj na barki moje spadła niespodzianie kampanja dyplomatyczna. Wybierając się w wymarsz, na dni trzy przed terminem ostatecznym, kazałem magazynierowi, porucznikowi Kętrzyńskiemu, rozdać ludziom obuwie, odzież, czapki i ładownice. Dystrybucja ta, połączona z wyjazdem Zimy do Suliny, zaalarmowała paszę. Wezwał mnie do siebie. — „Pułkowniku — rzekł — wybierasz się.“ — „Wybieram się — odpowiedziałem — nie chcę nadużywać dłużej względów i gościnności Wysokiej Porty.“ — „Nie o to chodzi — przerwał Raszid pasza — ale o to, ażeby Turcja przez was

skompromitowaną nie została. Nie potrzebuję rozwodzić się nad tē, że sprzyjamy wam, względy atoli polityczne nakazują nieraz traktować po nieprzyjacielsku przyjaciół najserdeczniejszych.“ — Milczałem — cóżem na to odpowiedzieć miał! Tulcza napełnioną i obstawioną była wojskiem tureckiem, rozstawioném w obozach w sposób taki, że wymknięcie się z oddziałem było, jeżeli nie niepodobnē, to trudnē bardzo. O wyjściu przemocą myśleć nie mógłem. Znajdowałem się w ręku paszy.

— „Nie chcę jednak — ciągnął ten ostatni — was po nieprzyjacielsku traktować. Pragnąłbym, i wam nie przeszkodzić, i rząd mój od kompromitacji zasłonić. Czy jest sposób na to?...“ — zapytał. — „Jest — odparłem. — Odwróć, ekselencjo, oczy, a po wymarszu naszym, rezeszlij pogonie, narób wrzawy i nadaj rzeczy obrót taki, ażeby wina cała spadła na nas. Wszak zdarzają się wypadki, że ludzie oszukują jedni drugich. Owóż, oskarż nas o oszukaństwo...“ — „Nie, to sposób zły.... — odrzekł pasza po namyśle krótkim. Nie masz innego?“ — „Nie mam“ — odpowiedziałem. — Pasza się zamyślił. — „Przyjdź, pułkowniku, do mnie za godzin dwie. Namysław się, i ja się będę namyslał. Może sposób się znajdzie; zdaje mi się nawet, że go mam. Uprzedzam cię jednak — zaczął tonem uroczystym — że podstawą onego jest rzetelność moja; wierz w nią, równie jak w to, że jestem szczerym przyjacielem waszym.... Czy wierzysz?“ — „Wierzę“ — odrzekłem. — Miałem odpowiedzieć, że nie. Podaliśmy sobie dłonie — odszedłem.

Dwie godziny, jak się zdaje, obróconemi zostały, na zamianę z Konstantynopolem telegramów, sposób bowiem, jaki mi pasza przedstawił, nie miał wcale znaczenia propozycji, podanej do narady wspólnej, ale było to ultimatum stanowcze. Pozostawało mi, albo je przyjąć, albo odrzucić. W razie pierwszym wymarsz nasz był zapewnionym, w drugim, zagrażało oddziałowi rozpedzenie. Warunkiem sine qua non wymarszu było poświęcenie

trzydziestu ludzi, wybór których pozostawiał pasza łaskawie mnie samemu.

Nie był to warunek zbyt ciężki pod względem, że tak powiem, materjalnym, ale za to, pod moralnym — bolesny. Oddział liczył w szeregach swoich więcej aniżeli trzydziestu starców, którzyby nie wytrzymali ani długich trudów wojennych, ani marszów forsownych, którzy jednak ze łzami w oczach mówili o nadarzającym się im szczęściu złożenia kości na ziemi polskiej. Ażeby pozbawiać ich szczęścia tego, zagłuszyć w sobie należało uczucie ludzkie. Nie było wszakże rady. Warunek był stanowczy.

O to na czém polegała rzecz. W dzień wymarszu, który nastąpić powinien wieczorem, pasza rano wyaresztować każe wszystkich do oddziału należących Polaków, z wyjątkiem, officerów, podofficerów i sierżantów; z wyaresztowanych wydzieli starców trzydziestu na to, ażeby ich w dniu następnym, jako *corpus delicti*, z hałasem i ostentacją do Konstantynopola odesłać, resztę zaś puści po słońca zachodzie. Przy wydzielaniu i puszczaniu asystować będzie z officerów jeden, przezemnie wykomenderowany. Akcja aresztowania trwać będzie od dziesiątej rano do czwartej po południu. Po czwartej nietylko aresztowanie ustanie, ale nadto straże wszelkie, wojskowe i policyjne, cofniętemi zostaną z części miasta zachodniej, do której aż do północy ani zajrzy patrol żaden.

Bolesnym, jak powiadam, był dla mnie sposób ten; innego wszakże do wyboru nie miałem. Minotaurowi, nazywającemu się w wieku naszym dyplomacją, poświęcić musiałem ludzi trzydziestu, celem uratowania wyprawy. Biedaków, na utratę nadziei umierania w Polsce wskazanych, wyłączyć z góry i wydać ich Turkom osobno chciałem — to mi się nie udało. Do smutnej więc operacji tej wyznaczyłem kapitana Achmetowicza, poleciwszy mu w wyłączaniu zwracanie uwagi nie tyle na włosy siwe i lata, ile na konduite.

We wigilję branki téj nakazałem, tak w Tulczy, jak we Franzensthalu, gotowość do wymarszu na zawołanie każde. W dniu wymarszu rozkaz o piątéj rano powtórzonym został i wykonanym pod okiem sierżantów i odpowiedzialnością officerów. Ludzie się do drogi odziali i ozuli, tornistry upakowali, w żywność się zaopatrzyli — pozostawało jeno, sprowadzić ich na punkt zborny, broń rozebrać, wóz zaprządz, konie posiadłać i ruszać.

O 10tój wystąpiły nagle na ulice patrole tureckie i rozpoczęła się branka, poprzedzona okólnikiem, rozesłanym przez paszę do konsulów, oznajmującym, że „władza miejscowa widzi się zmuszoną do użycia środków surowych przeciwko włóczęgom, którzy wybrali sobie Tulczę jako punkt wyjścia w spełnieniu zamiarów zbrodniczych, na które rząd Wysokiej Porty, ze względu na stosunki sąsiedzkie i traktaty, obojętném patrzeć nie może okiem.“ Zaniepokoiło to konsulów francuzkiego i angielskiego — chcieli protestować; prosiłem ich, ażeby protest do dnia następnego odłożyli. Krążenie patrolów i aresztowania rzuciły popłoch pomiędzy żołnierzy, którym znaczenia onych wytłómaczyć nie mogłem. Jedni przeto imać się dali, inni atoli wymykali za miasto, szukając schronienia po burzanach i zaroślach, inni znów po domach się kryli. Uprzedziłem komendantów kompanii, majora Jagmina i kilku jeszcze, ażeby się starali popłoch wstrzymać w granicach umiarkowania. Żołnierze przeto, którzy się schronić nie zdołali, aresztować się dawali bez oporu i zachowywali spokój. Oddział cały, z wyjątkiem officerów, tych co się skryli i kompanii we Franzensthalu, dostał się przed czwartą do kozy. Sierżant kompanii trzeciég zaraportował mi, że mu w szeregach pozostało — trzech.

Nie jestem w stanie opisać tego, co się w ciągu aresztowań w duszy mojęj działo. Przyjąłem podany mi sposób i przywiązany do onego warunek; posiadałem, jako rękojmię ze strony paszy, słowo honoru uroczyście; ale przekonanie nie mówiło mi

wcale, ażeby na słowie tureckiem bezwarunkowo polegać było można. Rzecz rozstrzygnąć się miała o słońca zachodzie. Do zachodu słońca przeto miały mną uczucia najsprzeczniesze, a mimo to udawać musiałem pewnego siebie i spokojnego zupełnie.

Punktualnie o czwartej aresztowania ustały nagle. Jak skoro patrole tureckie ustąpiły, natychmiast rozkaz do wymarszu powtórzyłem, wyznaczając ściśle godzinę, w której ruszymy.

Nie dziwię się zgola, że rozkaz ten, w podobnych dany okolicznościach, wydać się nie wtajemniczonym musiał, jako dowód zajęczka w głowie, jeżeli już nie warjacji, kiedy wtajemniczeni nawet, a pomiędzy nimi najpierwszy ja, pewnymi nie byli, ażali wykonać się da. Do uszów moich dochodziły odgrazania się głośne; kilku przyszło do mnie z przedstawieniem, że wymarsz z Tulczy, jeżeli nie zaniechać całkowicie, to przynajmniej odłożyć należy. — „Z czém pójdziemy!... — mówili — zostało nas dwudziestu zaledwie.“ — „Jest we Franzensthalu kompanja Towarnickiego — odrzekłem — jest dwudziestu nas, mamy więc iść z czém.... Gdyby zaś zostało nie dwudziestu, a dziesięciu tylko, to tych dziesięciu nie ma prawa sprzeciwiać się woli naczelnika, zwłaszcza gdy ten idzie z nimi sam....“ — Powtórzyłem więc rozkaz raz jeszcze, nakazując jak najsurowiej znajdowanie się, w całkowitým do ruszenia pogotowiu, na punkcie zbornym o godzinie dziewiątej.

Za punkt zborny służył dom, w którym złożona była broń. Leżał on na przedmieściu niemieckiem, posiadał podwórze obszerne i ogród; od ulicy osłaniał go częstokół; ogród tylną stroną wychodził na pole. Był to punkt dla tych, co w Tulczy kwatrowali. Dla kompanii zaś drugiej, stojącej na wsi i przez policję nie inkomodowanej zgola, naznaczyłem redutę, wznoszącą się za miastem obok drogi co do Babadagu prowadzi. Dostać się do niej z Franzensthalu można, obchodząc Tulczę polami od strony południowej. Przy reducie téj naznaczoném było złączenie się oddziału całego. Leży ona na wzgórzu, panując nad okolicą

i patrząc od wschodu na miasto, od północy na Dunaj, od zachodu na ujście tego kanału, przeprowadzenie się przez który wprowadzało nas na trzęsawiska nadbrzeżne. Na kanale tym, jakby dla nas umyślnie, mostek przed dniami kilku rzucony został.

Wkrótce po zachodzie słońca udałem się do paszy. Znalazłem go, nie w konaku rządowym, ale w mieszkaniu jego prywatnym. Blady był i pomieszany widocznie.

— „Pora już?...“ — zapytał, jak skoro mnie ujrzał. — „Pora....“ — odrzekłem. — „No i jakże?...“ — „Wyrządziłeś nam, ekselencjo, krzywdę wielką....“ — „Jaką?...“ — „Rozpędziłeś ludzi połowę....“ — „Policja przecie i patrole miały rozkaz nie straszyć....“ — „Przestraszył sam fakt....“ — „Ha.... cóż robić!... Siła rzeczy tego wymagała.... Wychodzisz?...“ — zapytał. — „Wychodzę.... — Na odpowiedź tę moją w dłonie klasnął i przywołać kazał urzędnika jakiegoś, do którego wyrazów kilka po turecku przemówił; następnie zwrócił się do mnie: — „Ludzie twoi natychmiast na wolność wypuszczeni będą.“

Nastąpiło pożegnanie. Pasza uprzejmie życzył pomyślności wszelkiej i zalecał nie zbliżać się do obozów tureckich, z których jeden zajmował pozycję za miastem, w stronie zachodniej, nieopodal od mostku, przez który przechodziła droga nasza.

W postępowaniu władz tureckich z nami trzy działały pobudki: 1) wzgląd na stosunki z Rossją; 2) uwaga na opinię publiczną Europy; i 3) usiłowanie dostrojenia Turcji do tonu gabinetów mocarstw zachodnich, upominających się głośnie, ale na drodze dyplomatycznej, o sprawiedliwość dla Polski. Sprzyjanie Polsce stało, nie powiem, na planie drugim, ale gdzieś daleko — w głębi ciemnej — zamaskowane jak najzupełniej wymagalnościami chwilowymi polityki bieżącej. Gdyby bowiem znajdowało się ono bliżej nieco, nie serca, lecz oka tureckiego, w razie takim: czyż potrzebną była komedia ta więzienna, która nam wielką sprawiała mitręgę, Turcji pożytku nie przynosząc najmniejszego?

Stało się jednak. Taką była wola „naturalnego Półski sprzymierzeńca“ — trzeba jój było uleść dla téj prostéj przyczyny, że nie uleść, sposobu nie było.

Od paszy wróciłem na kwaterę główną oddziału polskiego; po raz pierwszy od lat wielu przypasałem do boku pałasz i udałem się na punkt zborny, pod tym jednym przynajmniej zaspokojony względem, że z Tulczy broń wynieść będzie komu. Ilość ludzi atoli, którzy się znajdują, była zagadką dla mnie. Liczyłem na utratę połowy co najmniej.

W pomroku wieczornym schodzić się poczęli i wnet nastąpiło wybieranie się, które, po nocy, w miejscu nie każdemu znaném, połączoném być musiało z trudnościami niemałemi i z mnóstwem uchybień. Ludzie nie posiadali dość wprawy, nie nawykli do miejsc swoich w szeregu, nie wszyscy znali porządek wojskowy. Ten czegoś zapomniał, ów zrobił coś nie tak jak należy. Jeden radzi, drugi odradza — jeden drugiego nie widzi — dla niejednego język, jakim się przemawia, nie dość jest jasnym. Ztąd nieład, za który gniewać się nie było można. Z nieładu wyniknąć musiało następstwo nieuniknione — spóźnienie. Przewidywałem to, dla tego téż siłami całemi starałem się nieładowi zapobiedz. Kompanię pierwszą postawiłem w podwórzu, trzecią ulokowałem w ogrodzie; przy furtce postawiłem wartę z rozkazem zapytywania, kto z której kompanii, wskazywania dyrekcji, wpuszczania, lecz nie wypuszczania nikogo. Officerowie i sierżanci, a na ich czele major Jagmin, wynosili i rozdawali broń; inni pakowali wóz, inni siodłali i juczyl konie. Mimo to, spóźnienia nie uniknąłem. Zamiast o dziesiątą, jakiem zamierzał, wyruszyliśmy po jedenastą. Piechotę poprowadziłem sam, gęsiego, przez ogród, rowy i pola, do reduty. Jazdę, wóz i konie juczne wprost na mostek inną wyprawilem drogą. Wszystko pomyślnie nam poszło, z wyjątkiem dwóch wypadków, a mianowicie: zapomnianemi zostały topory i rydle i zostawić musieliśmy aptekę — koń juczny, przeznaczony do dźwigania téj ostatniej, roz-

wierzgał się i uciekł. Apteka pozostała, nie przepadła jednak — przed wymarszem zamianowałem kapitana Wojnickiego dowódcą rezerw i dozorcą pozostałości, specjalną nad magazynem opiekę poruczając zacnemu Cholewińskiemu. Apteka przeto, koń i wszystkie resztki efektów dostawały się w ręce pewne. Broń dla kompanii drugiej, która się wprost na redutę udała, wyniosła pierwsza.

Broń, w niemożności zrobienia apelu, stanowiła dla mnie miarę siły oddziału. Kiedym, po rozbiciu pak, dowiedział się, że na 258 ludzi, mam karabinów 160 tylko, zacząłem w Tulczy skupować strzelby myśliwskie. Kupiłem tego sztuk około 20. Miałem przeto broni palnej luf 180, co nie wystarczało na uzbrojenie oddziału i dla tego zamierzałem uzbrojenie uzupełnić owemi 50 lancami, których na Mołdawię nie wysłałem. Po zaaplikowaniu atoli sposobu tureckiego niesienia nam pomocy, zważyłem był, ażeby broń palna rozebraną w zupełności być mogła, nie spodziewałem się bowiem ani połowy ludzi na punkcie zbornym. Jakżem się zdziwił, a zarazem i ucieszył, gdy, po rozdaniu broni, pokazało się, że pozostają jeszcze tacy, którym się nic w ręce nie dostało! Myślałem, że pasza niespodziankę mi zrobił i wszystkich bez wyjątku z więzienia wypuścił.

Wyznać muszę, że aresztowanie tureckie jedną dobrą miało stronę, nie tę atoli, której się żołnierze domyślali. Zdaniem ich nastąpiło ono na żądanie moje, racja którego była ta, ażeby się przed wymarszem który, broń Boże, nie upił. Nie — strona onego dobra wyraziła się w czém inném, w tém mianowicie, iż nadało wyprawie charakter niespodziankowy. Jedenastego Czerwca telegrafy po całym rozniosły świecie wiadomość o hurtownem w Tulczy wyaresztowaniu Polaków wszystkich i uśpiły uwagę baczną, jaką zwracali na nas Moskale, Rumuni i inni. Ani ci, ani owi przypuszczać nie mogli, ażeby ludzic, dziś wyaresztowani, byli w stanie nazajutrz zbrojno przez Dunaj się przeprowadzić. Tak się jednakże stało.

Przy reducie kompanję drugą zastaliśmy czekającą. Kapitan Towarnicki punktualnie w oznaczonym momencie na oznaczone przyprowadził ją miejsce.

Kazałem oddziałowi uszykować się; zrobiłem przegląd; kazałem bagnety zdjąć, cichość w marszu zachowywać, fajek nie palić, porządku się trzymać i nogi dobrze wyciągać. Dopełniwszy tego wszystkiego, rotami, trzymając się wadołów i manowców, pod przewodnictwem Witwickiego, ruszyliśmy ku mostkowi, okrążając zdala zabudowania komissji dunajskiej i obóz turecki. Krążenie zabrało nam resztę nocy lipcowej. Na mostku dzień świtać począł; lecz byliśmy już na drodze naszej, nad brzegiem Dunaju, wśród oczeretów tak gęstych i wysokich, że, w razie potrzeby, mogliśmy ukryć się w takowych, nie schodząc daleko z drogi; byliśmy odsadzeni od pogoni, zakryci przed okiem ciekawych, mieliśmy amunicji podostatkiem i żywności na dni dwa. Byliśmy panami losów naszych, znajdowaliśmy się na drodze do Polski i sytuacja ta przejmowała nas uczuciem takim, że, gdyby w chwili téj doścignęła nas pogoń turecka i zawrócić chciała, to, kto wie, ażali, mimo wszelkich względów politycznych, do jakich obowiązaniśmy byli w odniesieniu do „naturalnych sprzymierzeńców naszych,” nie bylibyśmy ich ogniem przyjęli.

Maszerowaliśmy ciągiem jednym do godziny siódmej, to znaczy, uszliśmy mil ze trzy. Żołnierze, znużeni więzieniem i marszem nocnym, potrzebowali spoczynku, a przytém, o godzinie téj spodziewać się już było można podróżnych, przejeżdżających i przechodzących z Tulczy do Isakczy lub w kierunku odwrotnym. Jakoż spotkaliśmy Turka starego wozem, którego trzeba było przytrzymać, z obawy, ażeby trwogi nie rozniósł. Kazałem przeto zatrzymać się, w oczerety wejść i spoczywać, licząc na to, że statek, który nas jeszcze nie doścignął, dowiezie nas do punktu z Zimą umówionego, do lasu wierzbinego, dokąd moglibyśmy dojść, lecz z trudem wielkim i z szansą spotkania więcej podróżnych takich, jak Turek ów, który w prze-

rażeniu niemém i w osłupieniu zrozumieć nie był w stanie perswazji, za pomocą których żołnierze uspokoić go usiłowali. Ukryliśmy się więc i przepuszczali podróżnych, ani się domyślających, jacy goście zaludnili oczerety, których mieszkańcami zwyczajnymi są dziki, wilcy, lisy, ptactwo wodne i komary.

Czekałem na statek ze spokojem całym i ufnością, pewny, że nadejdzie. Czyż go nie prowadził Zima? Według zalecenia jego, wybrałem brzeg wysoki i urwisty, znamionujący głębię i, na nikogo się nie spuszczać, sam jako sygnalista na brzegu usiadłem, chwytając uchem szmer każdy, podobny do warczenia kół parowca, śledząc okiem na powierzchni Dunaju przedmiot każdy, pokazujący się od strony Tulczy. Przy pomocy szkieł rozglądałem się w wybrzeżu przeciwległym, które się nie nadawało do wylądowania. Znajdowaliśmy się na połowie drogi pomiędzy Isakczą a Tulczą, naprzeciwko Jeziora Jałpuch, na południku, przechodzącym przez miasteczko Bolgrad. Zamiarem moim, jaki dawniej powziąłem, a przy którym pozostawałem, było wylądować powyżej, o mil trzy przynajmniej. Jedyna modyfikacja onego polegała na tém, żem mil trzy owych chciał, nie ująć brzegiem tureckim, ale upłynąć na statku, nie męcząc ludzi i przybijając, jeżeli nie w Reni, to naprzeciw Isakczy. Modyfikacja ta okazała się w następstwie błędem z mojej strony.

Na czekaniu upłynęło godzin parę. Żołnierze w oczeretach pospali się. Nakoniec około dziesiątej pokazał się statek. Poznałem go z opisu Zimy; wyglądał, jak parowiec Lloyda i za sobą „w szlepie“ dwa żaglowce ciągnął. Zasygnałowałem. Odpowiedziała mi chustka biała i w chwili tej żaglowce się urwały własnemu pozostawione losowi, parowiec zaś całą parą siłą ku nam się zwrócił.

— „Stać!...“ — krzyknąłem.

— „Stać!... stawać!... wstawaj!...“ — rozległy się w oczeretach okrzyki.

Batalion na drogę wystąpił; Jagmin go uszykował, rad, że na koniec gromko, po polsku, wygłaszać może wyrazy komendy. Statek do brzegu przybił.

Nastąpiła chwila nie do opisania. Oddział, dotychczas zakrywany i maskowany, w momencie jednym przeistoczył się w wojsko polskie, okryte szczecią połyskujących do słońca bagnetów. Wyłamywaliśmy się na koniec z pod przymusu, który nam nogi pętał i języki więził i zdobywaliśmy pewność dostania się na ziemię, której od Polski żaden już nie oddziela Dunaj. Uniesienie, zachwyt jaśniały na obliczu żołnierza każdego. I moją duszę ogarnęły one. Obok nich atoli rozsiadła się w niej troska o szczęśliwe oddziału do Polski doprowadzenie drogą długą, bardzo długą, na której, na kroku każdym, potknąć się mógłem i to podwójnie, militarnie i politycznie.

Że drogi inną obrać nie mógłem, z tego wytłumaczyłem się powyżej. Tu następcza mi się tłumaczenie z jeszcze jednego punktu. W wigilję wymarszu z Tulczy przybiegł był do mnie wysłaniec z Odessy, od wydziału Zarządu Rusi, wzywający, ażebyś szedł na Bessarabję moskiewską wprost, na stanowiska pułków Zamojskiego i Lublińskiego, na rzecz powstania polskiego poży-skanych. Zapewnienia atoli dowodnego, pod względem usposobienia pułków rzeczonych, nie dawał mi żadnego. Mógłłem się na gołosłowne spuszczać wezwanie? Mógłłem, znając potęgę karności szeregowój, nakazującej usposobieniom milczenie, i skład wojsk moskiewskich, niedopuszczający porozumienia zbiorowego, ryzykować się, wkraczając w kraj otwarty i bezwodny i włączając w matnię, najeżoną dwudziestu kilku tysiącami bagnetów, której w dwieście ludzi przebić nie byłem w stanie? Odesłałem wysłańca z tą odpowiedzią, że, jeżeli w rzeczy samej usposobienie pułków Lublińskiego i Zamojskiego jest względem nas do tego stopnia przyjaznem, iż liczyć można na czynną ze strony ich pomoc, to niech przyjdą do nas — przyjmujemy je rękami otwartymi; iść jednak po nie nie możemy. Rachunek, zimny jak śmierć,

wskazywał mi drogę przez Mołdawię. Na drodze tej przedstawiały się szanse niejaki, które się do rachunku wciągnąć dawały. Chociaż bowiem pięciotysięczny zagrażał mi na niej opór, ale nie skoncentrowany, nie przygotowany, nie nastawiony i tą szczególną nacechowany właściwością, że bylebyśmy o etap parę wyścignąć zdołali pogoń załóg izmańłowskię i gałackię, wówczas przejść mogliśmy przez całą długość Mołdawii, mając przed sobą do wywrócenia jedną jedynie załogę jasską, któraby nam w 1000 najwyżej ludzi drogę zabiedz mogła. Szło mi przeto, najprzód i przedewszystkiem, o szybkie ruszenie z miejsca — o doścignięcie jak najrychlejsze punktu przeprawy na Prucie, a następnie o wozy na prawym brzegu Prutu. Punkt przeprawy, a na nim wozy, stanowiły pierwszą przedmiotową, pierwszą wytyczną i główną rację pierwszego ruchu kampanii, rozpoczynającę się od postawienia stopy na gruncie rumuńskim. Przedstawiały się one, jako rezultat szybkości, wyrażającę się za pomocą wyprzedzenia pościgów. W razie zaś, gdyby mi szybkość nie dopisała, to jest, gdybym dognany został przez gałacką lub izmańłowską załogę, wówczas pozostawały mi jeszcze wozy, którem zamówił, które powinny były czekać, na które rachować miałem prawo, a które to sprawić miały, iż jednym przejazdem forsownym wyprowadzały oddział z koła pościgów i ataków rumuńskich i wwoziły go w okolice, gdzie mógłem spocząć, zasilić się i rozgospodarować.

Znajdowały się szanse i inne jeszcze. Dla ściągnięcia to onych poprzedziłem się proklamacją następującą, którą rumuńskim dziennikom i władzom przesłałem z takim czasie obrachowaniem, ażeby doszła do rąk ich równocześnie z wkroczeniem mojem.

„Rumuni! — Jako Polacy zwracać się nie możemy do gabinetów europejskich celem podpisywania traktatów i zawierania układów. Pozostaje nam tylko, tak wam, jak całemu światu ucywilizowanemu przedstawić nasze względem was zamiary i postępowanie. Oto one:

Prowadzę przez Księstwa Zjednoczone oddział orężny i przez to gwałcę neutralność ziemi waszję.

W obec Boga jednak i Europy, w towarzystwie moich i mojem własnem imieniu, oświadczam, iż czynimy to zmuszeni potrzebą.

Nie ma dla nas alternatywy innéj, tylko: albo nie stanąc na wezwanie Ojczyzny, albo przejść przez ziemię waszą. Wybieramy to ostatnie. Niech nas świat sądzi.

Wiedziecie, że przechodzimy jako przyjaciele wasi. Skrupulatnie szanować będziemy wszystkich w osobach ich i w mieniu. Gdyby zaś drażliwość wasza narodowa poruszyła się, widząc nas przy ogniskach waszych, pomyślcie, że jesteśmy dziś żołnierzami niepodległości ojczyzny naszej z pod praw wyjętymi, że jutro będziemy może męczennikami.

Nieprzyjaciele nasi sami, czyż nie gwałcili ziem obcych? Nie wchodzili oni wielokrotnie do Prus, w celu manewrowania przeciwko Polakom? W czasach zaś ostatnich, strzelce rossyjscy, czyż nie strzelali do oddziału polskiego z gruntu austriackiego?

Co czynią oni dla zadawania nam ciosów tém pewniejszych, możeż nie dozwoloném być nam w obronie? — nam, nie posiadającym środków innych, tylko serca i ramiona, praw innych, tylko prawa naturalne, sprzymierzeńców innych, tylko sprawiedliwość boską i ludzi uczciwych sumienie?...

Puściecie więc nas, idziemy bowiem walczyć przeciwko nieprzyjacielowi cywilizacji i wolności.

Puściecie nas, ponieważ przejść musimy bądź co bądź (*quand même*).

Nie zapominajcie, że dwa narody nasze są bratnie i że krew przelana spadnie na tego, co pierwszy zaczepi.

Gdyby zaś oskarżono nas przed wami, wywołując przeciwko nam zimną kwestję prawa, odpowiedzcie i wraz z wami odpowie każdy człowiek serca:

Jakież trybunał potępiłby syna za to, że ten przechodzi przez pola sąsiada, spiesząc na ratunek matki, którą smaga morderca?

12. Lipca 1863 r.

Naczelnik Oddziału
Z. Miłkowski, pułkownik.

Wiedziałem, że Moskale nie posiadają w Bessarabii sympatji mieszkańców. Liczyłem na moralny wkroczenia naszego efekt, jako na wynik naturalny piękności, świętości i znaczenia głębokiego sprawy polskiej. Przypuszczałem więc, że Rumuni, naród i rząd, postawią się względem nas, jeżeli nie lepiej, to przynajmniej jak Turcy — że w poczynaniu przeciwko nam ograniczą się ściśle na stronie formalnej, stając przez to po stronie Zachodu. Silni zbiorową Europę gwarancją, słabością własną

i Francji opieką szczególną, mogli oni odważyć się nawet na skorzystanie z okazji zasłużenia się sprawie cywilizacji. Doskonała następczała się im zrzęcnosc do postawienia się na stanowisku narodu, godnego uwagi i poważania. Postawiliśmy ich byli na stanowisku takim, że gabinet petersburgski z obawą zwrócił oczy na gabinet bukaresztski i przybrawszy w obec tego ostatniego postawę pochlebczą, podsunął mu wnet sprawę, w której do chwili téj zajmował względem niego stanowisko nieprzyjazne. Była to sprawa o monastery. Gabinet bukaresztski tyle okazał się dobrodusznym, że pochlebstwa w kursie dobrej przyjął monety i tyle dyplomatycznym, że piękność, świętość i cywilizacyjna doniosłość sprawy naszej nie zasłużyły na uwzględnienie jego. Rozszedł się na punkcie tym z narodem rumuńskim — z opinią publiczną, która wkroczenie przyjęła w tém zupełnie znaczeniu, jakieśmy nadali onemu w proklamacji. Ale o tém później. Tu dodam jeno, iż pięknej téj odezwy autorem był pan Deluvier, wicekonsul francuzki w Tulczy.

Przeprawa przez Dunaj zabrała nam czasu godzin trzy do czterech.

Niestety! — ani pod Reni, ani pod Kartalem nawet lądować nie można było. Statek okazał się nie tak silnym, za jaki go Zima miał — w podróży z Suliny do Tulczy reparować musiał kociół; kiedy zaś wsiadło nań ludzi dwiestu i koni kilkanaście, począł się pogłębiać zbytecznie i nie wytrzymywać wysiłku nawigacji przeciwko prądowi. Zarysowała się perspektywa utonięcia. Kapitan i majtkowie, Grecy wszyscy, znajdując się pod wrażeniem gwałtu, dokonanego na nich przez Zimę na czele żołnierzy dziesięciu celem zdobycia statku, machinalnie i z uległością ślepą pełnili powinność swoją. Na pokładzie jednak, w roli przypadkowego pasażera, znajdował się pan Jessy, który, mówiąc nawiasowo, zasilił uzbrojenie nasze parą sztukami broni i strzelbą długą, należącą do rodzaju śmigownic ręcznych. Ten ostrzegł mnie o niebezpieczeństwie, jakie nam zagrażało — wykazał nie-

podobieństwo płynięcia przeciwko wody. Poznałem błąd mój, polegający na tém, że nie doprowadził oddziału do lasku wierzbowego. Przedstawiło mi się żywo następstwo onego — opóźnienie w pochodzie. Nie było jednak rady. Stało się. Ażeby uniknąć pogłębienia się w nurty dunajskie, nie pozostawało nic innego, jak lądować co najrychlej. Kazałem więc do brzegu przybijać — do brzegu oczerecianego, ciągnącego się mil trzy bez mała do punktu, obranego na punkt wychodni pochodu naszego na gruncie mołdawskim. Wylądowaliśmy, upłynąwszy nie więcej, jak kilometrów parę. Wysiedliśmy wśród trzciny wysokich i gęstych, utrudniających przejście, wozowi zwłaszcza. Przechodziła wprawdzie wzdłuż brzegu drożyna, lecz ujeżdżona tak mało, że pospieszać po niej sposobu nie było, chyba, iżbyśmy porzucili wóz, napełniony skarbami drogiemi bardzo, lancami, narzędziami, lekarstwami i amunicją zapaśną.

Jak skorośmy stanęli na lewym brzegu Dunaju, kazałem oddziałowi uszykować się i obliczyć. Znalazło się wszystkiego ludzi 213, podzielonych na trzy kompanje piechoty; oddział officerów nadkompletnych, do którego przydzieliłem cudzoziemców kilku i którego dowództwo powierzyłem kapitanowi Chevalier, officerowi wojsk francuzkich; oddział jazdy, składający się raptem z koni siedmiu. Do apelu przeto, potracając tych trzydziestu, których pasza przytrzymał, nie stanęło piętnastu. Nie spodziewałem się rezultatu takiego, po popłochu, jaki aresztowania sprawiły. Stałem na czele 213 bojowników. Było to za mało trochę na podbicie Mołdawii. Na przebicie się atoli przez pięciotysięczną siatkę wojsk rumuńskich, liczba ta wystarczała pod warunkiem, ażebym nie był przytrzymywany z tyłu, to jest, ażebym, jeżeli nie o dwa, to o jeden bodaj marsz wyścignął załogi gałacką i izmaiłowską, z których pierwsza znajdowała się przedemną nieco, zagrażając memu flankowi lewemu, druga za mną trochę, zagrażając prawemu. Niepokoił mnie szczególnie pułkownik Kalinesko, dowodzący w Izmaiłowie i otrzymujący

raporta z kuluków (strażnic pogranicznych), o któreśmy się ocierać musieli. Ten, gdyby był w porę o wkroczeniu naszym wiadomość otrzymał i po otrzymaniu onęj w godzin parę wyruszył, mógłby, mając pod nogami bity trakt, podczas kiedyśmy się przez oczerety darli, na noclegu nas wyprzedzić. Tegom się obawiał bardzo z powodu znużenia, jakiego doznał żołnierz w dniu tym pracowitym, po nocy bezsennęj. Pragnąłem dla niego spoczynku spokojnego. Losy udzieliły mu onego. Kalinesko ruszył dopiero po północy, z 12go na 13ty. Wydobyliśmy się przeto z oczeretów i przenocowali spokojnie naprzeciwko Isakczy, tuż obok traktu izmaïłowskiego, pod monasterem, postawionym przez Moskali na pamiątkę przejścia Dunaju w r. 1828. Czernce moskiewscy przyjęli nas uprzejmie i gościnnie; pchnęli wnet na noc całą dwóch gońców, jednego do Bolgradu, drugiego do Izmaïłowa, zawiadamiając o nas zarazem Moskali i Rumunów; gdyśmy się zaś o świcie z nimi rozstawali, przyjęli odemnie jałmużnę, a przełożony uroczyście pobłogosławił oddział nasz i zamiary nasze.

Gdybym był wylądował w tém miejscu, w którem noc spędziłem, wyprzedzenie pościgów rumuńskich i wymknięcie się onym, bez podwód może nawet, stawało się rzeczą prawdopodobną, jeżeli nie w odniesieniu do obydwóch, to do jednego przynajmniej, do izmaïłowskiego: wchodziłem bowiem pomiędzy dwa jeziora, z których jedno, Jałpuch, zmuszało Kalineskę maszerować albo na Bolgrad, albo na monaster moskiewski, to jest obchodzić linią krzywą, dwa razy dłuższą od prostęj, którą miałem przed sobą. Dodać do tego należy, iżby wyruszyć nie mógł o północy, z powodu wiadomości, któraby go była doszła później. Załoga wprawdzie gałacka, maszerując prawym brzegiem drugiego jeziora, Kagul, i rzeczki tegoż imienia, mogła mi być drogę zabiedz. To ostatnie jednak nie zatrzymywało mnie zbyt, raz dla tego, że się nie spodziewałem, dzięki niemożliwości, w jakiej znajdowali się Rumuni, ogołacania z wojska Gałacu; mieć do czynienia z siłami, o wiele od moich znaczniejszemi, powtórę dla

tego, że za mniej groźne uważałem ataki z przodu kolumn rumuńskich, które mogłem rozbijać i, nie ścigając wcale, pędem samym pochodu naszego naprzód, rozpraszać. Straszniejszemi, w mniemaniu mojem, były dla nas ataki z tyłu, albowiem, po rozbiciu nawet, nie byłem w stanie, ze względu na stratę czasu, zwracać się z drogi mojej wstecz, celem uzupełnienia zwycięstwa.

Dzięki błędowi, popełnionemu przezemnie, stało się to, co dla nas najstraszniejszém było. Na noclegu następnym, pod Etiulikiej, wsią, leżącą u wierzchowin jeziora Kagul, doścignął nas Kalinesko. Zawiadomili mnie o nim wieśniacy i żandarm, którego w nocy przytrzymały warty nasze obozowe. Noc wszelako przeszła nam spokojnie. Nazajutrz dopiero, o świcie, w chwili gdy obóz zdejmować kazał, zoczyłem, na otaczających wieś wyniosłościach, nieprzyjaciela, pod postacią flankierów, posuwających się szeregiem.

Zjawisko to rozwiązało mi kwestję, która przez dwa dni była dla mnie zagadkową, a mianowicie: jak względem nas postawi się rząd rumuński? — czy nastroi się do harmonii z Zachodem i opinią publiczną świata ucywilizowanego? — czyli téż, stanie po stronie Moskwy?...

Kalinesko, wyruszywszy z Izmaïłowa w nocy, z 12go na 13ty, mając do obejścia jezioro Jałpuch, musiałby, ażeby pod Etiulikiej doścignąć nas móżdż, maszerować tchem jednym resztę nocy 13go, dzień cały i noc całą z 13go na 14ty. Marszu podobnego piechota wytrzymaćby w stanie nie była. Ścigał nas przeto na wozach, co znaczyło, że miał zamiar, nie tylko ścigać, ale i doścignąć koniecznie. Stało się zatem dla mnie jasnym, że rząd rumuński postawił się względem nas po nieprzyjacielsku, po stronie Moskwy. Kalinesko spieszył po laury, łatwe, jak mu się wydawało, do zrywania, na czele całej załogi izmaïłowskiej, mając przed sobą garstkę, ludzi 213.

Zrozumiałem to od pierwszego na kawalerzystów rumuńskich spojrzenia i, jakkolwiek przygotowany byłem na ewentualność

podobną, doznałem przykrości zawodu. Miałem wyobrażenie lepsze o ludziach, na czele narodu rumuńskiego stojących, mia-
nowicie zaś o Kuzie samym. Przypuszczałem, że zdołają oni
zrozumieć i ocenić pobudki, w jakich działaliśmy, że potrafią
uszanować w nas patriotyzm. Przypuszczenie to było słabe i nie-
pewne; majaczyło mi się jednak w myśli i dla tego widok flan-
kierów rumuńskich przykreść mi sprawił.

Położenie nasze w chwili téj stało się krytyczném bardzo.
Na piętach mieliśmy Kalineskę, który atakować nas nie potrze-
bował wcale, a tylko, krok w krok za nami aż do Prutu postę-
pując, przeprawę uniemożliwić. Z przodu, albo z boku wyglądałem
załogi gałackiej; ta, piechotą nawet, miała już czasu dosyć dojść
na wysokość Etiulikiej. Zagrażało mi przeto jedno z dwóch:
albo zaatakowanym być na raz z przodu, z boku i z tyłu, albo
téz zostać przez siły połączone napadniętym u przeprawy. W razie
pierwszym porażka, wedle rachunków wszelkich możliwa, rzucała
nas na granicę rossyjską, w drugim — w nurty Prutu. Jedyna
zbawienia nadzieja polegała na marszu Kalineski, który żołnierzy
jego w dwóch jedna po drugiej nocach snu pozbawił. Racho-
wałem więc na to, że Kalinesko będzie musiał zatrzymać się
i spocząć, a wówczas, gdyby i przyszło do spotkania z załogą
gałacką, to rozprawa z nią samą będzie łatwiejszą.

Rachunek ten nie zawiódł mnie. Kalinesko zrobił wszystko,
co w mocy jego było, w celu pokazania mi, że silny jest i rze-
źwy; ścigać atoli nieodstępnie oddziału polskiego nie był w stanie.
W kolumnach zwiniętych przeszedł za nami Etiulikiej; za wsią,
w dolinie służącej za łożysko rzeczki Kahul, rozwinał się w szyk
bojowy i osłonił łańcuchem tyralierów; następnie wysłał parla-
mentarza, w osobie majora Skiletti, który zażądał odemnie dwóch
rzeczy: 1) ażeby się znajdujący w marszu pochodnym oddział
polski zatrzymał i, 2) ażeby dowódzca oddziału rozmówił się
z pułkownikiem Kalinesko osobiście. Żądanie pierwsze odrzu-
ciłem wręcz; na drugie przystałem jak najchętniej, umówiwszy

się, że spotkanie nastąpi we środku pomiędzy czołem kolumn rumuńskich a tylną oddziału polskiego strażą. Oddział więc pochodu nie zaprzestawał. Ja parlamentowałem.

W parlamentowaniu tém Kalinesko nie miał, jak się zdaje, celu innego, tylko zaspokojenie sumienia: czyż bowiem przypuszczać mógł, ażebym przystał na postawione przezeń żądanie, złożenia broni i powrócenia za Dunaj? Odpowiedziałem, że broni nie złożę, chyba zmuszony. — „Mam na to środki....“ — podchwycił Kalinesko, wskazując ręką na kolumny swoje. — „Próbuj, pułkowniku — odrzekłem — pomyśl atoli, co powie Europa na rozlanie krwi ludzi, spieszących na ratunek ojczyzny.“ — „Mam rozkazy; żołnierzem jestem....“ — „I ja żołnierz; i na mnie rozkaz wkłada obowiązek zaprowadzenia oddziału do Polski....“ — „Czemuż nie prosił rządu mego o swobodne przez Mołdawią przejście?...“ — zapytał. — „Bom był pewny odmowy....“ — odrzekłem. — „Będę więc was atakował....“ — „Pełń powinność swoją; ja pełnić będę moją....“ — Taką była w osnowie głównej pierwsza moja z Kalineskiem rozmowa. Spiałem ostrogami konia, do oddziału powróciłem i oznajmiłem żołnierzom, że mamy za sobą zamierzającego atakować nas nieprzyjaciela, który żąda, ażebyśmy broń złożyli i za Dunaj wracali. — „Oświadczyłem mu — zawołałem głośno — iż broń chyba wydrzeć sobie damy!...“ — „Niech żyje Polska!... niech żyje pułkownik!...“ — huknęli żołnierze w odpowiedź i zaczęli: „Jeszcze Polska nie zginęła.“ — Brzozowski oznajmił mi, że kompania jego postanowiła pójść przy okazji pierwszej, bez strzelania, na bagnety. Żołnierze i dowódca ich wywiązali się dzielnie z postanowienia tego.

Kalinesko posuwał się za nami w szyku bojowym nie długo. Zatrzymał się, przyzostał i niebawem z oczum go stracił. Zatrzymać się mógł dla racji jednej z dwóch: albo dla tego, ażeby na podwody wsiąść i ścigać nas dalej, albo téż dla wypoczynku. Przypuszczałem raczej to ostatnie i troszczyłem się już nie o Kalineskę, ale o Manu, o kolumnę gałacką, dla zrekonoskowania

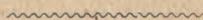
której, w braku kawalerji, podjazdu nawet wysłać nie mogłem. Oslaniałem jeno, jak mogłem, lewy flank; badałem ustawicznie horyzont południowy przez szkła i pospieszałem. Na pospiechu polegało wszystko.

Ochota i zapał cuda tworzą; nie są atoli w stanie zaradzić znużeniu, gdy takowe nadmiarem siły fizyczne przeciąża — gdy słońce lipcowe pali, pot ciało oblewa i nogi zbolałe służby odmawiają. W dniu 12go Lipca, od północy do zmroku, zrobiliśmy mil sześć; 13go od świtu do wieczora, nie zdołaliśmy ująć więcej jak pięć; 14go przed południem doścignęliśmy dużej wsi, Wołkaneszty, po przejściu której zatrzymałem oddział na spoczynek, który w otwartém wypadł polu. Żołnierze ze znużenia upadali. Spoczywaliśmy krótko i ruszyli dalej traktem, z którego, minawszy Hreczeni, sprowadziłem oddział nagle w prawo na bezdroże. Rozlegają się w miejscu tém stepy obszerne, wydymające się w wypukłość, stanowiącą podział wód rzeczki Kagul i rzeczki Mała Salcza. Z doliny pierwszej przeprowadziłem oddział w dolinę drugiej i zatrzymałem na noc w Mussaidzie. Uczyniłem to dla dwóch powodów — raz dla tego, ażeby uniknąć spotkania z kolumną gałacką, której wyglądałem ze strony lewej i o której wiadomości nie miałem żadnej, powtórę dla tego, ażeby, wprowadzając w błąd Kalineskę, co do istoty zamiarów moich, ostudzić w nim nieco zapał w ściganiu. Zwrot ku Mussaidzie znaczył zwrócenie się ku granicy moskiewskiej — zbliżenie się do takowej na odległość trzech ćwierci mili. Manerw ten powiódł mi się jak najzupełniej. Kolumny nieprzyjacielskie, izmaïłowska i gałacka, miały wprawdzie całkowitą do połączenia się swobodę, lecz przeszkodzić temu w żaden nie mogłem sposób. Znikłem Kalinesce z oczów — nie wiedział, gdzie się podział: szukał mnie przez noc całą. Zyskiwałem spokój chwilowy i obliczałem, że połączenie załóg, uwalniając mnie od obawy ataku z przodu lub z boku, wprawi jeszcze kolumnę ścigającą w ociężałość, która pozwoli mi z oszczędnością większą obchodzić się z siłami żołnierza.

W Mussaidzie spoczęliśmy spokojnie. Spoczynek pokrzepił siły, niestety jednak, snem tylko. Żywność zapaśna wyszła; świeżej zaś za grube nawet pieniądze dostać nie było można. Do Mussaidy mieszkańcy sprzedawali nam prowizję chętnie i odnosili się do nas przyjaźnie i uprzejmie; udzielali nam pomocy nawet; nabyliśmy u nich wozów trzy z końmi i uprzężą, nie przepłacając za takowe. Prawda, że oddział zachowywał karność jak najsurowszą; nikt nadużycia nie popełnił najmniejszego. Za wszystko płaciliśmy gotówką, wedle ceny umówionej i, wychodząc, zostawialiśmy upominek na szkołę lub cerkiew. Dostarczano też nam z ochotą wszystkiego. W Mussaidzie pierwszej doznaliśmy przyjęcia złego. Mieszkańcy, nastraszeni rozesłaniami po Mołdawii całej z Bukaresztu telegrafem wiadomościami o wkroczeniu „bandy złoczyńców i rozbójników z Turcji,“ uciekli przed nami, zostawiając wieś pustką. Przewłocki, Zima i furjer napróżno kręcili się i kołatali 14go wieczorem i 15go rano — ani chleba, ani mięsa wykołatać nie mogli. Ledwie nieledwie dostali trochę mąki kukurudzianej, z której atoli zrobić mamałygę czasu już nie było. Wysłany podjazd doniósł mi o nieprzyjacielu. Natknął się on na podjazd Kalineski. Nie wątpiłem, że za nim ciągnie kolumna. Kazałem więc niezwłocznie obóz zdjąć i ruszyłem dalej z postanowieniem powstrzymania pościgu bitwą. Ten mi już jeden tylko pozostawał sposób, a po nim pozostawała mi jedna jeszcze nadzieja: podwody na prawym brzegu Prutu. Podwody — deska zbawienia, na której wypłynąć jeszcze mogła polityczna wyprawy naszej doniosłość. Dla pochwylenia się atoli deski téj, potrzebowałem zwycięstwa, bez którego przeprawa przez Prut niemożliwą się stawała.

Zwróciwszy się do Mussaidy, zeszedłem z drogi pocztowej na Kahul do Goteszt prowadzącej i wszedłem na drogę poboczną do tamtéj równoległą, którą, biorąc się prawém ramieniem naprzód, dochodziło się do Goteszt wprost — trzeba jeno było trzymać się doliny Salczy aż do pierwszego onéj prawobrzeżnego przytoku, źródło którego znajduje się w odległości jednomilowej od

koryta Prutu. Marsz w kierunku tym musiałem zamaskować, a nie miałem na to sposobu innego, tylko, nie dochodząc do punktu, w którym się on zdeklarować miał, odpędzić pościg rumuński i następnie w taki się mu wymknąć sposób, ażeby się domyślić od razu nie zdołał, w którą udałem się stronę. Radziłem się dobrej mapy sztabu głównego moskiewskiego, w którą mnie zaopatrzył Jan Dobrzański we Lwowie. Mapa owa wskazywała mi na przyjęcie bitwy dolinę Salczy, na przestrzeni pomiędzy Mussaidą a miejscowością, naznaczoną pod nazwą Kazdamgalja Mała. Chodziło jeno o wybranie pozycji, w którejbym się mógł zatrzymać i frontem w tył ku przeciwnikowi zwrócić. Marszerując wypatrywałem miejscowość odpowiednią. Znalezienie takowej nie było rzeczą łatwą, ze względu na szczupłość sił, jakimi rozporządzałem i na to, żem się spodziewał mieć do czynienia z przeciwnikiem, wzmocnionym załogą gałacką. Trudny więc w wyborze byłem. Mijałem pozycje mniej więcej przydatne; mijałem karczemki, w których Przewłocki skupował wiktuały, jakie znalazł (bułki, obwarzanki, mąkę kukurudzianą, sól); minąłem wioskę Karpaul; minąłem w końcu karczemkę, leżącą obok wąwozu i, w odległości kilometrów paru za tą ostatnią, zatrzymałem oddział nieopodal od folwarku, zaznaczonego na mapie moskiewskiej, jak wyżej (Kazdamgalja Mała), a zwanego przez Rumunów Kostangalja Baženari. Folwark ten leży o kilkaset sążni powyżej ujścia do Salczy rzeczutki, wpadającej do niej ze strony prawej, w widłach dróg, rozchodzących się pod kątem ostrym, jedna w dolinę Salczy, druga w dolinę rzeczutki. Kazałem oddziałowi stanąć, uszykować się frontem w tył i broń w kozły złożyć.



VI.

Bitwa pod Kostangalją.

Zanim przystąpię do opisu bitwy pod Kostangalją, będącej jednym z najświetniejszych oręża polskiego czynów, zwrócę się nieco wstecz i powtórzę historją wyprawy wedle źródeł nieprzyjacielskich, zawierających się w raportach i rozkazach urzędowych, w czasie swoim przez dzienniki opublikowanych. Raporty owe i rozkazy powtórzę dosłownie, w tłumaczeniu literalném, z przyłączeniem uwag objaśniających gazety półoficjalnej „Bu c i u m u l u.“ Szereg onych rozpoczyna depesza telegraficzna pułkownika Kalineski do ministra wojny, generała-majora Floreski.

= Ismail 30 (12) Lipca 1863 r. — Panie ministrze wojny. Dwie kompanje Polaków przeszły w téj chwili Dunaj pod Rypede. Zabrałem ludzi, jakich mam i ruszam za nimi. (Podp.) Pułkownik Kalinesko.

(U w a g a d z i e n n i k a.) Gdy atoli pułkownik Kalinesko przybył na punkt, w którym wkroczyli cudzoziemcy ci (których nazywać będziemy Polakami), oni poszli naprzód wewnątrz kraju, zatrzymawszy się nieco w Terraponta i przeszedłszy przez wieś Satulnou.

Oto we względzie tym raport prefekta izmailskiego:

= Ismail 30 (12) Lipca 1863 r. — P. ministrze wojny. Według wiadomości od pułkownika Kalineski, Polacy ruszyli przez Satulnou. Pułkownik Kalinesko z dwoma kompanjami stoi w Rypede, podejrzewając, że téj nocy będzie ich może więcej przechodziło jeszcze. Reszta wojska ochrania miasto. Proszę, rozkaż prędko, jakie przedsięwziąć się mają środki. (Podp.) Pułkownik Sterjad e.

(U w. d z i e n.) Rząd natychmiast poczynił rozporządzenia, tak co do ścigania tych co przeszli, jak co do wstrzymania tych, coby przejść

próbować chcieć; generał-major przesłał dowódczom garnizonów w Reni i w Gałacu rozkaz następujący:

= Do dowódcy kompanji w Reni. — Zbierz natychmiast ludzi wszystkich, jakich w kompanji masz i ruszaj do Satulnou. Dowiedz się w którą udało się stronę wojsko zbrojne, co naprzeciw pikiety Nr. 14 Dunaj przekroczyło; zajdź mu z przodu i zmusz do złożenia broni, gdyby się zaś sprzeciwiało, siłą je rozbrój i przyaresztuj. — Dowiedz się także o ruchach pułkownika Kalineski, który do Satulnou ruszył, porozumie się, gdybyś się zaś dowiedział o bandy liczebnej przewadze wielkiej, nie atakuj jęj, tylko w połączeniu z płk. Kalineską. Telegrafuj mi natychmiast, o której ruszasz godzinie i jakie o wypadku tym wiadomości masz. Nr. 349. (Podp.) Minister wojny, generał-major F l o r e s k u.

(U w. d z i e n.) Płk. Kalinesko, nie mogąc Pałaków znaleźć, skierował się ku Satulnou, stosownie do rozkazu następującego, który na ręce prefekta izmailskiego od rządu otrzymał.

= Do płk. Kalineski w Izmaile. — Stosownie do ilości ludzi, którymi rozporządzasz, weź przed się środki jak najbardziej stanowcze, celem wstrzymania przejścia Polaków. Spotkawszy się z nimi, wezwij do złożenia broni. W razie oporu orężem rozpeczę. — W porozumieniu z płk. Steriade obserwuj miejsca, w których prawdopodobnie przechodzić jeszcze mogą i weź przed się środki, ażeby ci się nie wymknęli. Nie zaszkoździ zalecić ci nie rozdrabianie wojska i szczególną o żołnierzy troskliwość. Nie posyłaj już kompanji do Gałacu. Nr. 357. (Podp.) Generał-major.

(U w. d z i e n.) Otóż i raport prefekta izmailskiego do ministra:

= Izmań 1 (13) Lipca 1863 r. — Panie ministrze wojny. — Po otrzymaniu telegramu ruszyłem natychmiast do pikietu Nr. 14, odległego od Izmań wiorst 19, od Satulnou 24, przy którym to pikiecie, jak świadczą żołnierze z pikietu, wylądowało z parowca ottomańskiego Polaków 400 i ruszyli do Satulnou. Przy pikiecie tym znalazłem płk. Kalineskę z 2. kompanjami, zakomunikowałem mu rozkaz pański, poczem ten, wykonując takowy, natychmiast do Satulnou ruszył. Lada chwila oczekuję od pułkownika wiadomości, ażeby przedstawić panu wyjaśnienia stosowne.

(U w. d z i e n.) W czasie tym pisze rząd do płk. Manu, w Gałacu, ażeby do Reni ruszyło dwie kompanje.

= Do płk. Manu, w Gałacu. — Wypraw natychmiast dwie kompanje do Reni, żądając w razie potrzeby pomocy od bataljonu w Braile. Dwóch tych kompanji dowództwo powierz officerowi jednemu z najstarszych i doświadczonemu. Jakabykolwiek przez ziemię naszą przechodziła banda ludzi zbrojnych, niech wzywa ją do złożenia broni; w razie oporu niech siłą rozpeczę. Wejść natychmiast w stosunki z pułkownikami Kalinesko i Steriade, celem stawienia czoła wypadkowi wszelakiemu, którego ztąd (z Bukaresztu) przewidzieć nie mogę; mogę ci powiedzieć jeno, że banda zbrojna przeszła przez Izmań i ruszyła przez Satulnou. Należałoby przeciąć jęj drogę, ażeby po ziemi naszej iść naprzód nie mogła. Porozum się z prefektem gałackim we względzie informacji wszelkich, jakichby ten potrzebował. Nr. 358. (Podp.) Generał-major.

(U w. d z i e n.) W końcu, gdy do płk. Steriade doszła o marszu płk. Kalineski wiadomość, posyła do rządu co następuje:

— Izmail 1 (13) Lipca 1863 r. — Do p. generał-majora Floreski. — P. płk. Kalinesku, przybywszy z wojskiem do Satulnou, nie zastał tam z Polaków nikogo; poszli byli do wsi Barta, a ztamtąd udali się do Kartalu, oddalonego od Reni o godzin dwie. — Płk. Kalinesku pisze mi, iż potrzebował w Satulnou pozostać z wojskiem około 4 godzin, dla wypoczynku i posiłku, poczem udał się do Kartalu naprzeciw Polakom, przypuszczając, że do wieczora znajdzie ich i spełni rozkazy pańskie. Uwiadamia mnie zarazem, że ilość Polaków wynosi ludzi 300, pod dow. płk. Miłkowskiego; żołnierz każdy posiada karabin i rewolwer, broń angielska. Tyle dla wiadomości pańskiej, póki nie otrzymam relacyj innych, których nie omieszkać panu udzielić natychmiast. (Podp.) Pułkownik Steriade.

(U w. d z i e n.) Otóż i depesza płk. Duki z Kahulu:

— Kahul 2 (14) Lipca 1863 r. — Panie generał-majorze Floresku. — Komendant żandarmów z Bolgradu, któremu poruczyłem dowiedzenie się o ruchach Polaków, co territorium rumuńskie zbrojną podeptali ręką, donosi, że tych 250 Polaków, którzy są uzbrojeni dobrze, wylądowało z trzech parowców i że dwa inne parowce, pełne są emigrantów podobnych. Ci 250 znajdują się obecnie we wsi Itulia i idzie za nimi p. Kalinesku do Wołkaneszt. Zdaje się, że chcą oni sforsować przejście do Rossji pomiędzy Bolgradem a Kahulem. Zbytecznémby nie było, gdyby tam przyszła piechota z Jass, w celu przeszkodzenia bandom tym, przez nasze lub rossyjskie wojska rozpędzonym, rozpraszania się po kraju w okolicach miejscowościom tym przyległych. (Podp.) płk. D u k a.

(U w. d z i e n.) Skutkiem depeszy téj i innéj od prefekta izmailskiego, donoszącéj, że na Dunaju znajdują się jeszcze Polacy, co wylądować chcą, generał-major daje p. płk. Steriade rozkaz następujący:

— Do płk. Steriade, w Izmaile. — 800 ludzi przejść nie może od razu, dowodem tego przejście wojsk pierwszych; jakimby wszelako nie był skutek spotkania, żądaj złożenia broni i w razie oporu siłą rozpędz. — Jakąby nie była ilość ich, byłoby dla nas wstydem, gdybyśmy pozwolili bandom zbrojnym deptać ziemię naszą bez przejścia pierwéj po trupach naszych. Nr. 360. (Podp.) Generał-major.

(U w. d z i e n.) Oto inna depesza p. pułkownika Kalineski z Bolgradu.

— Bolgrad 2 (14) Lipca 1863 r. — Panie ministrze wojny. — Idę za nimi. — Zatrzymać ich nie sposób bez jazdy; gdybym miał 60—80 jeźdźców przynajmniej, nie pozostałby ani jeden. Kierują się na Leowę, chcąc iść przez kraj aż do Michalen. Jak widzę, nie chcą tu do Rossji wejść; celem ich, według informacyj powziętych, nie może być co innego, tylko nadzieja powiększenia korpusu Polakami, osiadłymi w Jassach i w górnej części Mołdawii, zwłaszcza w Botuszanach i innych miastach. — Gdybyśmy do Leowy ich nie doścignęli, wiedz, panie ministrze, że o półtory poczty ztamtąd wejdą w lasy wielkie obwodów Falezi i Jassy,

jeżeli nie spotka ich wojsko z Jass przy mogile Rabai, lub na drodze leowskiej, w celu wzięcia ich we dwa ognie. Maszerują nadzwyczajnie szybko. Zechce rozkazać pułkowi Nr. 1, ażeby wysłał naprzeciwko nich dwie kompanie drogą Tomeshti wzdłuż Prutu; dwie te kompanie potrzeba, ażeby koniecznie znajdowały się 4go Lipca przy mogile Rabai. — Proszę o rozkaz przysłania mi 80 jeźdźców, ażeby mógł rozkazy spełnić szybko i uwolnić wojsko od znużenia, jakiemu podlega od samego tylko ścigania. Depeszę tę piszę we wsi Wołkaneshti, 2go Czerwca, o 7. po południu. (Podp.) płk. Kalinesko.

Uwaga autora: O godzinie téj znajdowaliśmy się w stepie, dążąc ku Mussaidzie; Kalinesko dostawał jazdę w ilości żądanej i łączył się z piechotą z Reni i Gałacu.

(Uw. dzien.) Jeszcze depesza szczegółowa o marszu wojsk naszych i bitwie pod Kostangalją.

— Bolgrad 3 (15) Lipca 1863 r. — Panie ministrze wojny. — Komunikuję panu objaśnienia, udzielone przez płk. Kalineskę. „Ruszyłem z Izmailowa w niedzielę o 11tej godz. wieczorem z 280 ludzi starych i 150 rekrutów, prowadzę ich naprzód za nimi (tj. Polakami) tam gdzie przeszli i siedłem za nimi aż do monasteru Distanta. Przybyłem tam z wojskiem o 9tej marszem forsownym. Dowiedziałem się, że nocowali tam i poszli dalej o godzin 6 przed przybyciem naszym. Wyprzedzali nas o 2½ poczty. Zmuszony byłem zatrzymać się godzin 3 dla dania ludziom wypoczynku i pożywienia, podczas czego powziąłem wiadomość, że nie znajdują się dalej jak o pocztę jedną (mil 2½). Ruszyłem naprzód, myśląc, że ich doścignę; dochodząc zaś do Karagacz, liczyłem na to, że zastanę tam i owe dwie kompanie pułku Nr. 5, na pomoc mi wysłane, którym dałem rozkaz udania się z Reni wprost do Karagacz, gdzie znajdują się Polacy, dla przecięcia im drogi z przodu przez Itulję; ja zaś zamierzałem zająć im z tyłu i zmusić do złożenia broni, lub, w razie sprzeciwiania się z ich strony, zrobienia tak, ażeby broń złożyli. — Kompanje nie doszły jeszcze i o 5 po południu od ludzi, którzy ich (Polaków) śledzili dowiedziałem się, że poszli naprzód. Poforsowałem marszem, dla dojścia do Karagaczu rychlej i wysłania ludzi w ślad za Polakami, celem rozpoznania miejsca, w którym spoczywali; zrobiłem 82 wiorsty w 24 godzinach, co czyni 4 duże poczty. Od wysłańców doszły mnie wiadomości, że znajdują się w odległości pół poczty tylko, nie mogłem jednak iść naprzód, potrzebując odpoczynku i posiłku, zatrzymałem się w zamiarze ruszenia, po przybyciu kompanji z Gałacu, naprzód o godzin 2 i zastania ich w Itulji śpiących jeszcze. Otrzymawszy wszelako od gońca, któremu naprzeciwko kompanji wysłał, wiadomość, że te znajdują się o pół poczty, lecz iść nie mogą z powodu znużenia wielkiego ludzi, zebrałem we wsi wozów 40 i posłałem takowe w celu przywiezienia kompanji; zanim zaś takowe przybyły, zebrałem jeszcze wozów 60 dla wsadzenia na nie znużonych z pułku Nr. 3, w tym celu, ażeby tym sposobem móżdż przędź

ujść tych wiorst 7 i przystąpić do nich bliżej. Przybyłem o 4½ rano nad wieś, gdzie, wysławszy officera z 10 żandarmami, których miałem, ażeby ku wsi poszedł i dowiedział się, czy Polacy wyszli, z wojskiem stanąłem w pogotowiu, w celu ruszenia w marsz wnet po otrzymaniu wiadomości. Wysłaniec oznajmił mi za powrotem, iż we wsi jeszcze są, lecz w chwili téj ruszają. Natychmiast poszedłem naprzód, wysyłając kompanję jedną w tyraljery, a inne wojska w ściśniętych trzymając kolumnach i spuszczać się w dół do wsi, poczyniłem rozporządzenia potrzebne wszystkie, celem zatrzymania ich, albo doścignięcia o tyle, ażeby widnemi im były znaki, jakie dawać chciałem w celu parlamentowania z naczelnikiem. Gdy tyraljery doszli do nich na wiorst pięć, gdym wysłał kompanję na podtrzymanie i poforsował marsz tyralierów, zbliżyłem się do nich na wiorst 3. Na znaki chustką nie odpowiedzieli. W tém, naśladowując ruchy moje, zatrzymawszy wojsko i wysławszy tyralierów w tył, podjechał do mnie pułkownik oddziału, Miłkowski, któremu przedstawiłem, ażeby broń złożył i za Dunaj powrócił, przyrzekając słowem honoru, że żadnemu z nich nic złego się nie stanie. Odpowiedzią jego było, że nie tylko broni nie złoży, ale z bronią nawet za Dunaj nie wróci, chcą bowiem przejść granicę rossyjską, spiesząc na pomoc Polakom za wolność ojczyzny walczącym. Prosiłem go wówczas dwukrotnie jeszcze, mówiąc, że z przykrością wielką wzbronić im będę musiał za bądź jaką cenę przejścia granicy. Na to odpowiedział, że nie pragnął nigdy bić się przeciwko wojskom rumuńskim i zrobił wszystko celem uniknięcia tego, maszerując dosyć szybko, jednakże pomimo to zmuszonym jest mimo woli przyjąć bój, nie oddadzą się bowiem inaczej, jak po śmierci. Odrzekłem, że i ja mam postanowienie także silne granicę od Rossji zejść i za Dunaj ich zawrócić. Widzi on, że się zahazardował zbyt, przynajmniej jednak o fakcie tym wiedzieć będzie Europa cała. Gdy się oddalił, dał natychmiast rozkaz ruszania naprzód, jakoteż i ja ścigania go. W odległości téj szedłem za nim wiorst 2 około. Ludzie ich atoli, ubrani lekko w bluzy, niosąc ładunki w kieszeniach, uzbrojeni w rewolwery o sześciu strzałach i w karabiny, oddalali się coraz to bardziej. Szedłem za nimi aż do wsi Hadzi-Abdulu, w odległości 7 wiorst tylko, gdy na wioście trzeciój ludzie moi ze znużenia pozostawać poczęli. Widząc ich w stanie tym, zmuszony byłem zatrzymać się, celem dania im czasu godzin 4—5 przynajmniej na odpoczynek i posiłek; ruszę natychmiast za Polakami, którzy, według wiadomości otrzymanych, oddaleni są nie więcej jak na pół poczty. Niepodobieństwem jest wszelako powstrzymać cofające się wojsko i zmusić je do przyjęcia bitwy, nie mając jazdy: gdybym posiadał przynajmniej koni 40, zaręczam, iżbym ich zniósł co do nogi, tém pewniej, że znajdowali się w polu otwartém, lecz nie mogłem ich zmusić do tego nawet, ażeby się zatrzymali i w oczy nam spojrzeli — idą szybko marszem forsownym, w czém pomaga im i lekkość ubrania i niebezpieczeństwo postępujące za nimi bardzo zbliżka. Gdybym miał nieszczęście dziś wieczorem lub przynajmniej jutro rano w walkę ich na serjo wciągnąć nie mógł, będę za nimi szedł zbliżka, póki do Rossji nie wkroczą, mając

zawsze nadzieję, iż, gdy ztamtąd wyrzuceni zostaną, będę mógł naprzeciw nim stanąć i rozkazy, jakie mam, spełnić. Co się dziś wieczorem lub jutro rano zdarzy, zawiadomię o tém pana, dla zakomunikowania panu ministrowi. W wojsku entuzjazm wielki, aż do żołnierza ostatniego. Myślę, że gdy będziemy mieli szczęście zawiązania z Polakami walki, rzeź będzie piekielna. (Podp.) Prefekt P a n a j o t e s k u.“

Uwaga autora: Depesza powyższa odnosi się do sprawozdania Kalineski z daty o dzień jeden wcześniejszej.

(U w. d z i e n.) Potém następujące otrzymał pan Kalinesko instrukcje:

= Do płk. Kalineski w Bolgradzie. — Nie chciałem dawać instrukcyj szczegółowych, zostawiając ci swobodę sądu o okolicznościach miejscowych; zmuszony jednak jestem powiedzieć ci, że w chwili, jak dostałeś odpowiedź odmowną, nie powinienes był, powołanym będąc do wykonania prawa o nietykalności ziemi naszej, pozwolić im oddalić się, męcząc wojsko daremnie. Należało Miłkowskiemu pozwolić powrócić do wojska swego i, w chwili téj, tornistry zrzucić i w małych kolumnach zaatakować ich ze stron wszystkich, odkrywając najprzód ogień, lecz potém wierząc w bagnet tylko. — Położenie Polaków krytyczném jest nadzwyczajnie, dla tego jeno, że ścigani są; nie rozumiem, dla czego czekasz, aż ci czoło postawią, gdy sam powiadasz, że mają broń celną. Niech cię nie obchodzi, co się w Rossji zdarzyć może, my nie możemy mieć celu innego, jak bronić nietykalności ziemi naszej. Z Bolgradu i Kahulu przyjdą ci żandarmi konni. Ścigaj energiczniej. Gdybyś do Kahulu nie osiągnął rezultatu żadnego, wracaj do Bolgradu, gdzie rozkazy dostaniesz. Nr. 368. (Podp.) Generał-major.

(U w. d z i e n.) Depesza następna posłana została do płk. Duki dla wręczenia płk. Kalinesce.

= Do płk. Duki w Kahulu — Pokaż depeszę tę płk. Kalinesce. Niech się z wojskiem zatrzyma w Kahulu, gdzie rozkazy dostanie. Weź przed się co najrychlej środki, przy pomocy żandarmów najczynniejszych, celem śledzenia Polaków i uwiadomiania mnie regularnie o ruchach ich; jakoż o tém, czy i w którym punkcie do Rossji wkroczyli. — Celem naszym jest przeszkodzić im w przejściu przez Prut. Zwracaj bacność szczególną na Prut aż do granicy rossyjskiej,znaczając posterunki obserwacyjne i pilnując podróżnego każdego. Wojska z Jass dostały rozkaz iść do Leowy. Nr. 370. (Podp.) Generał-major.

= Do płk. Kalineski, w Kahulu. — Suchary, które z Gałacu otrzymasz, używać się mają tylko w razie potrzeby absolutnej. Porozum się z p. prefektem, co do prowizji wszelkiego rodzaju, o ludziach zostających mój staranie. W Kahulu lub Gałacu infirmerję załóż, żądając w razie potrzeby pomocy medycznej w Gałacu lub w Izmailu. Powtarzam to, co zapowiedziałem ci przez płk. Dukę: jedynym celem naszym jest wzbronienie bandom zbrojnym rozpraszania się po kraju naszym, od czasu zatém, jakby takowe przekroczyły granicę rossyjską, byłoby błędem,

gdybyśmy i my się na granicy téj rozpraszali. Ogranicz się na pilnowaniu koryta Prutu, uwiadamiając mnie o wszelkich poczynionych dyspozycjach. Sledźcie Polaków, w porozumieniu z prefektem i plk. Duką, za pomocą ludzi czynnych i wiarogodnych, ażebyśmy od stacji do stacji wiedzieli, w którym znajdują się miejscu. Możesz eszelonami postawić się aż do Leowy, gdzie przyjdzie bataljon jeden pułku Nr. I. — W marszu ludzie niech mają w manierkach część jedną wina i dwie wody. Zawiadamiaj mnie jak najczęściej o zdarzeniu każdym. — Na wypadek wszelki spotkania z Polakami parlamentuj na podstawach depeszy mojej do Izmaila, przedstawiając im jasno, że jakkolwiek prawem są uczucia ich, tolerować nie możemy deptania ziemi naszej zbrojną ręką, że zatem, niech nie próbują przekraczania Prutu, albo, jeżeli wejść chcą wewnątrz kraju, niech pierwój broń złożą, gdyż tym tylko sposobem uniknąć się może rozlew krwi, nad którym my pierwsi ubolewać będziemy. Nr. 372. (Podp.) Generał-major.

— Do plk. Kalineski, w Kahulu. — Oczekuję z niecierpliwością relacji o walce. Weź przed się środki najlepsze w celu podtrzymania honoru pułku. Manewruj w taki sposób, ażeby bądź co bądź przeszkodzić przejściu Prutu od Kahulu do Leowy, gdzie przyjdzie na pomoc bataljon jeden pułku pierwszego. Zrekognoskujcie, gdzie Prut przejść można i tam ufortyfikujcie się szczególnie. Zniweczcie energicznie pokuszenia wszelkie przejścia Prutu. Nr. 375. (Podp.) Generał-major.

(U w. d z i e n.) W skutek tego przyszedł od plk. Kalineski następujący raport telegraficzny:

— Kahul 4 (16) Lipca 1863 r. — Panie generał-majorze Floresku. Ruszyłem 3 (15) Lipca z Gawanosa, w celu przecięcia Polakom drogi przed Mussaidę, gdzie biwakowali. Operacja ta nie powiodła się z powodu gruntu, który przypadkowościowym będąc i połamanym, przeszkadzał kolumnie maszerować. Udało mi się jednak doścignąć ich na odległości trzech wiorst, czyniących 1,500 sążni. Szedłem za nimi, przechodząc przez wieś Karbalja, aż do wsi Kostangalja-Baženari. Tam zaprezentowali mi się dwaj jeźdźce ze sztandarem białym, żądając, ażebym zezwolił im na spoczynek kilkugodzinny, którego odmówilem, prosząc jak poprzednio, ażeby broń złożyli. Potém natychmiast pluton w tyraljery rozsypałem, ponieważ grunt przedstawiał wielkie dla ataku podobnego korzyści. Polacy sformowali się w 4 kolumny, jedna podwójna we środku, dwie na skrzydłach, pocém tyraljerów rozsypali. Wojsko moje sporządziłem podobnie w trzy kolumny i w rezerwę, złożoną z rekrutów wszystkich, którzy jak wiecie, są liczni. Kolumna lewa pod dowództwem majora Saegiu, środkowa majora Skeleti, prawa majora Sterian; rezerwa pod bezpośredniem dowództwem mojem, postawiona za środkiem linii bojowej. Gdy tyraljerzy zbliżyli się do środka Polaków, rozpoczęli ogień, na który nieprzyjaciół odpowiedział z celnością podziwu godną, był bowiem uzbrojonym dobrze. Widząc, że wojsko moje niższém jest pod względem broni, że według świadectwa officerów pułku Nr. 5 kule po wystrzałach 4—5 w lufy nie wchodzą; widząc, że łańcuch tyraljerski idący

szybko naprzód zeszedł się ze strzelcami polskimi — poczynilem na skrzydle prawem rozporządzenia, celem ruszenia na nich kolumn i zadania im ciosu stanowczego. — W chwili téj spostrzegłem, że kolumna od lewego skrzydła, dowodzona przez majora Saegiu, cofa się bez rozkazu i nawet sygnał do odwrotu słyszeć się dał ze skrzydła tego. Wówczas kolumny środkowa i prawoskrzydłowa, które już zwolna posuwały się naprzód ku łańcuchowi, sygnału posłuchały i cofnęły się. Zmuszony byłem, z powodu niegodnego majora Saegiu postępku, zgromadzić pułk na wzgórzu i, nie mogąc zadać ciosu stanowczego, rozstrzygnąć bitwę ogniem tyraljerskim, którym ją rozpocząłem. — Bitwa rozpoczęła się o 11tej, skończyła się o 2giej po południu. Po zgromadzeniu pułku, widząc broni niekorzyść wielką, nie chciałem wojska wystawiać więcej na walkę podobną, mając zaś zabitych i rannych, potrzebowałem zabrać ich i dać pomoc potrzebną. — Strata nasza była, officerów trzech; a mianowicie, kap. Roszka, poruczn. Roszka i podporuczn. Roszka, wszyscy trzej ciężko ranni; ze stopni niższych, 18 zabitych i 45 rannych, z których 24 ciężko. Straty Polaków, 16 zabitych, pomiędzy którymi jeden major i jeden kapitan, dwóch zaś officerów ciężko rannych; ze stopni niższych mają 31 rannych, z tych 12 ciężko, których proponowali mi, ażebym przyjął do szpitalów naszych, gdyż z sobą wziąć ich nie mogą. Prośbie téj, natury takiéj, że jéj odmówić nie można, uczynilem zadość. Zabici pogrzebani zostali z całą ceremonją przepisową; rannych zaś posłałem na wozach do Izmaila. Majora Saegiu zasuspendowałem, powierając tymczasowo dowództwo kapitanowi Opreanu, jako najstarszemu stopniem. Lekarzom brak wszystkiego; z tém wszystkim Dr. Rawesku zasługuje na podziękowanie za postępowanie energiczne. W wyżywieniu ludzi spotykam trudności wielkie, opóźniające marsz o godzin 56, od których wszystko zależy. Winien jestem przedstawić ci, panie ministrze, że stopnie wszystkie dowiodły waleczności, zasługującej na pochwałę całą, zwłaszcza zaś pp. officerowie w ogólności. Za Polakami pójdę śladem, o wiorst 5—6 i, jak skoro okazją znajdę, natychmiast ich zaatakuję. W raporcie specjalnym przeszlę szczegóły obszerne. — Depeszę tę pisałem o II. w nocy, 3 (15) Lipca 1863 r. (Podp.) Pułkownik-adjutant Kalinesku.

Depesze rumuńskie, jak widać z numerów na rozkazach ministerjalnych, nie wszystkie opublikowane zostały; te zaś, które według Buciumulu powtórzyłem, zawierają w sobie nieumyślnych i umyślnych zboczeń od prawdy sporo. Spotkanie np. pod Etiulikiej przedstawioném jest całkowicie fałszywie. Opisałem je jak się odbyło. Co się tyczy racji, dla której Kalinesku na drodze z Mussaidy na przełaj nam nie zaszedł, takowa odnosiła się do wozów, dla których drogi trzymać się musiał. Czytając

zaś raport o bitwie pod Kostangalją, zdaje się, że na sygnał dany, kolumny rumuńskie zrobiły na lewo w tył i, pod ogniem naszym, cofnęły się, niby na placu parady. Tymczasem, była to ucieczka w rozsypce, ucieczka zapamiętała, w której żołnierze, dla ulżenia sobie, broń i ładownice ciskali. Ucieczka ta ogarnęła i wozy. Kalinesko nie wspomina, ani o stosunku sił, ani o tém, kto panem pobojowiska został, ani kto i jakie trofea zdobył. Luki te w raporcie jego dopełnię opowiadaniem następującem, poprawiając zarazem niedokładności niektóre.

Stanąwszy pod Kostangalją, wykomenderować kazałem natychmiast ludzi do gotowania jedzenia, żołnierzy zaś uszykowałem przed zarośniętym wierzbami płotem ogrodu, który stanowił główną pozycję moją podstawę. W potrzebie, mogłem się tam schronić i bronić, jak z reduty. Był to kwadrat rowem i wierzbowym żywopłotem otoczony, położony w dolinie wśród lekko z jednej i drugiej strony wznoszących się pochyłości. Przez dolinę na prawo — kiedy stanąłem frontem w tył — od pozycji naszej, przechodziła droga do Mussaidy, na lewo przebiegała rzeczka, wpadająca o jakich tysiąc paręset sążni przed frontem oddziału polskiego do Małej Salczy. Dolina tej ostatniej z doliną rzeczki formują kąt ostry, w który wciska się wzgórze strome, maskujące z punktu ogrodu dolinę Salczy. Naprzeciwko zejścia się strumieni tych, po drugiej stronie doliny, wyźłobia się parów głęboki, ukośnie w górę idący, a równoległy do załomów gruntu, przedstawiających się na pochyłości, wznoszącej się na naszym skrzydle prawem. U wylotu parowu tego, nad drogą, stoi karczemka, od której do pozycji naszej i było może, jak w raporcie Kalinesko podaje, wiorst trzy, a może nie było tyle. Do tej to karczemki Kalinesko dowiózł wojsko; widzieliśmy z daleka szereg wozów długi, tu-manem kurzawy okryty, po opadnięciu której ujrzeliśmy tłum orężny, szykujący się. Kalinesko miał na przedłużeniu prawego swego skrzydła dolinę Salczy, na przedłużeniu lewego parów — jak ta tak ten posłużyć mu mogły do wykonania obejścia na

skrzydło nasze jedno lub drugie i zaatakowania nas w ciągu bitwy z boku lub z tyłu.

Przewidując manerw ten, zabezpieczyłem się przeciwko onemu w sposób następujący. Na prawo, w tył nieco od frontu naszego, wznosiło się na połowie pochyłości chałup kilka; na lewo żywopłot ogrodowy przedłużał się aż do rzeczutki. Chałupy zając kazałem podporucznikowi Wojnie szesnastu ludźmi, za żywopłotem zaogrodowym ulokowałem officerów nadkompletnych, polecając tak tym, jak owym, ażeby, w razie ataku z boku, wstrzymywali ogniem kolumnę atakującą tak długo, póki oddział do ogrodu się nie cofnie. Co się zaś tyłów tyczy, te powierzyłem nadzorowi jazdy, powierzając jój oraz wozy, które ulokowałem za ogrodem, pomiędzy zabudowaniami folwarcznymi a karczmą. Oddział uszykowałem w ten sposób, że kompanja pierwsza skrzydłem prawem wychodziła po za drogę, trzecia skrzydłem lewem opierała się o rzeczukę, druga zajmowała środek. Lekarze z instrumentami i bandażami stanęli w pogotowiu po za frontem officerów nadkompletnych.

Wydawało się mi, ze względu na nadające się do marszu krytego załomy gruntu na naszém prawém, że obchodzenie z téj nastąpi strony. Dla tego skrzydło prawe poruczyłem szczególnój majora Zimy pieczy, zostawiając środek Jagminowi, skrzydło lewe Brzozowskiemu.

Nim do bitwy przyszło, miało miejsce parlamentowanie uroczyste. Nie posyłałem, jak Kalinesko twierdzi, z proporcem białym nikogo. Podczas, gdy się Rumuni szykowali, przypatrywałem się im z Zimą przez binokle, usiłując przeniknąć zamiary ich. Przez czas ten cały — a trwało to z godzinę blisko — żołnierze nasi spoczywali pokotem w cieniu wierzb, czekając na gotujące się w karczmie jadło; broń w kozłach stała; tylko ariergarda znajdowała się pod bronią. Męczyć nie chciałem i bez tego zmęczonego żołnierza, oszczędzając go ile możności do chwili ostatniej. Czekałem, aż Rumuni naprzód ruszą. Zanim to atoli

nastąpiło, z pośród nich wysunął się jeździec z białą w rękę chustką. Wysłałem naprzeciw niemu Przewłockiego, zalecając mu, ażeby powiedział, iż bić się z Rumunami nie chcę; chcę spocząć tylko i pociągnąć dalej. Jeździec, którym był major Skileti, oświadczył Przewłockiemu, że płk. Kalinesko życzy sobie rozmówić się z płk. Miłkowskim. Uczyniłem życzeniu temu zadość. Kalinesko wyjechał w otoczeniu licznej i błyszczącej świty officerów, co zmusiło mnie zabrać ze sobą całą prawie jazdę moją. Zjechaliśmy się w pół drogi, w punkcie obranym i oznaczonym z góry przez majorów Przewłockiego i Skiletiego. Powitanie nasze, tak z jednej jak z drugiej strony, bardzo było grzeczne i uprzejme. Kalinesko przemawiał do mnie w imię pogwałconych przez nas praw i w imię powinności swoich żołnierskich, nakazujących mu, z bólem serca, przelać krew naszą, w razie gdybym nie uczynił zadość żądaniu jego słusznemu. Odpowiedziałem mu w imię obowiązków naszych względem ojczyzny walczącej i w imię honoru żołnierskiego, niepozwalających mi zaspokoić żądania jego. Kalinesko następnie starał się poruszyć mnie obrazem rzezi, jaką żołnierze rumuńscy w naszych sprawią szeregach, pozbawiając Polski tych ludzi znakomitych, o których wie, że się w oddziale znajdują. Zawołał w końcu: „Na co nam bić się!... złóżcie broń.... my broń osobno, ludzi osobno do granicy odstawimy....“ — „Zgoda — podchwyciłem — z tém na piśmie zastrzeżeniem, ażeby punkt graniczny sam wybrał i naznaczył.“ — „A nie — odparł — do granicy tureckiej....“ — „Nie!...“ — rzekłem stanowczo. Kalinesko poprosił mnie na stronę; za ręce uściskał i na miłość ojczyzny zaklinał, ażebym litość miał przecie nad spółziomkami, którym dowodzę. „Dla czegoż ścigasz mnie z zapamiętałością taką?...“ — zapytałem. — „Mam rozkazy, rozkazy wyraźne....“ — odpowiedział. — „Wina więc rozlania krwi spadnie na tych, co rozkazy podobne dają.... Co do mnie, broni nie złożę, chociażby dla zadośćuczynienia tylko honorowi żołnierskiemu.“ — „Pomyśl jeno, na co się narażasz?...“ — zapytał

Kalinesko. — „Na bitwę....“ — odpowiedziałem. — „Regardez!... — zawołał, ręką na kolumny swoje wskazując — je vous écriraserai!...“ — „Nie przeczę temu — odparłem — i zgoła dziwić się nie będę, gdy pobitym zostanę.... Widzę wielką siłę różnicę, przytém nie wątpię o waleczności żołnierza waszego....“ — „Bijemy się więc?...“ — zawołał głosem podniesionym. Odpowiedziałem głową pochyleniem.

Nastąpiło pożegnanie, teatralne trochę. Kalinesko przyrzekł mi, że dans la mêlée szabla jego będzie unikała głowy mojej. Officerowie rumuńscy zegnali się z naszymi uściskiem dłoni i wyrazami: „Au revoir sur le champ de combat!“

Rozjechaliśmy się galopem w dwie przeciwne strony.

Parlamentowanie przeinaczoném jest w raporcie wodza Rumunów. A przecież odbyło się ono bardzo uroczyście, w obliczu dwóch wojsk, z których jedno, rumuńskie, doczekało się nareszcie tego szczęścia upragnionego, że mu Polacy w oczy spojrzeli.

Pogróżka Kalineski, co do zdruzgotania nas (écraser), miała podstawy swoje, o których w raporcie Kalinesko przemilcza. Rumunów było: siedem kompanji (cztery z pułku Nr. 3 i trzy z pułku Nr. 5) i oddział jazdy, składający się z żandarmów konnych, koni 50—60, z Bolgradu i Kahułu przysłanych. Kompanje ich, jak o tém przekonał się później, liczyły przeciętnie po ludzi 180. Pomnożywszy 180 przez 7, otrzymamy cyfrę 1,260 piechoty samej, która w połączeniu z jazdą, stanowiła w porównaniu z nami siłę, mogącą wodza natchnąć pewnością zdruzgotania na miazgę 213 ludzi. Może i ja, na miejscu Kalineski, byłbym krzyknął: „Je vous écriraserai!... — przyciskając r w sposób taki, ażeby gromowym zabrzmiało odgłosem.

Nas wszystkiego było ludzi 213. Od tego atoli odciągnąć jeszcze należy:

jazdę	7
woźniców	3
chorych	3

do przeniesienia 13

	z przeniesienia	13
furjera i pomocnika jego		2
wykomenderowanych do kotłów		5
płatnik		1
lekarzy		2
służących		2
	razem	25

To sprawiało, że liczba nas na polu bitwy wynosiła ludzi 188, to jest, że na Polaka jednego wypadało Rumunów po siedmiu z czemeś.

Za powrotem, natychmiast żołnierzom stawać kazałem i, gdy oddział uszykował się za szeregiem kozłów, oznajmiłem mu rezultat parlamentowania w trzech następujących wyrazach:

— „Będziem się bili!...“

Oznajmienie to przyjętém zostało okrzykiem: „Niech żyje Polska!“

Brać tornistrów nie kazałem; dałem majorowi Jagminowi rozporządzenie, co do tyraljerów, którzy téż wystąpili wnet, rozsypali się i ruszyli naprzód ku zbliżającym się tyraljerom rumuńskim. Ponieważ zapowiedziałem był Kalinesce, że pierwszy nie zaczepię, nakazałem przeto, ażeby nasi ognia nie rozpoczynali, póki nie padną pierwsze ze strony rumuńskiej strzały.

W miejscu tém wyznać muszę, iż zerwanie się żołnierzy naszych do boju stało się dla mnie rękojmnią zwycięstwa — dało mi pewność onego. Cóż bo to za zerwanie się było! — objawiła się w niem waleczność polska cała — waleczność, mierząca niebezpieczeństwo wzrokiem ochoty jakiegóś natchnionój, pewna siebie, spokojna, a zuchwała zarazem. W milczeniu, bez przechwałek, bez odgrażań się, bez okrzyków, bez spieszenia się, rozebrali żołnierze broń, rozbiegli się w łańcuch tyraljerski i poszli naprzód krokiem spacerowym, ze swobodą taką, jakby to nie była bynajmniej gra o życie. O! żołnierze ci stoją mi dziś żywo i stać do śmierci przed oczami będą. Gdy mi losy jeszcze — o czém wątpić lękam się — pozwolą za ojczyznę walczyć, proszę Boga

nie o co innego, jeno o to, ażeby w nieprzebranej łaskawości swojej, dał mi towarzyszy takich, jakich pod Kostangalją miałem.

Z poruszeń rumuńskich pierwszych poznałem, że nieprzyjaciół otoczyć nas chce, manewrował bowiem zarazem na prawém naszym i na lewém skrzydle, prąc środkiem na środek. Zrazu manewrowanie to ograniczało się na przedłużaniu frontu, zwłaszcza na prawém naszym. Kompanja przeto pierwsza zmuszoną była ciągnąć się w prawo, przez co tworzyła się pomiędzy skrzydłem prawém a środkiem, luka, zwiększająca się coraz to bardziej. Luka ta zaniepokoiła mnie, zwłaszcza gdy zoczyłem zmierzający w nią szwadron żandarmów konnych. Stałem właśnie na drodze, naprzeciwko szwadronu owego, szykującego się do szarży. Nie miałem do przeciwstawienia jemu żołnierza ani jednego i, kiedym się namyślał, zkądby nadsztukowanie przerwy wykręcić, usłyszałem za sobą tupot. Obejrzałem się. Była to z podporucznikiem Wojną rezerwa z chałup, wysłana dla zatkania luki przez Zimę, który także niebezpieczny ruch jazdy rumuńskiej spostrzegł. Przybiegła w samą porę, uszykowała się na drodze, żandarmów idących już kłusem przypuściła na odległość strzału pewnego i posłała pomiędzy nich kul szesnaście. Po wyskakujących, niby race, w górę koniach i po spadających przez łby końskie jeźdźcach, poznać było można, że kule nie przepadły daremnie. Żandarmi, po przywitaniu tém, w pędzie wielkim unieśli się wstecz. W chwili téj spostrzegłem na nieprzyjacielskiem prawém ruch, który na siebie całą moją zwrócił uwagę. Kolumna rumuńska prawoskrzydłowa zwróciła się w prawo i weszła w dolinę Salczy. Domyśliłem się o co chodzi. Kalinesko chciał mnie obejść, zastawiając się ogniem z frontu i szachując nas ciągnięciem się w lewo na naszym prawém. Rzeczywisty cios atoli kierował na lewe nasze skrzydło, na tyły może. Trzeba było cios ten odwrócić jak najprędzej.

Co koń przeto wyskoczy przebiegłem przez dolinę, przyskoczyłem do kompanji trzeciej i biegiem wprowadziłem ją na

górze z zamiarem zaskoczenia w ciągu marszu kolumny obchodzącej. Wykonanie zamiaru tego powiodło się nam jak najpomyślniej. Gdy kompanja trzecia na górę wbiegła, kolumna obchodząca sprezentowała się jej swoim lewym bokiem u stóp takowej, w oddaleniu kroków 30—40. Był to bitwy moment psychiczny. Kolumna rumuńska zatrzymała się, jak się zdaje, machinalnie, salwą do nas ognia dała i, na polskie hura! wykrzyknione z pochylonym do ataku bagnetem, odpowiedziała ucieczką natychmiastową a bezładną, niosąc ze sobą popłoch na rumuńską linię bojową. Wysypanie się z wąwozu kupy przerażonej zarazilo strachem panicznym kolumnę środkową i rezerwę. W chwili téjże saméj kompanja przez walecznego prowadzona Jagmina złażała nieprzyjacielski środek.

Pułkownik Kalinesko w raporcie swoim przyznaje się do manewru na swojém prawém a naszym lewém skrzydle, lecz przemilcza o rezultacie onego i winę odwrotu przenosi na swoje lewe, obarczając nią biednego majora Saegiu, który najniwinniej w świecie stał się kozłem ofiarnym rumuńskiego honoru wojskowego. Rzecz miała się wcale inaczej. Po ucieczce kolumn majorów Sterian i Skeleti, po drapnięciu rezerwy i wozów, kolumna Saegiu trzymała się jeszcze, a tyraljerzy jej zeszedli się z naszymi tak blisko, że się zwarli na bagnety. Lekarze nasi opatrywali Rumunów rannych, bagnetami skłutych; nasi z kompanji pierwszój od bagnetów rany ponieśli; podporucznik Stankiewicz od rumuńskiego zginął bagneta. Kolumna Saegiu poszła za przykładem innych nie pierwój, aż kompanja druga, wykonawszy zajście lewém ramieniem naprzód, razić ją poczęła ogniem poszłuznym.

Rumuni cofali się w nieładzie najzupełniejszym, ciskając karabiny, ładownice, kaszkiety nawet. Część wyciągnął Kalinesko na górę wysoką, za karczemką, po drugiej parowu stronie. Krok ten, którym niby grozić nam chciał, najniepotrzebniejszym był w świecie, nie zastaniał bowiem nawet uciekających od pogoni,

gdybym takową wysłać był za nimi mógł, w koni bodaj dwadzieścia. Był to środek taki, jakiego się ludzie przed powodzią chwytają, chroniąc się wysoko, jak najwyżej. Militarne z kroku tego wódz rumuński wytłumaczyłby się nie potrafił.

Nie ścigałem Rumunów dla powodów kilku, mianowicie zaś dla tego: 1) że kampanja w Rumunji, na lewym brzegu Prutu, nie była zadaniem mojem; 2) że zatem, ściganie zwróciłoby mnie z drogi mojej; 3) że żołnierze nasi zmęczeni byli bardzo; 4) że jazdy nie posiadał. Posunąłem się przeto na wysokość wylotu doliny Salczy, to jest na linję, z której Rumuni atak rozpoczęli; kompanję pierwszą ustawiłem za załomem gruntu na pochyłości prawoskrzydłowej — i w pozycji téj zatrzymałem się, oczekując na to, co nastąpi dalej. Czy nie zechce Kalinesko z wysokości zejść i poprawić się? Że zaś oczekiwanie za długo trwało i że to, com widział pomiędzy ulokowaną na górze kupą, ponowienia ataku nie zapowiadało bynajmniej, wykomenderować kazałem ludzi do zbierania rannych i zabitych, zasłoniwszy plac boju łańcuchem wedet.

Straty stosunkowo ponieśliśmy bardzo znaczne, nie tak atoli wysokie, jak pułkownik Kalinesko w raporcie swoim podaje. Z szeregów ubyło nam ludzi 20 — zabitych 6 i rannych, do szpitala się kwalifikujących 14, pomiędzy którymi 7 ciężko. Oprócz tego było jeszcze lekko rannych około 20, którzy w marsz iść mogli. Zabito téż nam konia jednego, a dwa raniono i w liczbie tych ostatnich wierzchowca Zimy, który i sam w skroń draśniętym został w chwili, gdy koń jego, w łeb postrzelony, pod nim się wspinał. Zdarzenie to zaniósł do szeregów rumuńskich wieść fałszywą, o zabiciu nam majora jednego.

Korpus officerów dotkniętym był mocno. Ranni: porucznik kompanji pierwszej, Antoni Sikorski; porucznik kompanji drugiej, Jan Jurkowski; z oddziału officerów nadkompletnych, porucznik Olszewski; dowódca kompanji trzeciej, Karol Brzozowski — ten, w biodro postrzelony, zwałił się koniowi memu pod nogi, w chwili

kiedy kompanja na bagnety szła. Podporucznik Piotr Stankiewicz, niegdyś podofficer artylerji belgijskiej, zakłuty został bagnetem.

Najmniej ucierpiała kompanja druga, najwięcej trzecia — ta ostatnia, na liczbę ogólną zabitych sześciu, miała czterech, a to dla tego, że wystawiła się na salwę na metę bardzo bliską, *à bout portant* prawie.

Straty rumuńskie znaczniejsze były o wiele od podanych w raporcie. W zabitych mieli nie 18, ale czterdziestu kilku, rannych stu z czemeś. Zwyczaj każe umniejszać straty swoje, powiększając nieprzyjacielskie. Zwyczaju tego trzymał się Kalinesko, naśladując w tém regularne mocarstw wielkich armje, a najprzód moskiewską, mającą regularnie na zbyciu kozaka jednego — historycznego, acz bezimiennego. Okrom tego, ani wspomina Kalinesko o dezterterach, których paręset uniosło się z pola bitwy, szukając schronienia po zbożach, zwłaszcza zaś po kukurudzach. Ogółem Rumuni po bitwie nie doliczyli się w szeregach ludzi około 400. Nadto spotkało ich i to jeszcze nie-szczęście, że, ogarnione popłochem ogólnym wozy, które Kalinesko za karczemką w parowie ukrył, uciekając uwiozły ze sobą tornistry, płaszcze żołnierskie, amunicję zapaśną i żywność. Wódz rumuński przeto pozostał ze zmniejszonym o 400 bojowników, zmęczonym i zdemoralizowanym wojskiem, bez tornistrów, płaszców, amunicji i jedzenia. Ten przeto był powód skomplikowany opóźnienia się o godzin 56, o którym w raporcie pisze, nie zaś trudność sama w dostaniu żywności, znajdującej się nieopodal, w odległym o wiorst 6 Kahulu.

W parę po bitwie godzin, podczas kiedy rannych Polaków i Rumunów opatrywali lekarze nasi, którzy, powiedziawszy nawiasowo, z wielką z zadania swego wywiązali się odwagą, zręcznością i gorliwością, przyjechał Kalinesko ze świtą liczną, przy karczemce się zatrzymał i rozmowy ze mną zażądał. Zjechaliśmy się powtórnie.

Celem rozmowy téj było wyjednanie u mnie pozwolenia na zabranie trupów i rannych rumuńskich z pobojowiska. Zaczęła się od następujących, do mnie zwróconych Kalineski wyrazów: — „Mój pułkowniku! co to się stało?“ — „Biliśmy się — odpowiedziałem — uczyniłem zadość życzeniu pana.“ — „Ale... o co?“ — „Nie wiem, o coście się bili panowie: my, broniliśmy mamałygi, co się dla żołnierzy gotowała.“ — „Que voulez vous! — zawołał — j'avais du guignon aujourd'hui.... Odniosłeś zwycięstwo, dzięki wyższości broni.“ — Odkrywać przed nim nie chciałem tajemnic broni naszej, nie odpowiedziałem więc mu na to nic.

Przedstawił mi następnie żądanie, dotyczące się rannych i trupów, przyozdabiając je frazesami o rozlewie krwi bratniej. Żądaniu uczyniłem zadość, pod tym warunkiem, ażeby ci, co na pobojowisko przysłani zostaną, przybywali bezbronnymi i nie przekraczali po za linię frontu mego, który wkrótce cofnąłem, inaczej bowiem poszukiwania rumuńskie utrudnionemiby były formalnościami regulaminowymi, znaczenia w tym razie nie mającemi.

Po załatwieniu sprawy téj, Kalinesko oświadczył mi, że przez dziś i przez jutro atakować mnie nie będzie. Pochwyciłem oświadczenie to i na podstawie onego zawarłem, pod pieczęcią uroczystego słowa honoru, zawieszenie broni nie na 56, ale na 36 godzin, to jest, na pozostającą część dnia 15 Lipca i na całą następną dobę. Kalinesko zobowiązywał się przez czas ten cały nie przeciwko oddziałowi polskiemu nie przedsiębrać, i to, ani bojem wstępnym, ani téż ruchem żadnym przygotowawczym z frontu, z boków lub z tyłu. Układ ten dla oddziału, który tchem jednym zrobił marsz forsowny czterodnienny i bitwę stoczył, nadzwyczajnie był potrzebny. Owoc ten zwycięstwa dawał możność pokrzepienia wystawionych na próbę najwyższą sił fizycznych i nadzieję rozwiązania zadania militarnego najbliższego, polegającego na przeprawie przez Prut.

Po drugiej téj rozmowie nastąpiła trzecia jeszcze w dniu tymże samym. Podczas kiedy żołnierze rumuńscy czynili w trawie wysokiéj poszukiwania za towarzyszami poległymi, Kalinesko przyszedł na pobojowisko piechotą i bez świty. Wyszedłem do niego — spędziłem z nim sam na sam godzin ze dwie. Treść rozmowy stanowiły ogólniki, polityczne i militarne; wydatniejszym zaś onéj momentem był jeno ten: „Co pan robić zamýślasz z bronią naszą?“ — zapytał Kalinesko. — „Oddać ją panom — odpowiedziałem — na dowód, że bynajmniej nie chodzi mi o zdobyte na Rumunach trofea.“ — Nie byłbym się tak wspaniałomyślnym okazał, gdybym z bronią tą mógł zrobić co innego. Rozdać jéj nie było komu, zwłaszcza po odpadnięciu 20 ludzi z szeregów — broń jakąśmy posiadali wystarczała najzupełniéj. Do zabrania zaś jéj ze sobą potrzeba było wozów, których w posiadaniu naszém nie było. Pozostawało przeto jedno z dwóch: albo ją zniszczyć, albo zwrócić. Wybrałem to ostatnie i zdecydowałem się na to tém chętniéj, żem wiedział, iż wojownicy, którzyby oręż przeciwko nam zwrócić mogli, rozbiegli się we wszystkie świata strony. Oddać więc Rumunom kazałem około półtorasta, przy zbieraniu poległych i rannych, w trawie znalezionych karabinów, dopuściwszy się jeno z nimi malwersacji jednéj: nasze gorsze wymieniliśmy na rumuńskie lepsze.

O grzeczności téj w raporcie ani słowa. Była ona natury upokarzającej nieco i dla tego zapewne przemilczaną została. Co jednakże do zrozumienia jest trudném, to przeinaczenie czynu szlachetnego, przynoszącego przeciwnikom naszym zaszczyt istotny. W raporcie czytamy, jakoby prosił Kalineski o przyjęcie rannych naszych do szpitalów rumuńskich. Rzecz miała się inaczej. Nie ja prosiłem. Nad zachodem słońca przybyło officerów paru z pod komendy Kalineski, zażądało rozmowy ze mną i przedstawiło mi postanowienie korpusu officerów, którzy wydelegowali ich, w celu uproszenia nas, ażebyśmy powierzyli Polaków rannych narodowi rumuńskiemu pod opiekę. Powiadali, że pewni

są uznania ze strony narodu. Możeż być co piękniejszego ze strony przeciwnika, okrytego jeszcze kurzem boju świeżego i upokorzonego porażką, poniesioną w warunkach dysproporcji fizycznej, która mu zwycięstwo zapewniała?... Możeż być co piękniejszego, co szlachetniejszego, co bardziej ludzkiego?... Zapewne — pięknemby było przyjęcie prośby mojej; nierównie atoli piękniej przedstawia się rzecz ta, tak jak się w istocie stała, jako natchnienie własne przeciwnika, które i mnie i nas wszystkich w obec Rumunów moralnie rozbroiło i wielce na postanowienie późniejsze wpłynęło. Czyn ten zniewolił nas uważać ich za przeciwników przypadkowych, a na cały nasz szacunek zasługujących, i to tém bardziej, że nastąpił bezpośrednio po wielkiem, jakieśmy im sprawili, upokorzeniu. W chwili takiej opanowuje ludzi uczucie zemsty raczej, aniżeli braterskości. Postępkiem tym, w raporcie nie wiedzieć dla czego przeinaczonym, Rumuni żywcem za serca nas ujęli. Po rannych naszych przyszły nazajutrz wozy gałęziami osłonięte. Nad poległymi grób poświęcił kapłan wyznania wschodniego, którego na smutny ten obrządek przysłał nam Kalinesko, w oddziale bowiem naszym księdza nie było.

Bitwa trwała godzin 2—3: zaczęła się o 11., skończyła o 2. po południu. Spieka w dniu tym była nadzwyczajna. Słońce lipcowe paliło potęgą całą.

Nastąpił spoczynek zupełny — bezpieczny i spokojny. Za bezpieczeństwo i spokój poręczał stan, w jakim się znajdował korpus Kalineski, stan rozstroju i demoralizacji, przeszkadzający złamaniu ze strony jego umowy.

Zapyta kto mnie może: dla czegoż, korzystając ze stanu tego, nie maszerowałem dalej? — Odpowiedź na to krótka: nie mogłem. Korzystałem z onego; dawałem żołnierzom wypoczynek, w celu wydobycia z nich wysiłku następnie. Dwóch tych potrzeb sprzecznych — maszerowania i odpoczywania — pogodzić podobieństwa nie było. Bez zaspokojenia drugiej, ani myśleć mogłem o uczynieniu zadość pierwszej.

Zresztą — rozumiałem to dobrze — losy wyprawy mojej, w odniesieniu do zadania politycznego, jakim ona brzemienną była, utrudniane, kępowane, powściągane na sposoby różne, rozstrzygnęły się pod Etiulikiej, gdy po raz pierwszy dościgniony został. Ogona już tego, co się za mną włókł, odciąć nie mogłem, chyba za Prutem. Gdybym był pomaszerował po bitwie nazajutrz, byłbym dościgniony wieczorem. — Rumuni bowiem jechali, my szli, a to różnica wielka, znana tym, co maszerowały sami. Ruszywszy przytém nazajutrz, zrobić jeno mogłem marsz krótki, zwyczajny — i wykazać przez to przeciwnikowi kierunek — i wskazać mu punkt przeprawy — i dać mu możność ubiedz nas na takowym, poniszczyć mosty, pozrywać promy, pościagać łodzie, na zachowaniu których spoczywała cała nadzieja moja; za przeprawą widziałem deskę jedyną zbawienia w podwodach, które tam zastać miałem.

Na to, ażeby się do upatrzonego i umówionego, a jednego z podrzędnych, punktu przeprawy dostać, dwa przedstawiały się mi w Kostangalji sposoby: albo dwa przemarsze zwyczajne, albo forsowny rzut jeden. Do zrobienia pozostawało mi mil siedem prawie, w pierwszej drogi połowie przez wzgórza, lasy i wąwozy, w drugiej przez okolice otwarte. Sposobu pierwszego, dla przyczyn tylko co wskazanych, chwycić się nie mogłem. Sposób drugi to miał za sobą, iż zamiary moje maskował przez całą pierwszą drogi połowę; a chociaż w drugiej połowie maska opadała, to przeciwnik czasu już nie miał zapobiedz takowym, nie mając przed sobą nocy całej, którąbym mu dać musiał, gdybym dnia 16. Lipca rano z pod Kostangalii ruszył i bądź w Baurczy, bądź téż w Larga na nocleg się zatrzymał.

Zrobić forsowny, nie dający przeciwnikowi czasu do zorjentowania się marsz, przez Prut się przerzucić, na wozy wsiąść i natychmiast dalej ruszać: oto czego potrzeba było do przeprowadzenia oddziału, najprzód, w miejsca bezpieczne, następnie, na teatr walki z Moskalami. Miejsca bezpieczne zaczynały się

w okolicach Wałui, gdzie, jakim obrachowywał, na wozach — ale na wozach tylko — dostać się mogłem 18go rano.

Wozy więc rozstrzygały wszystko. Bez nich, zwycięstwo pod Kostangalją stawalo się fałszywym fortuny uśmiechem, świadczącym jeno, czémby wyprawa nasza stać się mogła, gdyby ją była od początku otoczyła troskliwość patryjotyczna, dostatecznie hojna i pojmovaniem rzeczy podszyta. Bez nich, mogłem odnieść jeszcze zwycięstw kilka, ale już nawet dźwiganego przez nas na ramionach oręża lichego donieść do Polski w możności nie byłem. Z niemi, bez zwycięstw, odzyskiwaliśmy, w części bodaj militarnę jeno, stanowisko zachwiane.

Zkądże wozy owe do takiego przychodziły znaczenia? A la guerre, comme à la guerre — jedno nic rozstrzyga nieraz rzecz całą.

Miałem przeto przed sobą dwie rzeczy: przeprawę, wykonanie której zależało odemnie; wozy, przygotowanie których zależało od S. S.

Resztę dnia bitwy, całą po nim noc i cały następny dzień pozostawiłem żołnierzom na spoczynek. Kalinesko widział nas wciąż na miejscu jedném i temże samém, w obozie, który odwiedzali bojarowie z Kahulu, przywożąc nam w upominku chleb, mięso, bryndzę, wino. Wieczorem dnia 16go pozory wszelkie zapowiadały, że się zabieramy na nocleg drugi pod wierzbami żywopłotu. W nocy z 16. na 17. ulotniliśmy się.

VII.

W niewoli rumuńskiej.

Dzięki uśpieniu czujności przeciwnika, z Kostangalji udało się nam wymknąć niepostrzeżenie. Ruszyliśmy, z zachowaniem wszelkich w razach podobnych używanych ostrożności, pomiędzy 11 a 12 w nocy. Do świtu o wymarszu naszym nie miał Kalinesko wiadomości najmniejszej; następnie zaś nie wiedział, w którym udaliśmy się kierunku: czy ku granicy moskiewskiej, czy doliną Małej Salczy, czyli też wybrzeżem wpadającej do téj ostatniej z prawej strony rzeczułki. Wybrzeże rzeczułki wydawać się mu zapewne musiało najmniej przypuszczalnem, jako wprowadzające na drogi popłątane, któremi problematycznym było dostanie się do Falczi lub Leowy. Nie wiedział on, że się radzę mapy dobrej i że wytyczna moja tkwi nie w Falczi, ani w Leowie, ale w Gotesztach, u przewozu mało uczęszczanego. O świcie przeto ruszyć się z miejsca nie mógł, z obawy zapędzenia się w kierunku fałszywym. Rozesłał na trakty wszystkie podjazdy żandarmów konnych i na powrót ich czekał. Ten co nas wytropił, zoczył oddział polski o szóstej dopiero rano. Wyprzedziłem przeto pościg o godzin kilka, a to w ten jeno sposób, że ruszył 16go nie rano, ale o północy, z 16go na 17ty.

Tych godzin kilka przeprawiły nas przez Prut. Rumuni pilnowali przewozów w Falczi i w Leowie. My, jednym forso-

wnego marszu rzutem, z jedynym wypoczynkiem w Konstantynówce, pierwszej na drodze naszej etapie, na której przygotowaną dla nas była żywność i gdzie czekało na oddział polski ochotników czterech, spadliśmy na Goteszty. Konstantynówka, od Gotesztworst cztery, od przewozu siedem — wioskę tę dzierżawił Szwejkowski stary, u którego S. S. ulokował przewodnika, nad przeprawą specjalnie czuwającego i do którego, na wieść o wkroczeniu naszym, przysłał porucznika Drzewieckiego, naznaczonego przemnie na dowódcę jazdy w Mołdawii środkowej. Drzewiecki rozstał się był z S. S. trzy dni temu. — „Cóż.... wozy?...“ — zapytałem, gdy go zoczył tylko. — „Będą z pewnością....“ — była odpowiedź, która mnie wielką natchnęła otuchą. Przewodnik popędził przodem, celem urządzenia wszystkiego, przy pomocy żyda arendarza, który przewóz dzierżawił. Oddział wypoczął nieco, posilił się — ruszyliśmy; zastałem w całości dwa mostki na trzęsawiskach, oddzielających przestrzenią paruwiorstową wieś Goteszty od rzeki; dopadłem promu, który spędzone ze wsi pobliskich gromady wyciągały już na brzeg przeciwny; wysłany biegiem pluton nastraszył wieśniaków i prom sprowadził na brzeg lewy. Przeprawiliśmy się bez przeszkody najmniejszej.

Niestety! był to fortuny uśmiech ostatni.

Zadanie, według mnie, po przeprowieniu przez Dunaj, najtrudniejsze, według Łaskiego, do rozwiązania niepodobne, rozwiązaniem zostało.

Stałem na Prutu brzegu prawym i.... wozów nie zastałem.

Ani wozów, ani o takowych wiadomości najmniejszej!

Co to się stać mogło?

Dałem Drzewiekiemu natychmiast rozkaz jechania na noc całą do S. S., mieszkającego ztamtąd o mil 5—6, pomimo, że wiedział, że to się nie zdało już na nic. Jak skoro wozy nie znajdowały się na miejscu, to już przybyć nie mogły — żandarmerja by ich nie dopuściła. Urwało się więc wszystko. Ratować nas mogło

jedynie zastanie podwód w pogotowiu, z zaprzęgiem świeżym, to bowiem jedno nadałoby pochodowi naszemu nowy pęd w momencie, kiedy Kalinesko, który lada chwila do przeprawy dojechać musiał, musiały się na noc zatrzymać, celem dania wypoczynku zmęczonym całodzienną na słońcu lipcowem jazdą pospieszną koniom. Zanim Drzewiecki, wykonując rozkaz mój, w drogę się wybrał, miałem już Kalineskę na karku.

Żołnierz nasz spędzony, zmęczonym był w najobszerniejszym pojęciu tego znaczeniu. W godzin czternaście uszedł na spiekocie mil siedem. Literalnie, ledwie nogami plątał. Oddział ledwie nieledwie dowlókl się do Rynzeszt, wsi o $\frac{3}{4}$ mili od przewozu oddalonéj. Na domiar złego, na prawym brzegu rzesisty puścił się deszcz, który nas przemoczył do nitki i sił do reszty pozbawił. Czarna i miękka ziemia rozmiękła — ludzie grzęzli, misząc błoto nogami zbolałemi.

Rynzeszti leżą nad Prutem. Rzeka w miejscu tem zagina się w kolano i podpływa pod wieś, która, rozrzucona na wzgórzach, przetrnięta parowem, napełniona zagrodami i mająca przed sobą płaszczyznę, staczającą się aż do przewozu, przedstawiała jako pozycja bojowa, dogodności dla nas większe, aniżeli Kostangalja. Mógłbym być stoczyć bitwę drugą i zwyciężyć potwórnie. W umyśle atoli stało mi zapytanie: w jakim celu?

Pod Kostangalją biłem się o przeprawę przez Prut i o wozy. Pod Rynzesztami biłbym się mógł, o zabezpieczenie sobie marszu naprzód, gdyby takowy był możliwym. Zabezpieczenie to atoli nastąpić mogło w takim jeno razie, gdybym się czuł na siłach Kalineskę rozbić i, korpus jego, albo rozpędzić, albo w Prucie utopić. Dwóch tych „albo,” bez jazdy, siłami, jakimi rozporządzałem, dokonać w stanie nie byłem. Mógłbym go jeno pobić; nie mógłbym go atoli rozbić, a zatem, przeszkodzić temu, ażeby nazajutrz i dni następnych znów i wciąż na karku mi nie siedział i nie przytrzymywał na kroku każdym, wystawiając mnie

przez to na ciosy kolumn, spieszących naprzeciwko mnie z Jass i z Fokszan.

Dla dokładniejszego rzeczy wyjaśnienia, powracam do rumuńskich dokumentów urzędowych.

= Do kapitana Kantili. — Udasz się natychmiast do wojsk nad Prutem skoncentrowanych, jadąc do Leowy wprost. Missją pańską jest pełnić przy dowódcy wojsk funkcję szefa sztabu. Jedź jak najspieszniej i rozstaw wojsko tak, ażeby Polacy za nie Prutu przekroczyć nie mogli. Zadaniem pańskim jest obrona Prutu od napadów polskich; szczegóły rozłożenia wojsk pozostają w rozporządzeniu dowódcy głównego i pana. — Bataljon saperów dostał rozkaz zająć Tekucz. Bataljon z pułku Nr. 1 i pięć kompani z pułków Nr. 3 i Nr. 5 i żandarmi z Bolgradu i Leowy są na rozporządzenie pańskie. Opieraj szczególnie bataljonem z pułku Nr. 1. O ruchach wszystkich raportuj regularnie telegrafem lub przez pocztę. (Podp.) Generał-major.

= Husz 4 (16) Lipca o 6½ rano. — Do p. generał-majora Floreski. — Wczoraj o 2. po południu ruszyłem z Jass z bataljonem, stan którego jest: jeden officer sztabowy, 16 oberofficerów, 36 podofficerów i 400 szeregowych, nadto 24 żandarmów konnych. W chwili téj znajduję się w odległości 4 poczt (10 mil) od Leowy. Stosownie do rozporządzeń poczynionych, spodziewam się dziś na noc biwakować w pobliżu Leowy. Przedsięwziąłem środki takie, że dochodząc do Leowy, wiedzieć już będę o ruchach powstańców. Spodziewam się za mojem tam przybyciem dokładnych od pana rozkazów, gdyż w Jassach otrzymane nie były dokładne. (Podp.) Major Rakowica.

= Tekucz 4 (16) Lipca 1863 r. — Do p. generał-majora Floreski. Dziś wieczorem zmuszony jestem biwakować w Tekuczu, mam bowiem trzy kompanie na lewym a jedną na prawym brzegu Seretu. Przejście przez Seret bardzo trudne: potrzebowałem dla trzech kompani godzin ośmiu. Jutro rano z bataljonem całym wejdę do Tekucza, gdzie oczekuję na rozkazy pańskie. (Podp.) Kapitan Slanicenu.

= Do p. płk. Kalineski, w Kahulu. — Potwierdzam mianowanie kapitana Opreanu na dowódcę bataljonu w miejsce majora Saegiu. Ten ostatni przysłany ma być niezwłocznie do Bukaresztu, pan zaś przyslij mi raport z wymienieniem powodów odwrotu i z przyłączeniem protokołu sporządzonego przez trzech officerów, z których jeden powinien być majorem, stosownie do praw o prędkim przykładnem karaniu winowajcy. Zadowolniony jestem, że w potrzebie pierwszej wojska nasze okazały energii tyle i przekonany jestem, że gdyby nie nieszczęsny z lewego skrzydła sygnał, powodzenie byłoby zupełnem. Oczekuję wiadomości o tych, co tyraljerów prowadzili. — Uważam za potrzebne powtórzyć ci, że ponieważ wyższość broni nie po naszej stronie, nie zapominaj przeto ani na chwilę, że powodzenie pewnem będzie, jeżeli niezwłocznie atakować będziesz na bagnety. — Dziękuję wszystkim. Postępuj wedle

wezorajszych rozporządzeń moich, co do obrony Prutu. Za cenę jakąbądź nie zezwól na przeprawę. Gdybyś w Leowie korpusu z Jass nie zastał, ścigaj dalej, póki nie zapewnisz się, że operację tę wziął na siebie oddział z pułku Nr. 1. Wówczas dopiero missja pańska spełnioną będzie. — Co do pomocy lekarskiej, nocy dzisiejszej pojechał ztąd sam inspektor generalny (Dr. Davilla). — Posyłam ci 2,000 ók sucharów z Gałacu. Co do ułatwień wszelkich innych, zgłaszaj się do prefekta kahulskiego. Codziennie dawaj ludziom po litrze wina. (Podp.) Generał-major.

= Do płk. Kalineski. — W imieniu Wysokości Jego Księcia Panującego, podziękuj officerom i stopniom niższym; powiedz im, że od nich zależy odrodzenie wojska rumuńskiego. — Żądaj od prefektury pomocy wszelakięj w wozach i prowizji, odpocznij i zorganizuj oddział w sposób taki, ażebyś spotkał się z bandą polską przed jęj do Leowy, albo do Falezi dojściem. W tym rzeczy stanie, bandę tę trzeba koniecznie rozproszyć, celem jęj bowiem jest w głąb Mołdawii wkroczyć. — Waleczność w pierwszym okazana ataku daje mi pewność największą powodzenia dobrego. — Ograniczam się na powiedzeniu ci, że wyższość broni niknie, gdy, nie zabawiając się długo, poprowadzisz atak na bagnety. Rozporządzenie twoje formowania kolumn tyłu, ile Polacy mają, dobrém jest; każda niech atakuje tę, którą przed sobą ma, rezerwa zaś niech kieruje się na punkt najslabszy. — Jeszcze raz powtarzam, po ogniu tyraljerskim prowadź atak natychmiast, gdyż ten efekt moralny sprawia największy i dowiedzioném jest, że odpowiada naturze ludzi naszych. — Przekonany jestem, że się wkrótce z tą bandą załatwiemy. Nie oczekuj napróżno na pomoc z Jass, gdyż spóźnić się może, tém bardziej, że o ile ją (bandę) puścisz naprzód, o tyle ona do lasów się zbliży, co będzie dla nięj pomocnem wielce. — Donieś mi natychmiast o stanie ludzi pod bronią, officerów i szeregowych, jakoteż, czy przybyła z Gałacu kompanja suchary eskortująca; w razie przeciwnym, na wozach ją przywieź. — Donieś ilu masz żandarmów konnych. W porozumieniu z płk. Duką urządzcie się tak, ażebyście posiadali oddziałik jazdy. Na wypadek, którego nie przypuszczam, gdyby kto naśladował majora Saegiu, stań na czele sam i wojsko prowadź. Nr. 376. (Podp.) Generał-major.

= Pilinei 5 (17) Lipca 1863 r. — Do generał-majora Floreski. — Z kompanją, która przysła o godzinie 8., mam pod bronią 502 ludzi, gdyż rekrutów odesłać musiałem, ażeby ich zbytecznie na ogień nie wystawiać. Officerów z pułku Nr. 3—13, pomiędzy którymi dwóch sztabowych, z pułku Nr. 5—14, pomiędzy którymi jeden sztabowy. Dziś posłałem do Gałacu officera Leahu ciężko rannego. Po otrzymaniu depeszy pańskiej, gdym odczytał wojsku ustęp, tyczący się podziękowania jego książęcej wysokości, żołnierze tak się zaentuzjazmowali, że przez kwadrans cały krzyczeli: niech żyje jego wysokość! i ura! — Żądany poszczegółowy o prowadzeniu się każdego z osobna raport będę miał zaszczyt przesłać wkrótce. Do komissji na majora Saegiu wyznaczyłem pp. majora Sterian i kapitana Bokan z pułku Nr. 3, zaś kapitana Majkan z pułku Nr. 5. Rezultat komissji będę miał zaszczyt przesłać przy raporcie. —

Lachy są blisko, nagładani i śledzeni bardzo z bliska; myślę, że doścignę ich i zadam im cios stanowczy. (Podp.) Płk. Kalinesku.

= Do majora Rakowicy. — Stosownie do instrukcji wczorajszej, zarządz obronę mostu w razie, gdyby były pokuszenia przejścia przezmocą. Weź przed się środki wszystkie w celu zastąpienia im drogi przedtém nim dojdą na linję Leowy. Odpowiedzialność pańska jest wielką, gdyż masz nie dopuścić ich do lasów huszskich. Wiadomości, jakie posiadasz o liczbie Polaków nie prawdziwe są, mają oni tylko ludzi 200. Nim ich zaatakujesz, żądaj widzenia się z wodzem ich. Powiedz mu, że jakimby nie było zadanie jego, nasze jest nie mniej święte, nakazanie uszanowania nietykalności i neutralności państwa. — Żądaj złożenia broni i na pierwsze sprzeciwienie się, atakuj bezzwłocznie. Wyszlij naprzód tyraljerów i, nie bawiąc się długo, atakuj wojskiem w małych kolumnach, zachowując rezerwę; powtarzam jeszcze, nie wystawiaj wojska długo na ogień tyraljerski, lecz rzuć szybko kolumny do ataku na bagnety, jest to bowiem sposób jedyny pokonania wyższości karabinów. Nr. 375. (Podp.) Generał-major.

Z raportów tych i rozkazów położenie nasze widném się, staje, jak na dłoni. Za mną, za poły mnie trzymając, znajdował się Kalinesko, nie w 502, ale w 827 ludzi piechoty samój, która mu pozostała po stratach pod Kostangalją, odesłaniu rekrutów i otrzymaniu z Gałacu kompanji posiłkowej. Różnica ta — rodzaj omyłki druku — wykaże się z własnego jego raportu, który przytoczę poniżej. Od czoła zachodził nam Rakowica w 400 ludzi. Z lewego flanku oskrzydlał nas Słaniczano z bataljonem saperów.

Ten ostatni nie zagrażał mi bezpośrednio, był bowiem oddalony o mil 11 od Rynzeszt, o 10 od Dokoliny, w której, gdybym się do niej dostał, wychodziłem już na drogę moją. Obecność jego żenującą być dla mnie zaczynała w Dokolinie dopiero, pod warunkiem, gdyby w Tykuczu się nie zatrzymując, maszerował do Byrladu, przez to bowiem zbliżyłby się do nas o mil pięć.

Rakowica znajdował się o mil sześć od Rynzeszt i o sześć od Dokoliny.

Kalinesko, przeprawiwszy się w ślad za mną przez Prut, stanął o staję przed Rynzesztami w szyku bojowym.

Działo się to około 5tej po południu. Przez Prut przeprowiłem się między 2gą a 3cią.

Zarzucano mi, że nie kazał za sobą mostków pozrywać i promu z wodą nie puścił. Nie uczyniłem tego, a to dla tej prostej przyczyny, że uważałem to za środek, który w warunkach, w jakich znajdowaliśmy się, nie prowadził do niczego. Opóźnić mogłem pochód Kalineski najwięcej o godzin dwie do trzech i w razie najlepszym przeszkodziłbym mu atakować nas 17go nad wieczorem. Byłby nas zaatakował 18go o świcie. To położenia naszego nie polepszało bynajmniej. Przeciwnie. Mając Rakowicę nieopodal i podwoły na zawołanie, miałyby Kalinesko czas do skombinowania operacji przeciwko nam w ten sposób, iżby 18go wystawiony został bądź na skombinowany dwóch kolumn rumuńskich atak, bądź też na dwie w dniu jednym bitwy, które, w razie niepowodzenia, naraziłyby oddział na straty wielkie, bolesne a bezowocne, w razie powodzenia zaś, przytrzymały go, do miejsca przyćwiekowywały i ściągały nań kolumnę trzecią, bataljon saperów.

Temu same jedne tylko wozy, nie zaś zrywanie mostków i promów, zaradzić były w stanie. Wozy wyprowadziłyby nas z matni, odsadzając o mil siedem od Kalineski, o sześć od Rakowicy, o dziesięć a najmniej o pięć od Słaniczana i, co najważniejsza, zasłaniając od nich firanką lasów i gór, wśród których ścigaćby nas musieli po omacku, dając nam możność i czas spoczywać i na każdej niemal etapie w siły wzrastać i w środki marszu szybkiego się zaopatrywać.

Gdy m wozów nie zastał, los oddziału mego rozstrzygnięty został ostatecznie; zrywanie więc mostów i niszczenie przewozu małało do rozmiarów i znaczenia psoty prostej. Zrozumiałem to od razu. Dla tego, gdy Zima zwrócił uwagę moją na mosty i prom, wręcz mu odpowiedziałem: — „Nie trzeba.“ Nie zachodziło więc tu ze strony mojej zapomnienie. — Zima mi przypominał: ale — miałem na uwadze to, że: 1) gdybym był wozy

zastał, Kalinesko, pomimo łatwości, z jaką Prut przeszedł, byłby musiał w Rynzesztach nocować; 2) gdy wozów nie zastał, obojętną stawało się dla mnie rzeczą, jak on, łatwo czy z trudnością, przez Prut się przeprawi. Ja już dalej oddziału prowadzić nie mogłem; on zaś przez Prut przeszedłby godzin parę wcześniej lub później, dość iżby przeszedł, czemu na żaden żywy sposób przeszkodzić w stanie nie byłem, mając do rozporządzenia 180 ludzi, zbolałych i zmokłych i koni kilka.

Ujrawszy kolumny rumuńskie w bojowym szyku ku Rynzesztom postępujące, zabolalem z serca głębi i postanowiłem bitwę przyjąć w ostateczności tylko, to jest, w jednym z dwóch wypadków następujących: 1) albo, gdyby jój zapragnął Kalinesko, 2) albo, gdyby jój pragnęli żołnierze nasi.

Kazałem przeto najprzód oddziałowi wystąpić.

Oddział rozlokowanym był na kwaterach. Żołnierze tylko co poczęli osuszać odzież i opatrywać pokaleczone nogi. Mimo to, bez sarkania, wnet wystąpili i uszykowali się w zwykłym bojowym porządku. Kompanja pierwsza na skrzydle prawém, trzecia na lewém, druga we środku. Gdy ich pod bronią ujrzał — przyznam się — pożałowałem postanowienia. Przedstawiła się mi możliwość zwycięstwa, tém bardziej, że officerowie rumuńscy, odwiedzając obóz nasz pod Kostangalją, uwiadomili mnie o recepcie, jaką im minister na zwyciężenie nas przepisał. Na recepcę tę był sposób, który, z takim zwłaszcza jak nasz żołnierzem, rokował rezultat niezawodny. Korciąło mnie przeto bitwę przyjąć, jeżeli nie dla czego innego, to jedynie dla spróbowania sposobu i zmuszenia pana ministra do obmyślenia recepty innéj. Przytém i miłość własna grała we mnie na żyłach żołnierskich: — byłem wodzem; miałem pod rozkazami memi wojsko waleczne; u przeciwnika w szeregach widziałem zmniejszenie liczebne. Przeciwko ochocie atoli wyrządzenia psoty ministrowi rumuńskiemu, przeciwko podszeptom miłości własnéj, stawały

racje poważniejsze, dla których nie uważałem za rzecz godziwą poświęcać ludzi, co się oddali pod rozkazy moje.

Uszykowawszy przeto oddział, nie czekałem, jak pod Etiulikiej i pod Kastangalją na parlamentarza rumuńskiego, lecz wyprowadziłem Przewłockiego z chustką białą i z żądaniem rozmowy z Kalineską. Nim Przewłocki powrócił, przejechałem przed frontem oddziału. Postawa żołnierzy politowanie obudzała. Każdy, na karabinie oparty, ledwie stał. Znękanie na obliczach wyraźnemi wyryło się bruzdami. W szeregu trzymała ich tylko karność sama, dla której daliby się wystrzelać i wykłuć. — „Karność tylko sama“ powtarzam, nieprzyjaciel bowiem, którego w chwili téj przed sobą mieli, nie był to wróg ojczyzny, nie był to ani Moskal, ani Niemiec: był to ten sam, co wczoraj szpitale swoje dla rannych naszych otworzył. Zwyciężony ten był zwycięzcą, który zdobył sobie wdzięczność w sercach ludzi, zdolnych oceniać czyny szlachetne. Gdyby nie czyn ten, kto wie, czy Kalinesko nie byłby został zmuszonym znów w raportach do ministra wojny chwalić się „energicznem cofaniem wojsk rumuńskich przed bandą polską.“

Major Jagmin przed front wyszedł i, zbliżywszy się do mnie, do ucha mi szepnął: „Żołnierz zmęczony.“

Kapitan Cieszkowski także po cichu uwiadomił mnie o tém samém.

Zbyteczném było uwiadomianie o tém, co się samo w oczy rzucało, a co zresztą nie stanowiło rzeczy głównej w krytyczności położenia naszego. Tak major Jagmin, jak kapitan Cieszkowski, zwracając uwagę moją na zmęczenie żołnierza, spełnili powinność swoją; nie wiedzieli jednak, że zmęczenie odegrywało w tym razie rolę podrzędną i, gdyby o nie tylko chodziło, byłbym się odwołał do karności, kazał się bić i żołnierz, przez nich prowadzony, byłby, mimo zmęczenie, ze skóry się wywłókł i zrobił co do niego należało. O! był to bowiem żołnierz cuda tworzyć zdolny.

Parlamentarz mój powrócił z uwiadomieniem, że pułkownik Kalinesko prosi. Ten ostatni zatrzymał kolumny swoje i wyjechał naprzód. Wyjechałem naprzeciwko w towarzystwie Przewłockiego i Zimy.

— „Pułkowniku — zacząłem — chcesz bić się znów?...“ — „Rozkazy mam takie.“ — „Oświadczam ci, że nie chcę rozlewać krwi waszój.“ — „I ja nie chcę rozlewać waszój; ale mam rozkazy wyraźne nie puszczenia was zbrojnych przez Mołdawię.... złóżcie broń....“ — „Pod warunkiem?...“ — zapytałem. — „Pójścia do Polski.“ — „Z bronią więc puścić nas nie chcecie, bez broni chcecie?“ — „Zależy to od rządu mego.... Rząd sam broń wam odstawi może.“ — „Możesz na to dać słowo?“ — „Nie mogę.... Mogę jeno honorem ręczyć, że was jak braci, traktować będziemy....“ — „O tém nie wątpię....“ — odrzekłem. Na tle tém zasnęła się rozmowa. Kalinesko, jak przed bitwą pod Kostangalją, zaklinał mnie, ażebym się nie upierał, nastając na to szczególnie, żem honorowi wojskowemu uczynił zadość.

Honor wojskowy nie pierwsze w trosce mojej zajmował miejsce. Chodziło mi głównie o to, że zrywała się nitka, która sprawę polską przywiązywała do interessów Europy, najdrażliwszych i najdelikatniejszych. Żał mi było za nitką ową. Doznawałem uczucia ojca, patrzącego na konanie ulubionego dziecka. Trudno jednak, nie przebić głową muru. Obsaczonych i zadyszanych 180 ludzi było za mało do utrzymania przywiązki téj. Gdybym miał być więcej!... Nie było atoli czasu, ani na ubolewanie nad tém, co się urywało, ani téż na rozmyślanie o tém, coby się stać mogło, gdyby.... A!

Zawahałem się, gdy przyszło do powzięcia postanowienia ostatecznego. Na powtarzającą się ustawicznie zwrotkę Kalineski: „Złóż broń“ — odrzekłem: — „Poczekaj chwilę.... zapytam żołnierzy moich.... Jeżeli przystaną na złożenie broni, dobrze.... jeżeli nie przystaną, będziem się bili....“ — Kalinesko wyraził zdziwienie swoje, gdym wyznał, żem jest od żołnierzy zależny.

Przystał jednak na to, ażebym ich zapytał. Zwróciłem konia i pogalopowałem przed front oddziału.

— „Żołnierze! — zawołałem — Rumuni chcą, ażebyśmy złożyli broń, za to obiecują do Polski nas puścić i po bratersku traktować.... Zapytuję was: czy chcecie broń złożyć, czy bić się?...“

Odpowiedzią zrazu była cisza niema. Powtórzyć musiałem przemówienie i zapytanie. Znowu zapanowała cisza; po chwili jednak odzywać się poczęły pomruki pojedyncze, znamionujące niechęć bicia się z Rumunami. Ktoś wymówił wyraz: „Moskale“ — i powstał okrzyk gwarny: — „Bić się chcemy z Moskałem!.... z Moskałem!... z Moskałem!...“ — „Gotowi więc jesteście żądaniu Rumunów uczynić zadość?...“ — Znowu nastała cisza. Widozném było, jak waleczni ci walczyli sami ze sobą. I byłoby zapewne długo jeszcze stan ten wahania się trwał; i byłoby — czegom się lękał — stanęło może na tém, iżby rozstrzygnięcie kwestji zdaniem zostało na mnie; gdyby się był Drzewiecki nie odezwał: — „Rumuny gałgany!... Co tam z nimi się wdawać!... Idźmy na gałganów tych! hura!“ — Słowom tym odpowiedział pomruk głuchy, nacechowany akcentem protestu, który wyraził się wreszcie pod postacią decyzji złożenia broni. Że na powzięcie decyzji téj wpłynęło znużenie, to rzecz pewna. Nie znużenie jednak rzecz rozstrzygnęło, a to, że gałganami nazwani zostali ci, co się wcale nie znaleźli po gałgańsku, zabierając rannych naszych. Gdyby się był Drzewiecki odezwał inaczej, możeby decyzja na korzyść bitwy była nastąpiła. Chcąc się co do takowej upewnić, zapytywałem kompanji każdej z osobna; z żołnierzami rozmawiałem; dopytywałem się ich. Wreszcie z majorem Jagminem ułożyliśmy program dopełnienia ceremonjału smutnego — co wszystko odbywało się głośno, przed frontem, w obec korpusiku, stojącego w szyku bojowym pod bronią ostro nabitą, w obliczu przeciwnika, który tak niedawno przed nim uciekał.

Nie potrafię opisać tego uniesienia radości, jakie na wiadomość o decyzji żołnierzy polskich okazała liczna Kalineski świta. Kalinesko na szyję mi się rzucił. Officerowie otoczyli mnie i dziękowali.

Nie potrafię też opisać, jakim, wśród uniesień tych, było wewnętrzne usposobienie moje. Bolałem duszą całą — musiałem spokój udawać.

Wojska rumuńskie ruszyły naprzód. Kalinesko wyprzedził je i, wraz ze mną, z Przewłockim i Zimą, świtą liczną otoczony, przyjechał przed front oddziału naszego. Oddział salutował go, prezentując broń.

Wojska rumuńskie uszykowały się frontem rozwiniętym na pięćdziesiąt kroków przed oddziałem i nastąpiła wymiana pozdrowień regulaminowych.

Następnie, ja pierwszy, dla dania przykładu z siebie, odpasałem pałasz i Kalinesce go wręczyłem.

Jagmin zakomenderował: — „W kozły broń!“ — i po złożeniu broni w kozły: — „Odstąp!“ — cofnął oddział o kroków piętnaście.

I — zostaliśmy jeńcami wojennymi.

Przedostatni z drukowanych w Buciumulu raportów Kalineski, brzmi, jak następuje:

= Falezi 6 (18) Lipca 1863 r. — Panie generał-majorze Floresku. — Powód, dla którego spóźniłem się z depeszą, był ten, że obecnie być musiał przy rozkwaterowaniu wojsk. Polakom dano 14 domów we wsi Rinzeszti, położonej nad brzegiem Prutu. Nasi są częścią w biwakach, częścią w górnej połowie wsi Rinzeszti. Rozstawione zostały warty brzegiem Prutu i we dety na wzgórzach nad wsią panujących. — Polakom dało się zaopatrzenie wszelkie. Są w rozpaczli największej, że zmuszeni zostali broń złożyć. Ścigani z bliska, było im, po 18 godzinnym marszu, niepodobieństwem opierać się wojskom naszym, które szły (jechały) za nimi z okrzykiem ura! (nie prawda). — Celem ich rzeczywistym było dojść do Michalen, gdzie oczekiwało na nich wiele band polskich. Myśleli, że uda się im, natychmiast po przejściu Prutu, wejść w góry. Mieli postanowienie nie zatrzymywać się w Mołdawii wcale, ponieważ w Galicji połączyć się mieli z wielu Polakami, którzy tam na nich czekali. Broń zabrana im: 8 pistoletów jednorurnych, 27 rewolwerów, 30 szabli, 2 różki

myśliwskie, 176 ładownic, po największej części z ładunkami, 169 karabinów, pomiędzy którymi 40 sztuców, 46 lanc i kilka strzelb myśliwskich. — Konie, w liczbie 20, ponieważ są własnością prywatną, zostawiły się im. Liczba Polaków, co broń złożyli, jest 194, pomiędzy nimi 39 officerów. Wszyscy są to prawdziwi Polacy, z wyjątkiem Francuzów paru. Officerowie i żołnierze ludzie wykształceni, pełni odwagi i strzelce dobrzy. Koniecznym jest dać wojsku naszemu broń gwintowaną. Żołnierze nasi są skończenie waleczni i do boju ochoczy. Officerowie polscy, którzy odbywali kampanji wiele, waleczyli z Austrjakami i Moskalami, zachwycali się walecznością i dyscypliną żołnierzy naszych i oświadczyli, że mało widzieli żołnierzy tak odważnych jak nasi i że, byle ich prowadzić dobrze, można mieć z nich wojsko jak najlepsze. Przez to pochlebiać nam nie chcieli, powiedzieli prawdę. — Majora Saegiu poszłę do Bukaresztu. — Medyk Popesku zasługuje na karę za postępowanie niegodne. — Myślę, że wypadaloby przykładnie ukarać tych, co Polakom pomagali, tych zwłaszcza, co prom im dali, że Prut przejść mogli. — O ile polecam panu żołnierzy linjowych, o tyle uprzedzam, że na żandarmów rachować nie można. Są i pomiędzy nimi ludzie dobrej woli, korpus officerów jednak źle jest dobrany. — Dla zachęcenia wojsk awansowałem dziś właśnie kaprali wielu i szeregowych. Pewny jestem, że pan to zatwierdzisz. Niżej wymienieni sierżanci odznaczyli się w bitwie 3 (15) Lipca. Przedstawiam ich na podporuczników. Jak skoro ich pan zamianujesz, proszę uwiadomić mnie drogą telegraficzną, ażebym mógł im przed frontem w imieniu jego powinszować. (Opuszczam nazwiska do awansu przedstawionych)... Rozkaż, co mam z Polakami robić. Daje się im: oko mięsa, pół oka wina i oko chleba, na officera każdego; stopniom zaś niższym, po 150 gram mięsa, po litrze wina i oku chleba; furaz dla koni i dodatki wszelkie. — Rozkaż, kiedy i dokąd udać się mam z wojskiem. Co zrobić z bronią polską? Proszę o pozwolenie rozdarowania rewolwerów i szabel zbytko-wnych officerom, co się bili. — Stan wojska: 17 officerów, 454 szeregowych z pułku Nr. 3, 12 officerów, 320 szeregowych z pułku Nr. 5, 4 officerów, 48 szeregowych z korpusu żandarmów — ogółem: 33 officerów. 827 szeregowych, zformowanych w 7 kompanji, 4 z pułku Nr. 3 i 3 z pułku Nr. 5. Officerów sztabowych 4.

Porównyując wykaz ten z poprzednim, pokazuje się, że cyfry nie zgadzają się zgoła, pomimo że daty dwóch tych raportów różnią się o godzin 24, zajętych przejazdem z Pilinei do Rynzeszt, w ciągu którego nie przybył żaden człowiek posiłkowy ani jeden, podczas gdy ubytek zdarzyć się mógł. Tymczasem liczba ludzi wzrosła raptem z 502 na 827, officerów z pułku Nr. 3 zmniejszyła się z 13 na 12, officerów z pułku Nr. 5 powiększyła się z 14 na 17, sztabsofficerów z 3 na 4. Daje to miarę wiarogodności

depesz, co do faktów, odnoszących się do operacji wojskowych. Raport kończy się tak:

= Według informacji, jakie zebrałem, liczba Polaków w bitwie 3 (15) Lipca była 263 (nieprawda). Obecnie jest ich tylko 194. Zabitych było 16 (nieprawda), rannych 13, których odesłałem do Gałacu. Jest tu jeszcze około 20 lekko rannych. Pokazuje się, że w bitwie liczba poległych większą była od téj, którą panu podałem. Przez pocztę prześlę szczegóły dokładniejsze. — Davilla i Leon Gika pojechali do Gałacu, wziawszy ze sobą medyka polskiego. (Podp.) Płk. Kalinesko; szef sztabu w obozie Rynzeszti kapitan Algiu.

Oto jeszcze raport jeden, ostatni:

= Falezi 7 (19) Lipca 1863 r. — Panie generał-majorze Floresku. Wedle depeszy wysokości jego, mam rozkaz wysłać Polaków do Kahulu i pozwolić płk. Miłkowskiemu pojechać do Bukaresztu. W depeszy pańskiej, pisanéj o 3½ godzinie, mówisz mi pan tylko o pozwoleniu dla płk. Miłkowskiego, co się transportowania Polaków tyczy nie dajesz rozkazu żadnego. Donieś mi, proszę, co robić. Prefekt kahulski, stosownie do rozkazu ministra spraw wewnętrznych, żąda, ażebym Polaków oddał pod śledztwo prokuratorowi. Wojska nie wypoczęły jeszcze. Jak Polaków transportować mam? Mówisz pan, ażebym oczekiwał na rozkaz drugi, co do wymarszu z Rynzeszti. Dokąd mam z wojskiem iść? Wiele kompanji mam z Polakami wysłać i dokąd ich prowadzić? Czekam na rozkazy pańskie. Kapitan Algiu przygotowuje relację o marszach i szczegółach bitwy pod Kostangalja-Baženare, o stracie broni i o marszach jakie od początku zrobiłem. (Podp.) Płk. Kalinesku.

Teraz kolej raportować na mnie.

Kalinesko dotrzymał słowa. Jak tylko oddział od broni odstąpił i officerowie, wbrew zwyczajom wojskowym, pałasze oddali, rozpoczęło się traktowanie nas jak braci, ale — braci w niewoli. Wróciliśmy na kwatery, które wnet obstawione zostały łańcuchem wart. Byliśmy zbolali i fizycznie i moralnie, i o niczem już myśleć nie mogliśmy, z wyjątkiem spoczynku. Sen przedstawił się w postaci szczęścia największego.

Rzuciłem się na prycę, zastępującą w chałupach mołdawskich łóżko i zasnąłem twardo, głęboko.

Około północy zbudził mnie blask latarki. Otworzywszy oczy, ujrzałem przed sobą Kalineskę, w towarzystwie pana ja-

kiegoś w cywilnej odzieży. Zbliżyli się na palcach i, gdy głowę podniósł, jeden z nich dał ręką znak zachowywania się cicho, wskazując na śpiących obok, Zimę, Przewłockiego, Czajkowskiego i Akorda. — „Pan Leon Gika, prefekt Gałacki, wyznaczony przez rząd, jako komissarz w sprawie panów....“ — rzekł Kalinesko, rekomendując człowieka w odzieży cywilnej. Prosiłem panów tych siedzieć. Usiedli na pryczy obok mnie i, przy blasku latarki, dali mi do przeczytania rozkaz, podpisany przez księcia Kużę. Książę nakazywał traktować nas jak ludzi, którzy nie występki, ale błąd popełnili, obchodzić się z nami jak najlepiej, zaopatrywać wszystkie potrzeby nasze i zapytać mnie, czybym nie zechciał do Bukaresztu pojechać dla rozmówienia się z nim osobiście. — „Co pan na to?...“ — zapytał z panów tych jeden, gdy czytanie depeszy skończył. — „Propozycję księcia przyjmuję jako rozkaz — odrzekłem; przed spełnieniem jednakże rozkazu tego, miałbym prośbę jedną do panów, a mianowicie, ażebym do Bukaresztu jechał nie sam, ale w towarzystwie majora Przewłockiego, będącego przy oddziale komissarzem wojennym Rządu Narodowego. Panowie rozumiecie, że przy rozmowie z księciem potrzebuję świadka, mającego prawo kontrolowania czynności i słów moich.“ — „To prawda — odpowiedział pan Leon Gika — do udzielenia atoli pozwolenia tego, potrzebujemy zapytać władzy. Książę pisze o panu tylko samym.“ — „Kiedyż jechać mam?“ — „Pan sam, chociażby natychmiast; z majorem zaś Przewłockim, wstrzymać się musisz do przyścia z Bukaresztu odpowiedzi.“ — Na tém zakończyła się rozmowa. Po wyjściu panów tych, zbudziłem natychmiast Zimę i Przewłockiego i opowiedziałem im o tém, co w obecności ich zaszło.

Półurzędowe i niechętne nam dzienniki rumuńskie i korespondencje zagraniczne podawały, jakoby o widzenie się z księciem Kużą prosił. Nieprawda. Prosiłem o pozwolenie zabrania ze sobą do Bukaresztu Przewłockiego. Widzenie się zaproponował

Kuza z natchnienia własnego. Czy przyznawanie się do tego ubliżaćby miało godności jego?

Grzeczność dla nas i uprzejmość pułkownika Kalineski i w ogóle officerów wszystkich, zwłaszcza zaś szefa sztabu, kapitana Algiu, była zawsze jak największą. Potrzeby nasze zaspokajano dostatnio. Zbywało nam na tém chyba, czego w niezasobnej okolicy dostać nie było można. Osładzano nas sposobami wszystkimi niewolę i nie godzi się wdzięcznym nie być Rumunom za chęci dobre, wykonanie których nie w ich znajdowało się mocy, dla tego jedynie, że niewoli, w niebie ponoś nawet, osłodzić nie sposób.

Nazajutrz odwiedził mnie dr. Davilla i zapewnił, że ranni nasi w Gałacu wszelkie mają wygody. Dla zupełnego pod względem tym zaspokojenia mnie, zaproponował, ażebym do rannych wykomenderował jednego z lekarzy naszych. Przyjąłem propozycję tę ze skwapliwością i wyprawiłem dra D., który w Gałacu zasłynął, jako operator szczęśliwy i bardzo zręczny.

Do chwili przyjsia z Bukaresztu odpowiedzi na żądanie moje, nie zaszło szczególnego nic. Dowiedzieliśmy się jeno, że oddział nasz przeprowadzonym być ma do Kahulu. Odpowiedź nadeszła 18go nad wieczorem dopiero, najbliższe bowiem biuro telegraficzne znajdowało się w odległości mil pięciu. Książę zezwalał na przyjazd mój z Przewłockim. Pojechałem przeto, przed wyjazdem atoli, zgromadziłem oddział, zrobiłem przegląd i przed frontem odczytać kazałem co następuje:

„Nr. 72. Naczelnik wojskowy południowej części Podola i oddziałów wracających. — Rozkaz dzienny. — Żołnierze! — Odjeżdżam na czas jakiś z pośród was. Na miejscu mojem pozostaje major Franciszek Zima i aż do powrotu mego przy nim będzie naczelnictwo nad wami. — Rząd Księstw Zjednoczonych postanowił internować nas w Kahulu. Jest to postanowienie tymczasowe. Dalszy nasz los w krótkie ostatecznie rozstrzygniętym zostanie. — Nie upadajcie na duchu — nie traćcie nadziei — bądźcie spokojni i cierpliwi, a zajdziemy jeszcze do Polski. — W Kahulu wypłaconym wam zostanie żołd zaległy, który, według postanowienia Rządu Narodowego, jest następujący: na szeregowego dziennie gr. pol. 15; na podofficera 20; na sierżanta i furjera złp. 1; na podporucznika,

porucznika i kapitana złp. 2; na majora, podpułkownika i pułkownika złp. 4. — Żołd liczyć się ma od chwili przekroczenia Dunaju do momentu złożenia broni. — Organizacja nasza pozostać powinna nietykalną. Dowódcy kompanji, officerowie i podofficerowie niech zachowują miejsca swoje i utrzymują ludzi w porządku, niech regularnie robią służbę i apele, niech przestrzegają aby żołnierze prowadzili się przyzwoicie i przykładowie. — Rynszeshti 19 Lipca 1863 r. — (M. P.) — (Podp.) Z. Miłkowski, płk. — — F. Zima, szef sztabu.“

Pojechaliśmy. Podróż odbywaliśmy incognito, pod przybraném nazwiskiem kapitana Algiu, rolę którego odegrywał Prze-włocki. Na żądanie moje, dodał nam Kalinesko sierżanta z pułku rumuńskiego, który miał obowiązek pilnowania na pocztach pospiechu przy przeprzeganiu koni. Jechaliśmy więc szybko. Dnia 21go Lipca o dziesiątej rano stanęliśmy w Bukareszcie, w hotelu, nie wiedząc o tém, że książę wysłał naprzeciwko nas powozy i kazał przygotować mieszkanie prywatne. Rozminęliśmy się. Spotkałem wprawdzie powozy owe, stojące na ostatniej przed Bukaresztem stacji pocztowej, lecz domyślić się nie mogłem znaczenia ich. Widział mnie podprefekt na warcie postawiony, lecz przypuścić nie mógł, ażeby pułkownik drabiniastym miał podróżować wozem — a takim był wóz nasz. Na poczcie zapisaliśmy się pod nazwiskiem Algiu. Dla tego, zmieniwszy konie, pojechaliśmy dalej, podprefekt zaś, prefekt obwodu bukaresztskiego i ktoś jeszcze pozostali na warcie aż do powrotu naszego, przepędziwszy na wyglądaniu godzin 48.

W Bukareszcie o przybyciu mojem zawiadomił natychmiast ministra wojny towarzyszący mi sierżant. Dla tego, zaledwem się z kurzu otrzepać zdołał, zjawił się Francuz, nazwiskiem Dodun de Perrier, zajmujący stanowisko urzędowe, którego ks. Kuza wyznaczył mi na przewodnika w stolicy Księstw Zjednoczonych. Pan Dodun oświadczył mnie ze stanem rzeczy, a raczej umysłów, który w następujący da się skreślić sposób:

Wszystko w Bukareszcie, tak w sferach rządowych jak w nierządowych, usposobioném było względem nas jak najlepiej.

Jeżeli w usposobieniu *tém* zachodziły różnice, to takowe odnosiły się do form, nie zaś do istoty rzeczy. Rząd pragnął zachować *decorum*, znamionujące panowanie nad sytuacją. Opinia publiczna, tak w kraju jak w stolicy, domagała się wyraźnego i głośnego oświadczenia się za Polakami. Rząd lękał się być przez publiczność skompromitowanym, przez publiczność zwłaszcza bukaresztską, która, na wieść o przyjeździe mojem, przygotowywała się z demonstracyjnymi na cześć moją owacjami. Opowiedziawszy mi to wszystko, p. Dodun zakończył, że jeżeli chcę owacji, mogę mieć takową, „*bruyante et formidable*.”

Nie chciałem owacji, nie tyle przez skromność, lecz dla tego, że nie sądziłem, ażeby ona przydała się na co. Gdybym spodziewać się mógł, że demonstracja tego rodzaju zmusi rząd do wejścia na drogę polityki śmiałej i wyraźnie nam przyjaznej, polityki, któraby z Bukaresztu wystraszyła konsula moskiewskiego, sprowadziła *casus belli* i zawichrzyła horyzont kwestji wschodniej, nie byłbym się wahał ani chwili i, korzystając z udzielonej mi swobody w wyborze, pierwój aniżeli do Kuzy, udał się do hotelu, w którym zasiadał *en permanence* klub, obradujący nad zorganizowaniem owacji i trzymający na rogatce wartownika, wyglądającego przybycia mego. Wiedziałem atoli, a raczej przewidywałem, że to skończyłoby się na niczém — na hałasie i, może, na ulicznym z policją zatargu, któryby osób kilka na więzienie naraził. Byłoby to głośne, ale, nie doniosłe na tyle, ażeby wpłynąć miało na sprawę polską, *tém* mniej zaś na los oddziału, obstawionego wartami wojskowymi w Rynzesztach. Myliłem się może — tak mi się jednak wydawało, przypuszczałem bowiem, że, jeżeli Kuza radzi się opinii publicznej, to samo nastawienie się onęj dostatecznym jest do wpłynięcia na postanowienie jego; jeżeli zaś nie radzi się, w razie takim demonstracja, nie poparta rewolucyjnym „*sic volo*,” będzie jeno czczą paradą, zdolną jedynie zaspokoić moją miłość własną. Oświadczyłem przeto panu Dodun wręcz, że bawić pragnę w Bukareszcie jak naj-

krócej i przez czas pobytu mego zachowywać incognito jak najściślej.

Pana Dodun ucieszyło wielce to postanowienie moje. „Rząd będzie panu wdzięczny — powiedział. Rząd pragnie w sprawie téj wolną mieć rękę i, jeżeli ks. Kuza radzić się będzie inspiracji własnych, to pójdzie dalej, aniżeli opinia publiczna.“ — I dodał półgłosem: — „Broń wam odda i do Polski pūści.“

Nie żywiłem nadziei takich świetnych; z mowy atoli Doduna zmiarkowałem, żeśmy w Księstwach Zjednoczonych podbili opinią publiczną, która, pomimo całej politycznej księcia panującego niepodległości, wywiera na niego nacisk. Poznałem to z téj za incognito wdzięczności. Poznałem przeto, że w Rumunji sprawa nasza nie stoi źle — że, mimo niepowodzenie, jakiego doznała wyprawa, zdobyliśmy dla sprawy polskiej w opinii publicznej sprzymierzeńca, na którego do stopnia pewnego liczyć można. Sprawa polska miewa sprzymierzeńców tego rodzaju; może liczyć na nich zawsze: chodzi o to jeno, ażeby odwołała się do nich w momencie właściwym, to jest, wówczas kiedy oni górą. Momentem takim nie był ten, w którym do Bukaresztu przybyłem.

P. Dodun poprowadził nas do ministra wojny, ten zaś ostatni zawiózł do księcia.

U książąt, panujących zwłaszcza, wielką — jak to powszechnie wiadomo — humor odegrywa rolę. Mają oni w naturze swojej coś niewieściego; podlegają kaprysom i dąsom z dobrego lub złego płynącym humoru. Zależy to, zdaje się, od szczybla tego, co się tronem zowie. Książę Kuza, mimo że z pochodzenia nie wielki pan, ani zrodzony na tronie panujący, podlega atoli chorobie téj. Zastaliśmy go w humorze fatalnym, dzięki naszemu asystentowi podróżnemu, sierżantowi, który przed chwilą opowiedział mu szczegóły bitwy pod Kostangalją. Szczegółów tych domyślić się nie mógł z raportów Kalineski, mówiących o „cofaniu się energiczném“, o „skończonej waleczności żołnierza“, etc. Księciu wydawać się musiało, że, w rzeczy samėj, na dany przez

nieszczęsnego Saegiu sygnał, kolumny rumuńskie, zrobiły na lewo w tył i pod ogniem tyraljerów polskich, posługujących się bronią angielską, odmaszerowały w zawsze groźnej postawie. Sierżant wygadał, że rzecz, jak co do odwrotu, tak co do gatunku broni, miała się inaczéj trochę. Ztąd gniew na Kalineskę, który go nieco okłamał, na młode odradzające się wojsko, na wszystkich i na wszystko, a z gniewu zły humor, pod wpływem którego nastąpiło moje i Przewłockiego przybycie.

Wszakże, mimo to, przyjęcie, jakiegośmy doznali, pełne było uprzejmości i pewnej, że tak powiem, dobroduszości. Lękałem się tak zwanego antyszambrowania. Kuza oszczędził nam przykrości téj. Jak skoro weszliśmy do pałacu, minister zaanonsował nas i zaprowadził do gabinetu książęcego, gdzie pozostaliśmy we trzech: Kuza, Przewłocki i ja. Kuza posadził nas obok siebie, papierosami potraktował, zapalki podał i zawiązał rozmowę, która trwała godzin dwie blisko i która pod koniec pierwszej połowy swojej w gawędkę się zmieniła. Zdaje się, że niebawem wywietrzał zły humor i Kuza odzyskał usposobienie swoje naturalne, serdeczne a otwarte.

Wrażenie, jakie wywarł na mnie ten jedyny panujący, z którym się spotkałem na drodze żywota mego, da się jednym określić wyrazem: nijakie. Szedłem ze wstrętem pewnym, uważając siebie, w odniesieniu do figur tego rodzaju, wielkich i małych, za buntownika z profesji. Stanąwszy jednak oko w oko, nie zadrzałem, jako listek osikowy. Bo téż, gdyby nawet drzeć było czego, to książę Kuza, dzięki wzięciu się swemu, w stanie jest obawy rozproszyc — tak po przyjacielsku na ludzi patrzy, taki ma w obejściu się wdziek naturalny. Po kwadransie spędzonym z nim razem, było mi już tak swobodnie, jakbym gościł u dobrego znajomego.

Rozmowę zaczął książę z wysoka trochę, sposobem oratorskim i francuszczyzną bardzo czystą. Wypalił mi speech o prawach międzynarodowych, o zgwałceniu takowych przezemnie,

o obowiązku swoim bronięcia nietykalności ziemi, o nienaruszalności granic, o mojem zuchwalstwie nadzwyczajnem, o łzach matek oplakujących poległych pod Kostangalją synów i o innych rzeczach tym podobnych. Gdy skończył, odpowiedziałem, że prawa międzynarodowe stosują się do tych jeno, co z onych użytkują i korzystają, nie do nas zaś, z pod praw wyjętych: dla tego téż nie pytaliśmy się o nie — one nas nie zobowiązują zgoła. Szliśmy do Polski, drogą która była przed nami; a że na drodze téj Mołdawieśmy napotkali, to wina nie nasza, ale geografii raczej. — „Dla czegoż strzelaliście do wojsk moich?“ — „Drogę nam zastąpiły.“ — „Gdybym ja sam na czele się znajdował, strzelalibyście?...“ — Na kłopotliwe to zapytanie, odpowiedziałem: — „Pełnilibyśmy obowiązek nasz, dojścia do Polski.“ — „Czemużecie się pod Rynzesztami nie bili?“ — „Nie chcieliśmy się bić z wojskami waszjej książęcej mości, przypuszczając, że takowe, po próbie pierwszej zaprzestaną nam przeszkody stawiać.“ — Rodzaj ten indagacji na tém się skończył. Książę znów w oratorski wpadł zapał, nie tak już atoli wysoko napięty, jak poprzednio, pomimo że mówił o podeptaniu przez nas narodowego Rumunów honoru. — „Wyrządziłeś — mówił — pułkowniku, wielką Rumunii krzywdę. Cóżby świat powiedział o państwie, przez któreby zbrojne przeciągać mogły oddziały?... Nie pomyślałeś o tém, ty, którego Rumunja uważała za swego prawie. Znam ja ciebie; znam z reklamacji licznych, czynionych o osobę twoją przez Moskali i Austrjaków. Pod nazwiskiem Melko w Michalenach mieszkaleś. Masz żonę i dziecko. Jam cię bronił, w imieniu Rumunii, a ty.... jak się jój odwdzięczyłeś?... Napadłeś ją, obrońców jój zabijałeś!... Czém ty jój krzywdę tę spłacisz?... sam powiedz: czém?...“ — „Znajduję się w rękach wysokości waszjej — odparłem — sądzić mnie każ....“ „A ba!... — przerwał, z oznaką niecierpliwości żywej — tożbym narobił sobie!... Cóżby Rumunji, albo mnie z tego przyszło, gdyby ciebie rozstrzelano?... Nie.... Rumunja kiedyś zażąda krwi twojej.

Pamiętaj to, pułkowniku, sobie! Zadłużyłeś się u Rumunii krwią, kiedyś będzie ona walecznych potrzebowała ramion....“ — „Jeżeli o to chodzi — odrzekłem — to na usługi jestem z gotowością całą i za najszcześniejszego mieć się będę, gdy mi się nadarzy sposobność spłacenia w sposób ten długu, byleby przyszło mi walczyć przeciwko Moskałom albo Austrjakom....“ — Kuza na to ręką machnął, jakby dla przerwania dalszego gotowości mojej wyводу i do innego przeskoczył przedmiotu.

— „Co robić mam z oddziałem waszym?“ — zapytał. — „Nie wiem — odrzekłem — kwestję tę rozstrzyga wysokości waszój wola.“ — „Cóżbyście jednak, panowie, chcieli, ażebym zrobił?“ — „Broń nam oddać i do Polski puścić.“ — „Hm.... — mruknął i uśmiechnął się — tak nie można, ale, oto jak: broń wam oddam, bo i na cóż mi ona? ale nie puszczę was wszystkich. Puszczę officerów i inteligencją, ludzi trzydziestu do czterdziestu: ci niech idą po jednym, po dwóch, po trzech do Polski; oni tam potrzebni, wiem bowiem, że powstaniu polskiemu na officerach brak.... Żołnierzy prostych i ciebie, pułkowniku, do Turcji odeślę....“

Milczałem na to; głowę spuściłem; żal mi się zrobiło biednych żołnierzy naszych, co szli za Polskę w Polsce umierać.

Przewłocki uwagę zrobił, że wyrok to dla nas ciężki i bolesny, którego officerowie nie przyjmą, gdyby przyjęli bowiem — w jakimże świetle postawiłoby ich to w oczach żołnierzy!

— „Wszakżeż oprócz officerów pozwalam na wybór, stosownie do upodobania waszego!... Wybierzcie waleczniejszych, lepszych, zdolniejszych.“ — „Wybór taki jest niemożliwym — odparł Przewłocki. U nas wszyscy jednakowo waleczni i, po za frontem, po za służbą wszyscy równi.“ — „Pozwalam więc na liczbę większą: pięćdziesiąt do sześćdziesięciu, co?..“

Przewłocki milczał i jam milczał.

— „Zresztą mówić nie ma o czém. Wasi sami prosili mnie o odesłanie do Turcji oddziału całego....“

Spojrzeliliśmy na Kużę wzrokiem podziwu i pytania pełnym.

— „Tak, wasi — powtórzył — de la part du gouvernement national.... Prosili mnie o oddział cały: ja pozwałam wam wyłączyć 50 do 60 ludzi....“

Na prawdziwe takie dictum acerbum odpowiedzieć nie było co. Nie można było, przez wzgląd na to, że Rząd Narodowy tajemnicą się okrywał, zapytać, co to za „wasi.“ Nie można było Kużie przeczyć, ani nawet w wątpliwość podawać faktu, który on podawał z pewnością taką. Był to sęk, o który rozbijała się nadzieja, wyjednania dla oddziału swobodnego do Polski przejścia. Do czynienia przeto nie pozostawało nam nic lepszego, jak wyrok do wiadomości przyjąć, zachowując sobie na później przeciwdziałanie wykonaniu onego, za pomocą stawiania przeszkód i trudności.

Co to jednak byli za jedni, owi „wasi,“ co nam taką przysługę oddali?

Wprawdzie, gdybyśmy byli domyślniejsi trochę, nie pytając, z ust Kuży samego bylibyśmy się dowiedzieli ubocznie, co to za jedni byli. Kuza bowiem, w toku rozmowy, zapytał, czy znamy księcia Czartoryskiego. Odpowiedziałem, że nie znam. Przewłocki powiedział, że zna z daleka. Ani mnie atoli, ani Przewłockiemu przez myśl nie przeszło, ażeby zapytanie to pozostawało w związku jakim z wyprawą naszą, z oddziałem, z losem tego ostatniego. Myśleliśmy, że Kuza pyta o ks. Władysława. Aniśmy przypuszczali, ażeby inny jaki Czartoryski stołka nam przystawić miał. Wyjaśniło się to później dopiero.

Następnie, książę się rozgadał. Napomknął żem się wiązał z opozycją; na moje jednak zaprzeczenie zapytał, dla czegom się do niego nie zgłosił wprost i otwarcie. — „Można było — mówił — zrobić rzecz po cichu, bez hałasu. Nie pozwoliłbym na to, ażebyście się na rumuńskim zbroili gruncie, ale byłbym wam przepuścił ludzi i broń, jak przepuściłem broń moskiewską do Serbii. Czy myślicie, żem zrobił to dla Moskali?... Bynaj-

mniej: zrobiłem to dla Serbji, dla zasady narodowości, dla téj zasady, co mnie na tronie Księstw Zjednoczonych posadziła. Wszystko dla mnie jedno, kto tę zasadę przeprowadza, czy Moskale, czy Niemcy, czy Francuzi....“

Byłoby dużo na rozumowanie to do odpowiedzenia; przez wzgląd jednak na grzeczność, bardziej zaś na to, że pochodziło ono z ust potentata, w rękach którego znajdował się oddział nasz, i Przewłocki i ja w milczeniu słuchaliśmy wywodów książęcych. — „I nadal gotów jestem pomagać wam — mówił dalej — tylko ostrożnie i pod warunkiem, ażebym o każdym waszym wiedział zamiarze. Bez tego nie mógłbym pomagać skutecznie. Potrzeba przeto, ażeby przy mnie znajdował się agent pełnomocny waszego Rządu Narodowego, któryby się ze mną porozumiewał bezpośrednio.“

W materji téj rozmówiliśmy się obszerniej nieco. Podjąłem się przedstawić Rządowi Narodowemu potrzebę zamianowania w Bukareszcie specjalnego agenta pełnomocnego, tymczasem zaś przedstawiłem Kuzie, jako uppełnomocnionego na Mołdawię do spraw polskich komissarza, Michała Mrozowickiego.

Załatwiwszy sprawę tę, rozmawialiśmy długo jeszcze, ale o bitwie pod Kostangalją ani słowa, z wyjątkiem aluzji jednéj. Mówiąc drugim nawrotem o niegodziwości napadu, jakież się dopuściłem i o rozlaniu krwi obrońców Rumunii, dodał: — „Zresztą ma to i dobrą swoją stronę: ochrzciliście mi wojsko młode, które nie może żądać ojców chrzestnych lepszych.“ — Wymawiał mi proklamację do Rumunów, w niej zaś dwa zwłaszcza wyrazy, „quand même“, powiadając, że zawierała się w nich prowokacja, że były one ciśnięciem rękawicy narodowi rumuńskiemu, że dla nich, dla dwóch tych wyrazów, musiał on, książę Kuza, nie puścić nas quand même (bądź co bądź). — „Wyznać jednak muszę — dodał po chwili, wpatrując się mi w oczy — żeś jest, pułkowniku, zuchwały.... zuchwały.... zuchwały....“

— „Na Mołdawii przygotowaliście sobie środki wielkie... wiem o tém.... — mówił dalej. Pokryliście ją siecią agentów waszych, którzy służą wam lepiej i wierniej, aniżeli mnie urzędnicy moi. Pozakładaliście składy broni i amunicji: wiem o tém wszystkim. Składy pokonfiskować kazałem....“ — I wymieniał począł, tu proch i kule, ówdzie tyle sztuk broni, tam siodła; w Gałacu groty od dzid. — „Agentów poaresztować kazałem: Świejkowskiego; znam go osobiście; człowiek bardzo, bardzo uczciwy.... był nauczycielem moim do języka francuzkiego....“

Przy wyliczaniu składów broni i amunicji milczałem, pomimo, a raczej, dla tego właśnie, że się książę mylił, wyliczając miejsca, w których składów naszych nie było żadnych. Domyśliłem się, że go urzędnicy jego okłamywali. Gdy atoli wymówił nazwisko Świejkowskiego, który agentem naszym nie był, a zawinił przez to jeno, że nam jeść dał, zawołałem: — „Na Boga! ten aresztowanym jest niesłusznie: jeść nam dał tylko....“ — „Gdybyż tylko to.... — odparł książę. Gdybyście przez moją przechodzili wieś, to i jabym wam jeść dał. Ale on był agentem waszym.“ — „Przenigdy!... — odrzekłem — honorem ręczę, że to nie prawda....“ — „W razie takim uwolnić go każe.... Ale Plum?... Ale Madejewski, doktor z Huszu?... I tych aresztować kazałem, pomimo że wiem, że są to ludzie bardzo poczciwi, bardzo zacni....“ — „Cóż wysokość wasza zrobić z nimi chce?“ — zahazardowałem zapytanie. — „A cóż!... z Mołdawii ich wypędzę.... za Dunaj wyrzucę....“ — „Ludzi uczciwych?...“ — „No.... to nie wypędzę: uwolnić ich każe.“

W guście tym i w tym rodzaju toczyła się rozmowa dwugodzinna, którą Przewłocki i ja usiłowaliśmy nawracać wciąż do ciężkiego dla nas wyroku, w celu wydobycia innego z dobrego księcia humoru. Kuza atoli, pod względem tym, stał niezłomnie przy postanowieniu pierwotném. Rozstaliśmy się z nim, nie wskórawszy w téj mierze nic.

W Bukareszcie nic już nam do czynienia nie pozostawało. Na mieście pokazywać się nie mogłem, z obawy spotkania kogoś, coby mnie poznał i dał znać do klubu, który poszukiwania za osobą moją czynił. Na ulicy, z Dodunem przechodząc, spotkałem Gradowicza, który go o mnie pytał; do pomieszkania Doduna, gdzie się ukrywał, dama pewna, co mnie osobiście znała, tak zniecierpliwiona wpadła, że zaledwie miał czas przed nią w alkowie się schować. Wieczór spędziliśmy u ministra wojny, u którego zeszliśmy się z poufnym sekretarzem księcia, panem Balligot de Beyne. Przez tego ostatniego staraliśmy się wyperswadować Kuzie niestosowność wyroku jego i przez niego otrzymaliśmy nazajutrz odpowiedź kategoryczną, tłumaczącą nam, że względy polityczne nakazują odesłać oddział nasz tam, z kąd przyszedł, to jest, do Turcji, że zatem wyjątek, dla officerów zrobiony, uważać winniśmy, jako łaskę szczególną, za którą należy się od nas wdzięczność. Do tłumaczenia tego dodanem było pudełko cygar hawańskich i rozkaz odesłania nas z powrotem pojazdem na resorach. Łaska przeto była zupełna — z czubkiem nawet.

Nawiasem wspomnę, że Kuzie, co do nas, roily się rzeczy różne, nie takie atoli, któreby nam dogadzały. Zachciewało mu się naprzykład, „pójść dalej aniżeli“ szykująca owację „opinja publiczna“ i na błoniach za Bukaresztem na cześć moją wyprawić przegląd wojskowy. Podziękowałem za zaszczyt ten; — minister wojny podziękował mi za podziękowanie.

Wykonanie wyroku poleconem zostało prefektowi Gałacu, panu Leonowi Gice, człowiekowi ukształconemu i dobremu, ale na głębokiego chorującemu dyplomacie. Pod rozporządzenie jego dostaliśmy się w Kahulu, dokąd odmaszerowaliśmy na drugi po powrocie moim z Bukaresztu dzień. W Kahulu nastąpić miało wyłączenie officerów.

Pierwszym i jedynym sposobem, jakiegośmy użyli w celu przeszkodzenia wykonaniu wyroku, był ten, który Przewłocki Kuzie zapowiedział. Officerowie postanowili los szeregowych po-

działać. Na przedstawienie Giki odpowiedzieli stanowczo: „Co spotkać ma żołnierzy, niech spotka i nas.“

Daremniemi się okazały namowy, przedstawienia, przekonywania, zaklinania nawet. Nic ich złamać nie mogło, najmniej zaś pogróżki. Odłączyło się tylko Włochów trzech; cały zaś oddział z Kahulu, pod eskortą, pomaszerował do Reni, nad Dunaj, gdzie miał być na statek wsadzony i za Dunaj wywieziony. Pozostawało jeno wywiezienie wykonać.

W Reni powtórzyły się namowy, przedstawienia i zaklinania. — „Niech nas albo wszystkich razem do Polski puszczą, albo wszystkich za Dunaj wyrzucą...“ — była odpowiedź stała i niezmienna, za pomocą której manifestował się opór bierny, stawiany przez nas wykonaniu dekretu. Na dnie wszakże oporu tego spoczywał inny, pozostawiony na sam ostatek, o którym wiedział komissarz rumuński, pomimo że udawał, iż się go nie domyśla zgoła. Było to stanowcze „nie chcemy,“ wyrzeczonem być mające na brzegu Dunaju, w obec statku przewozowego. Cóżby wówczas Rumuni zrobili? Czyby użyli bagnetów przeciwko bezbronnym i 180 trupów polskich na brzeg turecki wyrzucili? Sposób ten stanowił rezerwę naszą, w obec której Gika od dnia do dnia odkładał wykonanie wyroku książęcego. Przeprowadził nas z Reni do wioski pobliskiej, Anadołkiej, w której oddział spędził miesiąc przeszło, oczekując niby na wyrzucenie do Turcji.

Przez czas ten prowadziłem politykę dwulicową. Do Turcji Cholewińskiemu w Tulczy i Sokulskiemu w Stambule, znać dałem o stanie rzeczy, polecając im porozumienie się z władzami tureckimi, ażeby te sprzeciwiały się powrotowi naszemu jak najenergiczniej; przed Giką utyskiwałem na dekret, bardziej atoli jeszcze na Turków, którzy tak dobrze pojęli, czego nam potrzeba, że gubernator tulczański, oświadczając, że Turcja nie chce być dla Polaków Sybirem, zagroził transport rumuński przyjąć kartaczami. Gika wściekał się i wymyślał na Turków; jam mu wtórował, podpowiadając, że środkiem najskuteczniejszym do

uniknięcia nieporozumień groźnych, jakieby z Wysoką Portą, z takiej błahéj wyniknąć mogły przyczyny, byłoby puszczenie nas wszystkich do Polski. — „Nie możemy zrobić tego, na sposób żaden....“ — perswadował mi Gika. — „Dla czego?...“ — dopytywałem się i dopytałem w końcu. Powodem głównym usiłowania wyrządzenia nam przykrości téj, było naleganie konsulatu generalnego moskiewskiego, który w zamian za nią przyrzekał pomoc gabinetu swego w rozwiązaniu niesłychanie dla Rumunji ważnéj kwestji dóbr monasterskich — majątków ogromnych w Rumunji położonych, a przez Fanarjotów, gospodarów i bojarów, klasztorom na górze Athos legowanych. Była to sprawa międzynarodowa, wielce skomplikowana. — „W kwestji téj — tłumaczył mi Gika — Moskale zawsze oświadczały się przeciwko nam i stanowili w rozwiązaniu onéj główną, jedyną przeszkodę. Obecnie sami nam ją podsuwają. Nadarza się sposobność, dzięki wam, rozwiązania jéj na korzyść naszą, przy pomocy samychże Moskali. Możnaż nie korzystać ze sposobności podobnéj? Szanujemy was i kochamy; sprawę polską uważamy za najsprawiedliwszą, za najświętszą; lecz przed sprawą polską iść musi nasza własna. Dla nas, Rumunów, interesa rumuńskie przedewszystkiem.“ — „Nic słusznieszego — odrzekłem na ten wykład jasny — z tém wszystkim Turcy odgrają się skartaczować i nas i was, co nie jest interesem rumuńskim...“ — „Głupcy!... łotry!...“ — wykrzykiwał Gika, na Turków się odgrzał, tymczasem zaś do Bukaresztu się odniósł, domagając się, ażeby rząd rumuński postarał się przekonać Wysoką Portę za pośrednictwem ambasady francuzkiéj.

Nie wiem, jakim był we względzie tym rezultat ostateczny negocjacji, przeprowadzonéj przez gabinet bukaresztski. Wiem jeno, że konsulat generalny francuzki w Bukareszcie odniósł się do ambasady w Konstantynopolu, ambasada odniosła się do ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu, to zaś ostatnie zwłoczyło z odpowiedzią, którój Gika wyglądał z dnia na dzień,

negocjując tymczasem z Raszidem paszą, gubernatorem Tulczy. Ten atoli trzymał się zawsze jednakowo, zawsze... z kartaczami w pogotowiu.

Ze strony naszej nie szczędziliśmy zabiegów, celem wyperswadowania Gice, a przez niego Kuzie, że sposobem najprostszy do wyjścia z kłopotów jest puszczenie nas wszystkich do Polski. Zima, Przewłocki i ja, w częstych naszych do Gałacu wycieczkach, o niczem prawie innem z prefektem nie mówiliśmy. Mrozowski w celu tym samym do Bukaresztu pojechał i u Kuzy posłuchanie miał. Wszystko to okazywało się nadaremne. Rumuni czekali na rezultat pośrednictwa francuzkiego, które wydawało się im niezawodnem; gdy zaś czekanie zaczynało już być długiem, zwrócili się do nas. Gika tak był naiwnym, że zaproponował mi, ażebym wziął pośrednictwo na siebie i wyjednał u Wysokiej Porty odwrócenie kartaczów. Łatwo się domyślić, że ze skwapliwością podjąłem się negocjacji téj, tém bardziej, że wiedział, iż usunięcie się osobistości mojej ułatwi rozwiązanie, wedle życzeń naszych, sprawy oddziału. Wedle wyroku, wyłączony zostałem od officerów i wskazany na podzielenie losu szeregowych. W oczach Kuzy, w mniemaniu Rumunów, rola moja była sztandarową; Miłkowski znaczył oddział: usunięcie się przeto moje czyniło przez pół wyrokowi zadość.

W wewnętrznym oddziale naszego stanie, od chwili złożenia broni w Rynzesztach do momentu wyjazdu mego z Anadołkiej, nie zaszły ani zmiany, ani wypadki ważniejsze żadne. Bezczynność wprawdzie wyradzała sejmikowanie tak w officerskiej, jak w szeregowéj sferze, z takowego zaś wypływały od czasu do czasu przedstawienia i żądania, jedne słuszne, drugie niesłuszne. I tak np.: officerowie zażądali byli kontroli kassy. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby to odemnie zależało, to jest, gdyby kontrola, zaprowadzona przez Rząd Narodowy, nie znajdowała się przy urzędniku, którym był komissarz pełnomocny, p. M. Mrozowski; żądaniu przeto temu nie mogłem uczynić zadość. Sze-

regowi, z trzeciej zwłaszcza kompanji, zażądali zmiany officerów dowodzących. I temu uczynić zadość nie mogłem; nie podano mi bowiem powodów racjonalnych. Officerowie pełnili dobrze powinność swoją: miałem ich usuwać, a na ich miejsce mianować innych, dla tego tylko, że nie podobali się temu i owemu? Zarzuty były błahe; błahość ich wytłumaczyłem żądającym i żądanie upadło samo przez się.

W Anadołkiej Jagmin zaprowadził musztrę. Codziennie rano wyprowadzał oddział za wieś i ćwiczył go w obrotach wojennych.

Rumuni dostarczali nam żywność regularnie i w ilości dostatecznej. Co zaś do żołdu, ten wyznaczonym został przez komissarza pełnomocnego w proporcji zmniejszonej, o czém świadczy dokument następujący:

„W imieniu Rządu Narodowego, Komissarz pełnomocny w Księstwach Naddunajskich do pułkownika Miłkowskiego. — Polecam ci, pułkowniku, żołnierzom i officerom twego oddziału, dopóki żywność od rządu rumuńskiego pobierać będą, płacić nadal trzy ćwierci tego żołdu, jaki od przejścia Dunaju pobierali. — Zarazem chciej powiedzieć żołnierzom i officerom całego oddziału, iż Rząd Narodowy, znając ich waleczność i mając téj waleczności świeże dowody w zwycięskiej potyczce z kilkakroć silniejszym oddziałem Rumunów, wszelkich usiłowań dołoży, by ich jak najprędzej przeprowadzić na pole walki narodowej, więc niech ufają Rządowi Narodowemu i niech jeszcze krótki czas czekają cierpliwie, zanim Rząd Narodowy nie ułatwi im przejścia do kraju; przedewszystkiem upomnij, pułkowniku, officerów, by wytrwali do końca i nie opuszczali szeregów, dopóki wraz z żołnierzami nie opuszczą niewoli rumuńskiej. — 2 Sierpnia 1863 r. (Podp.) Michał Mrozowski, komissarz pełnomocny.“

Dokument ten, świadczący o żołdzie, świadczy zarazem o tém, że mieliśmy nadzieję oszczędzić oddziałowi niepotrzebnej do Turcji podróży i czyniliśmy w celu tym zabieg. Pisany on był przed podróżą Mrozowskiego do Bukaresztu. Za powrotem, po naradzie pomiędzy nami, z której wypadło, że powinien propozycję Giki przyjąć, wystosował do mnie Mrozowski pismo następujące:

„W imieniu Rządu Narodowego do pułkownika Zygmunta Miłkowskiego. — Z mocy danej mi przez Rząd Narodowy, uwalniam cię, pułkowniku, od dalszych obowiązków przy rozbrojonym oddziale i polecam ci, byś zdał naczelnictwo nad tymże oddziałem majorowi Józefowi Jagminowi. Sam udasz się do Turcji, byś wpływem swoim starał się nie dopuścić przyjęcia naszych żołnierzy w tymże kraju, a w razie koniecznego ich tam wywiezienia, ułatwił im tam pobyt i powrót do kraju. — Pozdrowienie i braterstwo. — Anadół 10 Sierpnia 1863 r. (Podp.) Michał Mrozowski, komissarz pełnomocny Rządu Narodowego.

Liczyć więc można było na pewno, że oddział do Turcji odesłanym nie zostanie i że dopnie celu dojścia do Polski, w znaczeniu materiału bojowego. Stosownie do rachunku tego, Mrozowski rozporządził pieniędzmi, pozostałymi w kassie oddziału, którą mu oddałem. Po przejrzeniu rachunków pokazało się, że mało więcej nad połowę summy ogólnej dochodu poszło na potrzeby wyprawy. Pozostałość wystarczała nietylko na utrzymanie oddziału i na przetransportowanie onego do granic Polski, ale pozostawiała jeszcze w rękach Mrozowskiego do rozporządzenia kwotę pewną. Oto zresztą rachunki, jeden Przewłockiego w Konstantynopolu, zrobiony przed wyprawą, drugi Liczbińskiego w Anadołkiej, podany w wigilją odjazdu mego:

Rachunek ogólny

funduszków przysłanych na Wschód, złożony przez ob. Walerego Przewłockiego, komissarza wojkowego.

Przychód.

1. Przysłanych z Komitetu Podolskiego (rsr. 5,000)	fr.	18,627.60
2. Przywiezionych przez płk. Miłkowskiego (rsr. 3,000,	„	11,230 00
3. Przysłanych z Wiednia przez p. Glavany	„	18,225.00
4. Przywiezionych przez majora Zimę	„	18,796.00
5. Z Odessy weksel na franków 7,296	„	7,007.00
6. Ze Lwowa przez p. Mrozowskiego	„	38,145.50
7. Z Odessy weksel na franków 4,000	„	3,859.00
Razem		fr. 115,861.10

Rozchód.

1. Wyprawianie ludzi do Tulczy, sprowadzanie z prowincji i utrzymywanie w Stambule	fr.	7,353.30
do przeniesienia	fr.	7,353.30

	z przeniesienia	fr.	7,353.30
2. Paszporta i teskiery	„		736.55
3. Broń i sprowadzenie jęj z Aten do Stambułu	„		3,376.90
4. Pałasze, rewolwery i pendenty dla officerów	„		902.00
5. Proch i puszki blaszane	„		2,064.00
6. Patrontaszów 300 i tornistrów 24	„		2,220.50
7. Olów i pistony	„		624.50
8. Trzewików par 300	„		3,450.00
9. Kitel 256 i spodni par 220	„		2,596.00
10. Czapek 310 i koszul 96	„		1,287.00
11. Koców 132	„		1,455.75
12. Kociołków 51 i tulejek do lanc 50	„		245.50
13. Apteka i uekwipowanie lekarzy	„		1,369.50
14. Depesze telegraficzne	„		479.95
15. Wyprawienie ochotników włoskich do Mołdawii	„		2,161.00
16. Wysłańce do Mołdawii, Włoch, Aten, Kraju	„		2,315 60
17. Wsparcia jednorazowe	„		787.50
18. Wydatki biórowe majora Sokulskiego	„		1,046.00
19. Przesyłka pieniędzy, paki, komora, komisowe i inne drobne wydatki	„		956 50
20. Najęcie statku, pilota, remorkier i courtage	„		3,174.00
21. Wysłano do Tulczy gotówką w trzech ratach	„		25,338.00
	Razem	fr.	63,940.05

Bilans.

Odebrano z kraju .	fr.	115,861.10
Wydano	„	63,940.05
Pozostało	fr.	51,921.05

Z których: franków 11,000 złożono u majora Sokulskiego do użytku
dalszego w Konstantynopolu.

franków 40,921.05 wchodzi do kassy oddziału.

Stambuł, 1. Lipca 1863 r.

(Podp.) Fr. Sokulski. Walery Przewłocki, kom. wojsk.
Tomasz Kwiatkowski.

Rachunek ogólny

z funduszków przysyłanych do Tulczy, złożony przez Ludwika
Liczbińskiego, płatnika oddziału

Przychód.

1863 r.			
4 Marca.	Przez Omer paszę i innych . .	piastrów	1,356 par 00
† 20 „	Z Konstantynopola fr. 200 . .	„	880 „ 00
	do przeniesienia	piastrów	2,236 par 00

1863 r.	z przeniesienia	piastrow	2,236 par 00
† 30 Marca.	Z Konstantynopola fr. 200 . . .	"	880 " 00
† 22 Kwietnia.	Z Konst. od Sokulskiego fr. 200 . . .	"	880 " 00
† 2 Maja.	Z Konst. od Sokulskiego fr. 300 . . .	"	1,350 " 00
† 3 "	Z Krakowa przez Rottemberga z Gałacu	"	6,307 " 00
† 21 "	Z Konstantynopola przez Chole- wińskiego, napol. 180	"	15,840 " 00
† 1 Czerwca.	Z Konstant. przez Milkowskiego . . .	"	49,437 " 00
† 1 "	Z Konstant. przez Witwickiego . . .	"	795 " 00
† 20 "	Z Konst. przez Jagmina, lir 496 . . .	"	51,088 " 00
† 7 Lipca.	Przewłocki złożył (nap. 1,400, fr. 920, dukatów 1,000)	"	180,252 " 00
10 "	Zwrot pożyczki	"	247 " 20
10 "	Zwrot do depozytu	"	435 " 00
Razem		piastrow	309,747 par 20

Rozchód

od dnia 4 Marca do 9 Sierpnia 1863 r.

1.	Żołd i kwatery dla żołnierzy	piastrow	44,707 par 30
2.	Płótno na tornistry; siekiery, pily, rydle, kociołki i manierki	"	2,174 " 00
3.	Wozów 4 i koni 12	"	25,645 " 00
4.	Podróże	"	8,221 " 00
5.	Do Jass na broń	"	54,504 " 00
6.	Groty do lane i drzewce	"	4,797 " 00
7.	Ołów i sprowadzenie broni z Karaorman do Tuleczy	"	5,837 " 00
8.	Dopłata do broni; kawasowi przy transporcie . . .	"	606 " 00
9.	Cholewińskiemu zostawiono w Tuleczy . . .	"	13,500 " 00
10.	Statek do przewozu na Dunaju	"	9,414 " 00
11.	Straty na zmianie pieniędzy	"	500 " 00
12.	Reparacja wozów	"	224 " 00
13.	Brak w kassie	"	3,020 " 00
Razem		piastrow	173,122 par 30

Bilans.

Przychód . . .	piastrow	309,747 par 20
Rozchód . . .	"	173,122 " 30
Pozostało		piastrow 136,624 " 30

Anadol, dnia 9 Lipca 1863 r.

(Podp.) Liczbiński, płatnik.

Nota I. — 1 napoleon = 88 piastrów tureckich; 1 frank = 4 piastry 16 par; 1 dukat cesarski = 53 piastry; 1 lira turecka = 103 piastry.

Nota II. — Pozycje w rachunku Liczbińskiego krzyżykiem oznaczone przechodzą z rachunku Przewłockiego.

Licząc przeto frank według kursu owoczesnego, po piastrów 4 par 16, wypadnie, iż po wyprawie, składając dowództwo, wręczyłem Mrozowskiemu pozostających w kassie oddziałowej franków 36,619 centimów 20. Ażeby jednak cyfrę pełną kosztów wyprawy pod dowództwem mojem otrzymać, należy do wręczonych Mrozowskiemu fr. 36,619 cent. 20 dodać franków 11,000, pozostawionych Sokulskiemu i fr. 3,068 (piastrów 13,500), które pozostały u Cholewińskiego.

Zesumowanie pozostałości tych da nam cyfrę fr. 50,687.20. Cyfrę tę odciągawszy od 115,861, otrzymamy fr. 65,173.80, reprezentujących zupełne koszta wyprawy. Zdaje się, żeśmy rozrzutnie nie szafowali grosza publicznego, wydobywając z grosza wszystko.

Rachunków powyższych egzemplarz jeden dałem Mrozowskiemu, drugi, wraz ze szczegółowym do Rządu Narodowego raportem zostawiłem u Zimy. Zima i raport i rachunki wręczył we Lwowie Izydorowi Kopernickiemu, który był podówczas komisarzem pełnomocnym na Galicję wschodnią; ten przez komisarjat krakowski przesłał je Rządowi. Co się z tém stało?

Z raportu pozostał mi jeno brulion ćwiartki ostatniej, którą przepisuję dosłownie:

„Na wypadek każdy, ludziom, którzy w wyprawie tutezańskich udział brali, wydaję certyfikaty, opatrzone pieczęcią, jako téż podpisem moim i szefa sztabu. W certyfikatach tych wymieniam, kto zasługuje na pochwałę, kto na awans. Oto lista zasługujących na awans:

Majorowie: Franciszek Zima, szef sztabu; Józef Jagmin, dowódzca bataljonu; — kapitanowie: August Cieszkowski, dow. komp. I.; Władysław Towarnicki, dow. komp. II. (Tu nadmienić muszę, że kapitan Towarnicki w bitwie nie był z powodu choroby rzeczywistój; lecz prowadzenie kompanji zasługuje na pochwały wielkie; waleczności dowody złożył w czasie kampanii węgierskiej). — Porucznicy: Antoni Sikorski;

Jan Jurkowski; Karol Brzozowski, dow. komp. III.; Ignacy Golczewski; Władysław Kentrzyński; Karol Sobieszczański; — podporucznicy: Feliks Kozieradzki, adj. bat.; Konstanty Bednawski; Edward Wojna; Andrzej Bohusiewicz; Edward Przyłęcki. Oprócz tych, officerowie nadkompletni, którzy, chociaż komend nie mieli, odznaczyli się w boju odwagą i przytomnością, są następujący: — kapitanowie, Ignacy Dębicki; Wojciech Achmetowicz; Albert Chevalier (Francuz); Nepomucyn Lochman. — Cudzoziemców, oprócz kap. Chevalier, mieliśmy dziesięciu. Stopnie ich nie są mi znane, bo żaden dowodów nie złożył. Wszyscy oni, z wyjątkiem dwóch Włochów, mianowicie zaś pp. Selagjy, Vresiez i Pankrac (Węgrzy), Majerfeld (Niemiec), de Saksel (Włoch), Rivailles i de Rivoire (Francuzi) prowadzili się w boju dobrze. Odznaczył się markiz de Rivoire, który w komp. III. służbę podporucznika pełnił. — Sierżanci, podofficerowie i szeregowi, których przedstawiam na podporuczników: z kompanii I. — Józef Stasiewicz, sierż.; Teofil Katrzyński, podof.; Kajetan Kozłowski, podof.; Kazimierz Czarnecki, podof.; Adolf Stryjewski, podof.; z komp. II. — Alojzy Medwecki, furjer; z komp. III. — Marcin Krzeczkowski, sierż.; Julian Sliwiński, sierż.; Wojciech Młodzianowski, furjer; Romuald Giedroń, podof.; Franciszek Furtek, podof.; Franciszek Czyżewski, podof., Edward Wielopolski, podof.; Władysław Michalski, szeregowy; z nadkompletnych, Adolf Skalski. — Zasłużyli na pochwałę: z kompanii I. — Maurycy Freund, podof.; Paweł Filipkowicz, szer.; Ignacy Zmijewski, szer.; Ludwik Jachimeczyk, szer.; Szymon Urbański, szer.; Augustyn Szandymburski, szer.; z kompanii II. — Wojciech Sanderowicz, podof.; Paweł Podsiadłów, kapr.; Franciszek Siewier, szer.; Jan Ogilba, szer.; Piotr Padkowski, szer.; z komp. III. — Antoni Jaworski, podof.; Adam Skitniewski, podof.; Józef Kazimirowicz, podof.; Wincenty Jaworski, kapr.; Szczepan Kłom, szer.; Józef Manowski, szer.; Bazyli Sochaczewski, szer.; Olgierd Michalski, szer.; Eugeniusz Kompański, szer.; Juliusz Wasicki, szer.; Mikołaj Laguna, szer.; Theobald Cheoiseul-Gauffier, szer.; Karol Orłowski, szer. — Jazda cała, a było ich siedmiu, odznaczała się gorliwością i odwagą; na wzmiankę szczególną zasługują: Julian Odrzywolski i Józef Akord. — Tym, którzy, bądź źle się prowadzili, bądź w boju brak odwagi okazali, nie wydaję certyfikatów. — Lekarzy, dla ich powodów osobistych, nie wymieniam po imieniu i nazwisku; jednakże prowadzenie się ich czyni im zaszczyt wielki. — Anadół, dnia 6 Sierpnia 1863 r. (Podp.) Z. Miłkowski, pułkownik; major F. Zima, szef sztabu; major Walery Przewłocki, komissarz wojenny. (M. P.)“

Ludzi do awansu przedstawiłem dużo, wszystkich jednak słusznie, byli to bowiem, wszystko prawie, wojskowi dawni, mogący śmiało w armii naszej narodowej, w której wojskowych rzeczywiście było tak mało, zająć stanowisko, jeżeli nie wyższe, to o jeden stopień wyżej. Miałem do przedstawienia więcej

jeszcze. Nie przedstawiłem dla tego jedynie, że z powodu braku miejsca nie pełnili służby stopniom ich odpowiedniej. Pomijając innych wymienię dla przykładu dwóch tylko: rotmistrza Jana Darowskiego i porucznika Józefa Czajkowskiego. Ci, służąc jako szeregowi, dawali z siebie przykład karności, cierpliwości i wyrozumiałości. Objąłem ich ogólną o jaździe wzmianką. Takich, co certyfikatów nie dostali, znalazło się bardzo mało — jeden podobno, czy dwóch. W rękach wszystkich przeto innych, certyfikat był nie tylko poświadczeniem służby, ale oraz przedstawieniem do względów tych urzędów narodowych, cywilnych i wojskowych, pod którychby władzę przeszli.

Przeddzień wyjazdu mego z Anadołkiej zaznaczył się dla mnie przykrością, tém dotkliwszą, że nie spodziewaną i nie przeczuwaną, a pochodzącą od człowieka, którego, dla waleczności i patriotyzmu jego, szanowałem szczerze i wysoko. Wypłynęła ona ze źródeł tych samych, które z Tulczy dostarczały korespondencyj do dzienników, raportów, doniesień i oskarżeń poufnych, mających na celu wysadzenie mnie z siodła. Zgłuszyły wszystko to czyny; lecz jak skoro czyny ustąpiły miejsca niewoli, niechęci odżyły i wysadziły naprzód człowieka prawego, który nie dobrze wiedział, co czyni. Mrozowicki, powróciwszy z Bukaresztu, wezwał korpus officerów, zgromadzając ich w celu przedstawienia im stanu rzeczy i naradzenia się z nimi nad zachowywaniem się dalszem w obec władz rumuńskich. Na zgromadzeniu tém major Jagmin wystąpił przeciwko mnie z oskarżeniem, które według założenia swego wykazać miało „fałsz organizacji.“ Przedstawienie atoli rzeczy nie odnosiło się do organizacji wcale, ale do relacji bitwy pod Kostangalją, którą to relację „Czasowi“ z Bukaresztu przesłałem. Relacja ta miała być jakoby fałszywie ułożoną, a to w dwóch mianowicie punktach: w tém, że, jak major utrzymywał, bitwę rozstrzygnęła kompanja nie trzecia, ale druga, i w tém, że Brzozowski, tytułowany kapitanem, jest nie kapitanem, ale porucznikiem. Było to, w gruncie

rzeczy, ujęcie się o honor kompanii drugiej, której major przewodniczył osobiście i, dla tego właśnie widzieć nie mógł, co się działo na skrzydłach, zwłaszcza zaś na skrzydle lewém, które w chwili ataku, wzgórzem się zasłoniło. Oskarzenie to, rzecz prosta, bez echa przebrzmiało. Mrozowski uznał się za niekompetentnego w rozstrzyganiu kwestyj tego rodzaju. Majora nikt nie poparł, ani z tych nawet, co go na sztych wystawili. Skarga upadła, pozostając jeno dla mnie, jako wspomnienie przykre, a tém przykrzejsze, że przywiązane do nazwiska człowieka, na szacunek którego zasłużyć się starałem. Nie dokazałem tego — moja wina.

Zajście to, z natury swojej tego rodzaju, że skończyć się musiało na niczem, było ostatnim w oddziale pod naczelnictwem mojem wypadkiem. W tym samym dniu jeszcze złożyłem naczelnictwo w ręce oskarżyciela mego, a nazajutrz pożegnałem się z oddziałem i odjechałem. Po raz pierwszy zakolać musiałem do kassy publicznej — byłem bowiem bez grosza: Mrozowski wyliczył mi na podróż franków 400. Wyjazd mój nastąpił dnia 11 Sierpnia 1863 r., w miesiąc równo po przeprawie przez Dunaj. W dniu następnym wsiadłem w Gałacu na statek, odprowadzony przez Gikę, zaklinającego mnie, ażebym się starał kartacze tureckie zażegnać.

Celem podróży mojej był przedewszystkiem Konstantynopol, gdzie do załatwienia miałem sprawę przyjęcia oddziału w Turcji; ztamtąd udać się miałem do Polski, gdzie powinność nakazywała mi pójść pod rozkazy generała E. Różyckiego, który zastąpił Wysockiego.

Płynąłem mimo Tulczy. Statek zatrzymał się. Nie wysiadałem na ląd. Na pokład przyszedł Cholewiński, od którego dowiedziałem się, że z pewnością całą Raszid-pasza oddziału naszego przyjąć nie zechce. Jechałem więc dalej z dobrą wróżbą.

W Konstantynopolu nazajutrz po przybyciu poszedłem wprost do wielkiego wezyra, Fuada paszy, który, jakim się mu tylko zaanonsował, dał mi niezwłocznie posłuchanie sam na sam.

— „Nie przedstawiam się — zacząłem — wysokości waszój w charakterze politycznym. Jestem żołnierzem, przejeżdżającym z teatru wojny jednego na drugi. Że jadę jednak do Polski; że w Polsce zetknę się z Rządem Narodowym; że Rząd Narodowy zapyta mnie, co tam na Wschodzie słychać: uważałem przeto za powinność moją, złożyć hołd naczelnikowi rządu ottomańskiego i zapytać go, jakim jest dla sprawy polskiej Wysokiej Porty usposobienie.“

Wielki wezyr zaręczył mi, że Turcja ze spółczuciem jak najżywszem patrzy na walkę, która obecnie w Polsce się toczy i polecił, ażebym wyraz spółczucia tego zakomunikował Rządowi Narodowemu.

— „Ośmielam się zrobić uwagę — odrzekłem — że przez wzgląd na interes samejże Turcji, wyglądamy od niej czegoś więcej, aniżeli spółczucia. Spółczuciem cały świat ucywilizowany karmi nas już od miesięcy ośmiu. Jest to interwencja wysoką w oczach naszych mająca cenę, dowodząca bowiem, jako świat uznaje sprawiedliwość sprawy naszej. Samo jednak uznanie, czyż wystarcza? Przy oklaskach świata walka nasza z Moskwą przeciągnąć się może w nieskończoność i upaść obecnie, ażeby wszcząć się znów kiedyś. Interessem świata jest położyć jój koniec; interessem zaś Turcji jest, ażeby koniec ten był Polski tryumfem. Dla tego rościmy sobie prawo niejake do żywienia téj nadziei, że Turcja wystąpi z interwencją donioślejszą, aniżeli moralna, że wystąpi z interwencją czynną, zbrojną.“

Gdym ostatni wymówił wyraz, Fuad pasza zrobił grymas taki, jakby był wężem, a jam mu na ogon nastąpił.

— „Poruszyłeś pan — odparł żywo — kwestję nadzwyczajnie ważną, której ja *d e m o n c h e f* rozstrzygnąć nie mogę.

Turecja w sprawie polskiej idzie ręką w rękę z mocarstwami Zachodu. Sama jedna nie może się na wypadki wojny narażać.“

— „Oświadczyć więc mam Rządowi Narodowemu, że Turcja ani myśli o interwencji na korzyść Polski?“

— „Przeciwnie.... — podchwycił wielki wezyr — Turcja myśli, ale nie sama. Czeką ona na wezwanie Zachodu. Niechby nam Francja przysłała bataljon jeden....“

Zamilkłem; kwestja ta wydawała mi się wyczerpaną. W interwencję Zachodu nie wierzyłem. Interwencja Turcji wydawała mi się o tyle o ile możliwą i życzyłem jęj dla Polski: któżby bowiem nie życzył sobie pomocy w takiej, jakąśmy toczyli walce? Z odpowiedzi atoli Fuada paszy poznałem, że i ta podobną była do mirażów w pustyni, złudnych z daleka, rozwiewających się w nic z bliska.

— „Cóż słyhać z oddziałem pańskim?“ — zapytał wezyr po chwili. — „Lęka się powrotu do Turcji.“ — „Wiem o tém — odrzekł z uśmiechem — Niech się nie lęka.“ — „Turcja go nie przyjmie?“ — „W żadnym razie.“ — Podziękowałem Fuadowi, dodając, jak to nam ciężko iść i wracać, i znowu iść.

Nastąpiła rozmowa o bitwie pod Kostangalją, szczegóły której znał Fuad pasza dokładnie i chwalił waleczność polską, mówiąc, że Polacy podtrzymują dawną dobrze zasłużoną reputację swoją. Na rozstaniu już, zapytałem go, azałiby rząd ottomański nie zechciał zawiązać regularnych z Rządem Narodowym polskim stosunków. — „I owszém.“ — była odpowiedź. — „Mogę więc powiedzieć Rządowi Narodowemu, że agent jego pełnomocny będzie w Konstantynopolu przyjętym i uznanym?“ — „Możesz mu to, pułkowniku zaręczyć.“

Przy pożegnaniu Fuad pasza raz jeszcze dla sprawy polskiej wyraził spółczucie jak najżywsze i życzenia jak najlepsze.

Po wizycie tęg napisałem obszerny do Giki list. Doniosłem mu na wstępie, żem był u wielkiego wezyra i że ten nieubłagany jest. Pod pretekstem żadnym do Turcji Polaków przyjać nie chce.

Z tego więc — pisałem dalej — wypada jedno z dwóch: albo niech Rumuni trzymają oddział polski na koscie swoim tak długo, póki się wojna polska nie skończy, co może czas jakiś potrwa jeszcze, albo téż, niech go do Polski puszcza. Radzę im chwycić się tego ostatniego, a to z dwóch powodów, o których w części dowiedziałem się w Rumunii, w części w Konstantynopolu. Powodów wymieniłem dwa, z tych jeden moskiewski, drugi polski. Co do pierwszego, odnosił się on do obietnicy moskiewskiej rozstrzygnięcia kwestji monasterów, pod warunkiem wyrzucenia Polaków z Mołdawii; ostrzegałem, że obietnica ta jest kłamstwem, stworzonem na prędce, celem zabicia trzech much naraz: wyjednania powolności rządu rumuńskiego, rzucenia kłopotu na głowę Turcji i wyrządzenia jak największej Polakom przykrości. Powód polski — tłumaczyłem następnie — innéj jest natury, pomimo że, równie jak moskiewski, na jak największą naszą obrachowany przykrość. Nie jest on zgoła polityczny, ale osobisty i trochę partyjny. Dowiedziałem się, co za jedni byli owi tajemnicą osłonięci „wasi,” co księcia Kużę o odesłanie oddziału do Turcji prosili. Byli to nie tylko polityczni przeciwnicy moi, ludzie wyznań i przekonań innych aniżeli moje, ale osobiście przezemnie obrażeni. Zbiegli się oni z Moskalami w żądaniu, nie dla tego, ażeby szkodzić przez to chcieli sprawie, albo wyrządzać zamierzali ujmę oddziałowi, ale dla tego jedynie, że na czele oddziału stałem ja — osobistość im nienawistna. Zanosząc przeto żądanie to, celem ich było skompromitować osobistość moją i nic więcej. Przychylając się więc do żądania, powodem tego rodzaju podszytego, rząd rumuński wystąpiłby w niezaszczytnéj dla siebie roli narzędzia zawiści osobistych. Czy rola taka przystoi rządowi szanującemu siebie i chcącemu, ażeby go szanowali inni? — Dalej, wziąłem pod rozbiór krytyczny prawną sprawę naszej strony. Macie nas — pisałem — za gwałcicieli prawa międzynarodowego, zapominając, że w obec prawa tego, inaczej stoicie wy, inaczej my. Wy korzystacie z onego

w obszerności całej. My jesteśmy z pod niego wyjęci. Czyż przeto mogliśmy zgwałcić to, co dla nas nie istnieje? Dla tego to, stanęliśmy w obec was w jedném z dwóch następujących światel: albo, jako zbrodniarze zwyczajni, z góry przez wyjęcie z pod opieki prawa osądzeni i zadekretowani, albo téż, jako bohaterowie. W razie pierwszym, powinniście byli, jednymi z nas, hersztami, szubienice wasze ugarniować, drugimi kopalnie zaludnić. W razie drugim należało wam przed nami drogę kwiatami usłać, nie zaś ścigać, rozbrajać, grzecznosciami obsypywać, pod wartą trzymać, niepewnością nudzić i najniepotrzebniej w świecie skarb rumuński na kosztą narażać. Popełniliście błąd — stało się: naprawić go nie sposób. Zakończcie przynajmniej jak najprędzej stan ten rzeczy. Nie bądźcie narzędziem, ani Moskali, którzy was oszukują, ani przeciwników moich osobistych, którzy was wyzyskać chcą; ale — puśćcie oddział — niech idzie drogą przeznaczenia swego. Zresztą — zakonkludowałem — nie pozostaje wam innego nic: Turcy oddziału pod żadnym nie przyjmą pretekstem.

Listem tym, który w treści przytoczyłem, zakończyłem moją w oddziale służbę. Czy poskutkował on, czyli téż na Rumunów po odjeździe moim dobre zesłały niebiosy natchnienie, czy może sam mój odjazd do tego się przyczynił — nie wiem: dość, że wkrótce potem nastąpiła w sferze rządzącej radykalna w postanowieniu zmiana. Broń została Mrozowskiemu wydaną; z oddziału zaś ani jeden człowiek, z wyjątkiem mnie, do Turcji wyrzuconym nie został. Przeciwnie. Oddział cały do Polski poszedł, przeprowadzany przez Mołdawię w tryumfie. Szedł partjami, po kilkunastu ludzi, wykomenderowywanych porządnie przez Jagmina. Miasta ich z pozdrowieniem spotykały i owacje im robiły. Bakeo w sztandary na cześć ich się przystroiło. Nieszczęsne owo *quand même*, za które się Kuza tak obraził, dokonaniem zostało. Wyprawa, wzięta w znaczeniu ściśle militarnem a do natury powstania naszego odniesionem, celu swego dopięła, dostawiając

na teatr walki ludzi, rzeczy świadomych i wypróbowanych. To też w Galicji naczelnicy formujących się i do wkroczenia szykujących oddziałów ubiegali się o nich. Przewano ich „Turkosami.“ Turkosi pożądanymi byli zarówno w szeregach, jak na kwaterach.

Nie będę się rozwodził nad znaczeniem i doniosłością wyprawy. Pisałem o tém w niejednym z ustępów poprzednich. Tu więc dodam jeno, w rodzaju konkluzji, że gdybym był wkroczył w ludzi zamiast 200, w 600, gdybym miał być pluton jazdy, byłbym mógł zbrojną na korzyść Polski sprowadzić interwencję — interwencją, któraby nam, bądź co bądź, ujmy ani szkody pod względem żadnym nie przyniosła, biorąc na uwagę warunki, wśród których Polska walkę toczyła. W interwencji onój, na planie pierwszym, stała interesowana damoklesowską Moskwy potęgą Turcja, za nią interesowana losem Turcji Anglja, dalej interesowana spółzawodnictwem z Anglją Francja, obok Francji zależne od niej Włochy i interesowana każdym na Wschodzie drgnięciem Austrija. Mówię o gabinetach, którym w kombinacjach politycznych sentymentalizm nie przyświeca zgoła. Taki łańcuch interessów włókł się za 600 maszerującymi przez Mołdawię Polakami. Marsz ów otwierał szluzę, utrzymaną przez traktaty, konwenanse i oglądanie się jednych na drugich — targał brutalnie węzły — europeizował zamykaną usilnie w „granicach pewnych“ sprawę naszą. Nie nastąpiło to — czemu?... To więc, co się stało i jak się stało, niech ma przynajmniej znaczenie.... nauki na przyszłość.

W Konstantynopolu przed odjazdem, spadła na mnie niespodzianie propozycja, charakteryzująca stosunki wschodnie owoczesne. Agent detronizowanych gospodarów Mołdawii i Wołoszczyzny, skonstatowawszy popularność, jaką uzyskałem w Rumunii, ofiarował mi łapowego milion franków za to, ażeby, pod firmą sprawy polskiej, wprowadził gospodarów na trony. Plan operacji posiadał uznanie Wysokiej Porty, która na formację korpusu

przeznaczała Widyń lub Ruszczuk, interesowani zaś książęta podejmowali się dostarczyć funduszków w ilości potrzebnej. Bez namysłu odrzuciłem propozycję tę i na Paryż udałem się do Polski.

Od chwili téj skończyła się w powstaniu 1863 r. czynność moja w sensie dodatnim. Rola moja stała się bierną i wyczekującą. Co zamierzyłem niczemu nie dopiął; co zaś mi proponowano, tego przyjąć nie mogłem.

Zamierzyłem był zwrócić Rząd Narodowy na lepszą w moim mniemaniu drogę w zakresie polityki zewnętrznej, postrzegłem bowiem, że firma „Czartoryski,“ rozsadzona po powierzchni Europy agenturami à la Jordan, więcej szkody aniżeli pożytku przynosi. Zrobiłem we względzie tym przedstawienie, to atoli poszło *ad actam*.

Zamierzyłem był wyjednać u Rządu Narodowego poważną i sprawie naszej odpowiednią agencję na Wschodzie, postrzegłem bowiem, że nie poważnym i nie odpowiednim na stanowisku tém jest pół zastępstwo człowieka, eksofficera tureckiego, sprawującego pół prywatnie, pół oficjalnie interessa polskie i zarazem procesującego się z seraskieratem o żoły zaległe. Zrobiłem we względzie tym przedstawienie; zaproponowałem na agenta A. P., który według mnie odpowiadał ważności stanowiska; ale i to poszło *ad actam*.

Nie mam prawa, ani racji obwiniać o to Rządu Narodowego i nie obwiniam. Położenie jego zbyt było trudnym; nie był w stanie zaradzać potrzebom, odnoszącym się dotycznie, do toczącej się wewnątrz kraju walki. Rzeczy raz zrobionych odrabiać i przerabiać i błędów popełnionych poprawiać doraźnie nie mógł, z obawy zaprowadzenia chaosu, większego stokroć od tego, jaki wynikał z natury samej nadzwyczajnie skomplikowanego działania. Z téj przyczyny, zarzuty, Rządowi Narodowemu czynione, wydawały mi się i wydają w części wprost niesłusznymi, w części wyegzagierowanymi. Z téj też przyczyny odmówiłem przy-

łożenia ręki do wrześniowego na Rząd zamachu i nie przyjąłem ofiarowanego mi stanowiska w składzie Rządu, jaki z zamachu tego wypłynąć miał.

W początkach Września, z Paryża, na Wiedeń i Kraków, udałem się do Lwowa. We Lwowie przedstawiłem się naczelnikowi memu, Edmundowi Rużyckiemu. Pytałem o rozkazy. Rozkazał mi czekać, ukazując w perspektywie oddział, który zorganizować i prowadzić miałem.

Czekałem pół Września, cały Październik i część Listopada. W Listopadzie R. przywiózł mi z Warszawy, w imieniu Rządu Narodowego, wezwanie, ażebym jechał do Szwecji, celem organizowania tam wypraw na Litwę i zapowiedział nadejście w niedługim czasie potrzebnych na stanowisku tém papierów. Czekając na papiery owe, dostałem się do więzienia austriackiego, z którego losy wydobyły mnie i na koszt austriacki do Monachium wyrzuciły. Z Monachium pojechałem do Paryża, gdzie znów na papiery czekał. Nadejść one miały na ręce komissarza nadzwyczajnego, Wacława Przybylskiego. Długo nie nadchodziły. W oczekiwaniu na takowe i w celu przysposobienia się do stosownego na gruncie skandynawskim znalezienia się, studjowałem Szwecję z książek. Przybylski, dla ułatwienia mi pracy, wydobył z hotelu Lambert dokumenta, jakie się tam nagromadziły z czasów głośniejszej podróży politycznej księcia Konstantego Czartoryskiego i pana W. Kalinki. Spodziewałem się znaleźć w takowych raporty i sprawozdania, któreby mi poznać dały polityczną swiata skandynawskiego fizjognomię i wtajemniczyły w sposoby działania. Gdzież tam! Nie znalazłem ani jednego raportu, ani jednego sprawozdania. Nie sposób przypuszczać, ażeby pan Kalinka nie pisywał takowych dla hotelu. Hotel atoli zachował je snadź dla siebie, udzielając — z gotowością całą — urzędnikowi Rządu Narodowego dużego pliku, obejmującego wszystko, z wyjątkiem tego, coby mogło dać jasne o stanie rzeczy w Danii i Szwecji pojęcie. Znajdowały się tam: wyjątki z gazet, mowy

tłumaczone na język francuzki, opisy uczt, tłumaczenia toastów (wszystko z gazet), hymn „Boże coś Polskę“ po szwedzku, kopje i oryginały karykatur różnych politycznych, opracowanie officera szwedzkiego o stanie sił zbrojnych lądowych i morskich, programy koncertów; ale raportu, sprawozdania żadnego, relacji, napisanej z punktu widzenia polskiego, ani śladu, skazówek co do ludzi, ani cienia. Z pliku tego, udzielonego Przybylskiemu na mój użytek, nie nauczyłem się zgoła niczego. Wina to może moja.

Dowiedziałem się za to dużo rzeczy ciekawych z pliku innego, o który nie prosiłem, a który mi poufnie z hotelu Lambert przyniesionym został. Plik ów nie zawierał w sobie nic innego, tylko raporta i sprawozdania, nie ze Szwecji jednak, ale ze Wschodu, z czasów, w których organizowałem oddział i urządziłem wyprawę. Jest to ciąg jeden deklamacji i skarg przeciwko demokratom fałszywym w ogóle, w szczególności zaś, przeciwko Sokulskiemu, Łękawskiemu i mnie. Znalazłem biografię moją urywkową, w której tytułowany jestem „byłym podofficerem.“ Charakterystyka osoby mojej, skreślona obszernie kilkakrotnie, przedstawia mnie coraz to inaczej: raz jako głupca skończonego, znów jako niezmiernie zręcznego, przebiegłego i chytrego. Sprawozdania podnoszą okrzyk alarmu nad nieszczęściem, przyczyną którego stało się wkroczenie oddziału na Mołdawię, upatrując takowe w zerwaniu dobrych stósunków pomiędzy księciem Kużą a „nami“ (tj. hotelem Lambert); następnie dziwią się ogromnie przyjęciu, jakiego w Bukareszcie doznałem, podejrzewając tajemnicę onego w jakowychś papierach, kompromitujących liberałów rumuńskich, które jakobym wydać miał rządowi księstw. Z naciskiem szczególnym i z ubolewaniem rozwodzą się nad zaślepieniem „demokratów fałszywych,“ nie chcących zbliżyć się do autora raportów tych (p. W. Jordana), nie wspominając atoli o tém, jakiego losu doznała próba zbliżenia się ze strony mojej. Znajduje się tam zawiadomienie o missji księcia Marcelego Czar-toryskiego do Bukaresztu, w celu wyjednania odesłania oddziału

do Turcji i uproszenia księcia Kuzy, ażeby mnie powiesić nie kazał. Co za troskliwość wspaniałomyślna! Po niej atoli następuje wniosek, wystosowany do Rządu Narodowego, ażeby ten „dla przykładu“ głośno mnie destytuował. Dużo miejsca zabiera sprawa wyprawy kaukazkiej, z okazji której dostaje się dwom mianowicie ludziom, poniewieranym co się zowie, a to: pp. Urquardtowi i K. Łękawskiemu. Częste przytém przytyki Sadykowi paszy.

Dokumenta te zwróciłem do aktów, w których spoczywają one, jako źródła historyczne i czekałem na zapowiedziane z Warszawy papiery. Doczekałem się nareszcie zamianowania mnie jako agenta politycznego, nie w Szwecji jednak, ale na Słowiańszczyźnie południowej i na Węgrzech. Pojechałem do Belgradu. Wkrótce po przybyciu mojem na miejsce, powstanie upadło i missja moja skończyła się.

Na tém téż kończę, a raczej urywam sprawozdanie moje.

Ciąg dalszy nastąpi później, kiedy nas droga dziejowa, przez góry pracy, które pierwój rozkopać musimy, zaprowadzi nakoniec do Polski. Sprawozdanie niniejsze oddaję pod sąd opinii publicznej, przed którą staję z tém przeświadczeniem, żem, pisząc je, maczał pióro nie w tym atramencie, co się nazywa żółcią, ale w tym, co się nazywa sumieniem obywatelskiem. Napisałem prawdę — całą prawdę — w podawaniu faktów bezwzględna, w ocenianiu zaś takowych taką, jaka mi się przedstawiała z punktu przekonań moich. Zadanie, rozwiązanie którego przypadło mi w udziale w r. 1863, mogło mieć następstwa bardzo ważne. Rozumiałem to; trudności widziałem; z trudności sobie sprawę zdawałem w tém przeświadczeniu, iż nie były one nie do przełamania. Na gruncie wschodnim wyrazem takowych stał się brak środków pieniężnych — ale jakich? — czy przechodzących możność Polski?... Jako żywo! Gospodarowie, co mi ofiarowali milion łapowego, bogatszymi nie byli od Polski,

której ofiarowałem postawienie sprawy jój na stanowisku nie do obejścia dla Europy. Wystarczyłaby była kwota o połowę od łapowego mniejsza. Byłaż ona nie do znalezienia? Byłże to nakład niemożliwy absolutnie? ... Kto na zapytanie to odpowiedzieć ma?

